
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

W ZAMĘCIE

E. DE HENNING-MICHAELIS
GENERAŁ W. P.

W ZAMĘCIE

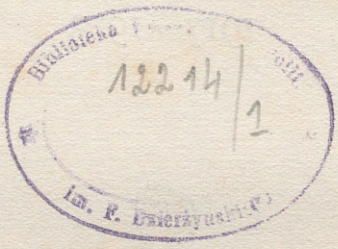
(„BURZY DZIEJOWEJ" CZĘŚĆ TRZECIA)

PRZYCZYNEK DO HISTORJI
FORMACYJ POLSKICH W ROSJI

1917—1918

10537

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



1929

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.

WSTĘP.

Trzy lata prawie trwała wojna światowa, nie posuwając ku praktycznemu rozwiązaniu sprawy polskiej. Wciąż uchylali się kierownicy polityczni wielkich mocarstw od wyraźnego stwierdzenia naszych praw do zjednoczenia i niepodległości, wciąż ścierały się w Polsce dwie orjentacje, z których właściwie żadna nie obiecywała spełnienia całokształtu słusznych praw narodu polskiego.

Rewolucja rosyjska, głosząca hasło sprawiedliwości dziejowej, zdawała się wreszcie zapowiadać realnie zmartwychwstanie Polski, ale nadzieja ta trwała niedługo; gwałtowne przesuwanie się polityki rosyjskiej ku lewicy, połączone z rozkładem armji i anarchją wewnętrzną, wykazały niebawem, że na wschodzie Europy Polacy mogą liczyć tylko na siebie. Zaczęli więc żołnierze nasi organizować się na froncie w związki, mające na celu wyodrębnienie się w samodzielne jednostki wojskowe z polskiem dowództwem; o jakiejkolwiek akcji bojowej nie myślano prawie, pragnieniem powszechnem był powrót do kraju w zorganizowanych oddziałach.

Prąd ten postanowiły opanować dla celów politycznych grupy polskiego wychodztwa, skupione w Radzie Międzypartyjnej i łączące wciąż przyszłe losy Polski ze zwycięstwem zachodnich mocarstw; korzystając z poparcia przedstawicieli koalicji, starały się one osiągnąć decydujący wpływ na coraz to silniejsze skupienia polskich żołnierzy, popierały gorąco ideę tworzenia odrębnej polskiej siły zbrojnej, mającej na celu dalszą walkę z mocarstwami centralnemi.

Dążeniom tym przeciwstawili się jednak zwolennicy Niemiec, wzmocnieni przez polskie ugrupowania lewicowe; rozpoczęli oni zaciętą agitację przeciwko formowaniu polskiej armji na terenie Rosji, twierdząc, że kraj nie życzy sobie tego. Wobec ścisłej izolacji Polski, nie dało się sprawdzić wiarogodności ich oświadczenia, gdyż tytularny rząd polski — Rada Regencyjna, milczał zagadkowo, a inne źródła podawały wiadomości niewyraźne, często nawet sprzeczne. Wśród tych sporów zmarnowano prawie cały rok, i stanął zaledwie jeden polski korpus, zorganizowany na froncie północno - zachodnim; Ukraina i Rumunja zostały poza nawiasem, chociaż posiadały blisko dwieście tysięcy polskiego żołnierza.

Nie potrafili również wojskowi Polacy wyłonić z siebie wspólnego organu kierowniczego; wybrany w Petersburgu na wiosennym zjeździe delegatów „Naczpol", który miał reprezentować ogół żołnierzy polskich, osiągnął pewien wpływ tylko na froncie północno - zachodnim; wojskowa Ukraina utworzyła własną centralę w Żytomierzu, a w Rumunji powstał osobny komitet

kierowniczy. Wszystkie te trzy organizacje, rządzone prawie wyłącznie przez doraźnych wojkowych, uważały się za równorzędne, zachowywały w stosunku wzajemnym dużą rezerwę i były często ignorowane przez frontowe związki wojskowe, kierowane przeważnie przez fachowych oficerów.

Ku zimie opanowali władzę w Rosji bolszewicy; zamieszanie zwiększyło się jeszcze, nastąpił częściowy paraliż komunikacyj i łączności, armja przestała istnieć, a z frontu na tyły popłynęły potoki dezerterów.

ROZDZIAŁ I.

W listopadzie r. 1917 otrzymałem propozycję objęcia dowództwa formującej się we Francji armji polskiej; inicjatywa mej nominacji wyszła z Rady Międzypartyjnej [1]), w porozumieniu z przedstawicielami koalicji.

Dla ostatecznego porozumienia wyjechałem do Petersburga, gdzie spotkałem się z gen. Niesselem i płk. Knoxem. Zaproponowali mi oni natychmiastowy wyjazd z trzema sztabowymi oficerami. Zgodziłem się chętnie, z warunkiem otrzymania zapewnienia, że będę dowodził armją sojuszniczą, a nie werbowaną — pamiętałem dobrze losy polskiego legjonu na wyspie San Domingo. Odmówiono mi jednak:... „Jest to sprawa polityczna, może być rozwiązana tylko na miejscu“ — twierdził generał Niessel, Anglik zaś potakiwał mu tylko. Pozostałem jednak przy swojem zdaniu i po dłuższej dyskusji zapadła decyzja, by zażądać z Francji odpowiednich wyjaśnień, które mogły jednak nadejść dopiero za parę tygodni [2]).

---

[1]) Dokument Nr. 1.

[2]) Już po zawarciu pokoju otrzymałem tekst deklaracji, którą każdy Polak, wstępujący do armji polskiej we Francji, obowią-

Postanowiłem więc tymczasem pojechać do Mińska, dokąd mnie zapraszał kilkakrotnie telegramami prezes Naczpola, chorąży Raczkiewicz, by przysłużyć się sprawie formacyj polskich chociażby doraźną radą. O przebiegu konferencji z przedstawicielami koalicji zakomunikowałem na specjalnem posiedzeniu Radzie Międzypartyjnej i sprzeciwu jakiegokolwiek nie napotkałem.

Przed wyjazdem znaznajomiłem urzędującą w Petersburgu wojskową komisję Naczpola z moim projektem ratowania żołnierza polskiego. Polegał on na utworzeniu poza frontem szeregu punktów koncentracyjnych, któreby skupiały polskie strumyki ludzkie, płynące na tyły; tu miały one być odkażone, elementy zdemoralizowane usuwane, a zdrowa masa kierowana do miejsc formowania regularnych jednostek.

Dla realizacji tego planu trzeba było jednak mieć dane co do ilości i ugrupowania naszego żołnierza w armjach rosyjskich. Dobrym materjałem dla naszych formacyj mogli się też okazać jeńcy wojenni, ale Naczpol, w składzie którego znajdował się generał Osiński, szef wydziału Sztabu Głównego, nie posiadał żadnej odpowiedniej statystyki. Przypuszczam jednak, że dane te można będzie otrzymać od frontowych związków wojskowych. Na władzach rosyjskich należało wymóc prawo spolszczenia pewnych oddziałów i ustąpienie polskim formacjom potrzebnego materjału tech-

---

zany był podpisać; znalazł się w niej następujący ustęp: „Je promets de suivre l'armée polonaise partout où il conviendrait au gouvernement français de l'envoyer"... a zatem ewentualnie i do kolonij.

nicznego; cała akcja wymagała jednak znacznych środków pieniężnych; dostarczyć ich, według wyjaśnienia komisji, miała koalicja.

Brałem również udział, na prośbę pana Zielińskiego, w posiedzeniu centrali demokratycznej, mającem wyjaśnić dalszy stosunek stronnictwa do polskiej siły zbrojnej; w danej chwili był on zupełnie wrogi. W zebraniu brali udział p. p. Skąpski, Barylski, Kosiński, oraz kilku innych; przedyskutowano moje stanowisko wobec kraju i Rosji, interesowano się również memi poglądami co do podstaw organizacji polskiej siły zbrojnej: zaznaczyłem stanowczo, że niedopuszczalne są w wojsku jakiekolwiek komitety, lub komisarze, a w szeregach winny panować: bezwzględna karność i zakaz politykowania.

Oświadczenie moje zostało przyjęte życzliwie. Zebrani ręczyli, że z temi zasadami zgodzi się większość stronnictwa, a rewolucyjny polski pułk rezerwowy w Biełgorodzie (liczący piętnaście tysięcy łazików) przyłączy się cały do naszych formacyj; zastrzegli się jednak stanowczo, że nie pójdę nigdy pod komendę dowódcy I-go korpusu polskiego, którego działalność uważali za nienarodową. O rezultatach konferencji zawiadomiłem zarząd Naczpola, bez żadnego zresztą realnego wyniku.

Obrady w Mińsku trwały dni kilka; nalegano usilnie, bym się zrzekł wyjazdu do Francji i objął na stałe kierownictwo naszych formacyj. Propozycja ta nie dogadzała mi, gdyż nie wierzyłem w możliwość wznowienia jakiejkolwiek akcji czynnej na wschodnim froncie;

godziłem się jednak na czasowe objęcie proponowanego mi stanowiska, aż do chwili odjazdu, z warunkiem, że w zakresie wojskowo - technicznym będę miał pełnię władzy; uważałem to za konieczne ze względu na skład osobowy Naczpola, gdzie brakło fachowych kierowników, panowała konspiracja i politykowanie, obawiałem się więc, że brak silnej władzy uniemożliwi jednolitość akcji i energję wykonania.

Moje żądanie wywołało namiętny protest: — „Boimy się dyktatury, związki nie zgodzą się na nią nigdy“ — powtarzano mi raz po raz, aż do znudzenia. Odmówiłem więc współpracy i postanowiłem wyjechać, ale p. p. Raczkiewicz, Wrącki oraz inni ponowili swe namowy, obiecując zupełną lojalność, o ile się zgodzę na pewne ograniczenie praw naczelnego inspektora w kwestjach finansowych i nominacyj na wyższe stanowiska.

Wywarli na mnie również duży nacisk przedstawiciele sfer społecznych, zgodziłem się więc ostatecznie na ten kompromis, przypuszczając zresztą, że z chwilą utworzenia organizacji czysto wojskowej łatwiej będzie walczyć z niepożądanym wpływem czynników niepowołanych; w dobrą wolę Naczpola wtedy jeszcze wierzyłem. Nie protestowałem również, gdy ze względów polityki wewnętrznej dodano warunek, że naczelnemu inspektorowi podlegać będą jedynie formacje na terenie Ukrainy i Rumunji; tłumaczono to „drażliwością generała Dowbor - Muśnickiego, który nie chciałby może podlegać panu“.

Przypuszczenie to mogło mieć pewne podstawy, później przekonałem się jednak, że Naczpolowi chodziło

o co innego; pragnął on odgrywać rolę naczelnego dowództwa, a mogło mu się to udać tylko w jednym wypadku: uniezależnienia wzajemnego dwóch naczelnych generałów i wygrywania na swoją korzyść możliwych między nimi nieporozumień, o ileby się który chciał wyłamać z pod władzy centrali. Zapewne z tych samych względów generał Dowbor - Muśnicki nie był zaproszony do wzięcia udziału w moich pertraktacjach z Naczpolem.

Wyodrębnienie I-go korpusu uważałem za niepożądane, nietylko ze względu strategicznych, ale i organizacyjnych: jednolitość formacyj winna była być utrzymana; narazie jednak, wobec postępującego paraliżu komunikacyjnego, utrudniającego niesłychanie łączność, można było takie rozwiązanie kwestji czasowo tolerować.

Naczelny inspektorat miał się ulokować w Kijowie; Naczpol zobowiązał się przysłać z I-go korpusu w najkrótszym czasie instruktorów i delegować do mej dyspozycji generała Leśniewskiego, który narazie tworzył przy Naczpolu bliżej nieokreślony „wydział mobilizacyjny". Generała tego znałem od lat wielu, był moim kolegą w pułku gwardji w Warszawie, odznaczał się dobremi zaletami fachowego oficera, stworzył nieskazitelnie polską rodzinę, chętnie zatem zaprosiłem go do współpracy, mając zamiar zrobić go swym zastępcą.

Generał odwiedził mnie kilkakrotnie i opowiedział, że właściwie nie robi nic, gdyż nie posiada żadnych wytycznych co do charakteru swej pracy, ani organów wykonawczych; stosunek do niego p. p. podporuczni-

ków i chorążych Naczelnego Komitetu znajdował się na poziomie ówczesnych pojęć „rewolucyjnej“ armji rosyjskiej; nie zasięgano więc nigdy jego rady, nie informowano nawet o przebiegu wypadków.

Porucznika Bagińskiego[1]) zastałem w Mińsku; rozwinął on tu przy pomocy swej żony dużą i owocną działalność oświatową-wydawniczą. Złożyłem również wizytę generałowi Dowbor-Muśnickiemu; przyjął mnie bardzo grzecznie, ale z dużą rezerwą (przypuszczam, że pracowały już w cichości pewne wpływy, niekorzystne dla koleżeńskiego porozumienia). Generała poprzednio nie znałem osobiście, wiedziałem jednak, że ma wyższe wykształcenie akademji sztabu generalnego, odznacza się dużemi zaletami fachowemi, a na wojnie światowej zaznaczył się nietylko jako wzorowy, energiczny dowódca, ale i jako mężny żołnierz, co znalazło wyraz w pięknej nagrodzie krzyża św. Jerzego. Mówiono mi, że Dowbor-Muśnicki jest bardzo zruszczony, ale nie zauważyłem tego — mówił nieźle po polsku, a to, co wypowiadał, było również polskie z ducha. Korpus organizował on sprawnie, energicznie; pewnym niemiłym zgrzytem był tylko udział w pracy szefa sztabu — Rosjanina, generała Agapiejewa, któremu zresztą nie można było pod względem etycznym nic zarzucić; mówił on nawet po polsku.

Po kilkudniowym pobycie w Mińsku wróciłem do Kijowa.

---

[1]) Obecnie ppk. S. G. Wybitny działacz społeczno-wojskowy, autor cennego dzieła o formacjach wschodnich.

ROZDZIAŁ II.

3 grudnia rozpocząłem urzędowanie, nie mając jeszcze nawet mandatu na piśmie; miano mi go nadesłać z Mińska. Ale życie nie czekało, zastałem na miejscu setki naglących spraw, a po Kijowie błąkały się bez dachu nad głową i chleba setki oficerów i rzesze żołnierzy.

Komitet walki z anarchją, na czele którego stał energiczny i pracowity hr. Zdzisław Grocholski, ofiarował mi bezpłatny lokal i trochę pieniędzy, otworzyłem więc prowizoryczne biuro z kilkoma oficerami. Główne starania skierowałem ku zalegalizowaniu przez rząd miejscowy naszych formacyj na Ukrainie i uzyskaniu potrzebnych funduszów na rozpoczęcie akcji.

Pierwsze napotkało odrazu przeszkody jawne i tajne: rada ukraińska szkodziła na każdym kroku, odmawiała kwaterunku i prawa do organizacji nawet drobnych oddziałów, cofała dane już pozwolenia, nie chciała udzielać wagonów do przewozu wojska i t. d.

Misja francuska, na czele której stał generał Tabouisse, usiłowała nam pomóc, naciskając na Ukraińców — a mieli oni obiecane od koalicji pieniądze i uznanie swej niepodległości, łasili się więc i obiecywali nam solennie spełnienie wszystkich naszych żądań; w rzeczywistości jednak nie dotrzymywali nigdy swych przyrzeczeń pod pozorem, że rząd nie ma należytego posłuchu u władz prowincjonalnych. Próbowałem kilkakrotnie interwenjo-

wać osobiście u szefa rządu, Petlury, ale przekonałem się wkrótce, że ten przewrotny watażka kłamie stale i gotów zdradzić Koalicję wraz z nami w każdej chwili, o ile dostanie pieniądze z innej strony a nie będzie czuł nad sobą siły. Sytuacja ta wytwarzała wciąż błędne koło: — co się utworzyło w jednym tygodniu, w następnym rozbijali Ukraińcy.

Również niefortunnie przedstawiała się kwestja finansowa. Koalicja obiecywała dać pieniędzy bez stawiania jakichkolwiek warunków — tak twierdziła Rada Międzypartyjna, to samo powtarzał z naciskiem gen. Tabouisse. Nie było jednak na miejscu znaków pieniężnych, nie można było utworzyć potrzebnych wydziałów inspektoratu, brakło środków na organizację punktów koncentracyjnych.

Kandydaci do formacji meldowali się setkami; przeważała młodzież i ludzie zupełnie starzy, fachowców prawie nie było, bardzo brakło oficerów piechoty. Zgłaszała się również pod pozorem polskiego pochodzenia duża ilość Rosjan, nie znających nawet języka polskiego, najwięcej jednak było kandydatów z organizacyj pomocniczych: intendentury, sanitarjatu, techników. Wielu z nich przyrzekało, że, o ile będą przyjęci, przekażą formacjom polskim duży majątek skarbowy. Wogóle po kilku tygodniach roboty wyjaśniło się, że mamy dość materjału ludzkiego, by uformować naczelne dowództwo i tyły administracyjne paru armji, i że jest do objęcia bezpłatnie olbrzymia ilość materjału technicznego, nie było jednak odpowiednich kandydatów do posad naczelników punktów koncentracyjnych i brakło

ochotników do służby w szeregach, szczególniej żołnierzy [1]).

Stosunki wewnętrzne z Naczpolem przybrały odrazu dziwny charakter: prezydjum zwlekało z przysłaniem mi mandatu, przyjechał natomiast z jego ramienia chorąży Kiedrzyński z nieograniczonemi pełnomocnictwami w kwestji formacyj polskich na Ukrainie i z niezłomnym zamiarem kierowania mą robotą; znalazł się tu również i chorąży Lewandowski z pełnemi pełnomocnictwami w kwestjach stosunku z Ukrainą, a w dni parę przyjechał z Rumunji podporucznik Piotrowski z niemniej poważnemi dokumentami, stwierdzającemi jego władzę w sprawach formowania naszej siły zbrojnej. Jednocześnie zaczęli ze mną traktować przedstawiciele Komitetu Wykonawczego związków wojskowych Polaków frontu półn. - zachodniego, podkreślając stale swą niezależność w stosunku do Naczpola i żądając, bym umowę z nim poddał ich rewizji.

Wytworzyło to wkrótce taki zamęt, że zostałem zmuszony do zawieszenia czynności inspektoratu, aż do wyjaśnienia mych praw przez prezydjum Naczpola, które wezwałem do szybkiego przyjazdu; takież żądanie zostało wysłane przez Komitet Walki z Anarchją, prosił o to również podporucznik Piotrowski. Pozatem wystosował on do mnie oficjalny list [2]), w którym apelował do mych uczuć obywatelskich i zaklinał, bym nie przerywał pracy, zapewniając ustnie, że obecni

---

[1]) Dok. Nr. 3.
[2]) Dok. Nr. 4.

w Kijowie członkowie prezydjum nie będą mi przeszkadzali w pracy; w tym samym duchu wypowiedzieli się przedstawiciele kijowskiego i odeskiego związków wojskowych; pod naciskiem tych wszystkich faktów wznowiłem czynności.

Hasłem przewodniem naszej siły zbrojnej była służba ojczyźnie z bronią w ręku. W oddziałach obowiązywała karność służbowa, jakiekolwiek komitety, komisarze i agitacja polityczna w szeregach były wzbronione; jako cel dodatkowy wskazałem obronę życia i mienia naszych ziomków na kresach i dopomożenie wygnańcom z Polski do powrotu. Ta projektowana przeze mnie obrona polskiej własności nie podobała się naszym radykałom, zarzucali mi więc często w słowie i druku, że formuję oddziały polskie dla obrony obszarników, zapominając o tem, że każdy polski majątek posiadał polską administrację i był placówką kulturalną w kraju, do którego nasze historyczne prawo nie wygasło [1]).

W drugiej połowie grudnia otrzymałem od porucznika Bagińskiego list [2]), w którym wzywał on mnie, bym jak najprędzej przyjechał do Mińska: — „Wszystko się tu wali“ — pisał pan Bagiński — „w braku jednolitego kierownictwa... Naczpol stracił powagę i musi powstać organ, któryby mógł go zastąpić... Nic nie chcemy robić bez udziału pana generała“...

Przypuszczałem jednak, że prędzej unieszkodliwię Naczpol tu na miejscu bez gwałtownego przewrotu, gdy

---

[1]) Dok. Nr. 5.
[2]) Dok. Nr. 6.

organizacja wyższych jednostek stanie się faktem, nie pojechałem więc do Mińska. Mylił się jednak porucznik, pisząc, że „Naczpol stracił powagę“; wystarczyło tygodnia mego stosunku z nim, by dojść do przekonania, że nie miał on jej nigdy, tworzył właściwie jakiś dziwny nowotwór wojskowej zbiorowości polskiej, wyrosły na gruncie absurdalnej rewolucji rosyjskiej, ciałem politycznem nie był, a wojskowym organem jeszcze mniej, a jednak miał pretensję do ogólnego kierownictwa w sprawach wojskowych, o których nie miał i nie mógł mieć żadnego pojęcia.

Wreszcie w końcu grudnia zjechał do Kijowa Naczpol; po długich pertraktacjach została nareszcie zawarta ze mną umowa [1]), zapewniająca mi pewną swobodę działania, z poważnemi jednak zastrzeżeniami: nominacje na wyższe stanowiska miały być czynione w porozumieniu z Naczpolem, finansowanie, sprawy kulturalno-oświatowe i polityczne pozostawały w jego zarządzie. Z ramienia Naczpola mianowany został komisarzem politycznym przy mnie podporucznik Piotrowski, młodzieniec, piastujący przed wojną stanowisko niższego urzędnika ubezpieczeń rządowych w Warszawie. Rejon działania Naczelnego Inspektora obejmował Ukrainę, Rumunję i okrąg odeski; I korpus i jego terytorjum były wyłączone z kompetencji, z charakterystyczną a błędną uwagą: „części I korpusu, chociażby się znalazły na terytorjum Ukrainy, nie podlegają władzy Naczelnego Inspektora“.

---

[1]) Dok. Nr. 7.

Zgodziłem się na te warunki tylko dlatego, że liczyłem na szybki przyjazd członków Rady Międzypartyjnej, którzy powinni byli wpłynąć na ograniczenie władczych zakusów Naczpola. Telegram o mej nominacji został wysłany do związków dopiero 6 stycznia; był to zresztą jedyny objaw współdziałania ze mną w coraz to bardziej wikłających się warunkach formacji[2]).

Pieniędzy wciąż nie było, związki frontowe stale i niedwuznacznie zaznaczały swą niezależność; dopomagali im do tego znakomicie różni komisarze przy poszczególnych armjach, mianowani jeszcze poprzednio przez Naczpol, z rozległemi prawami co do wyodrębniania i formowania polskich oddziałów. Korzystając z ogólnego zamętu i pomieszania pojęć, przywłaszczyli sobie ci panowie dyktatury miejscowe i rządzili każdy według osobistych zapatrywań i ambicji, nie licząc się prawie z memi wskazówkami, obalając rozkazy Inspektoratu, żądając nieraz telegraficznie, bym im nie przeszkadzał; wszelkie reklamacje me u pana Raczkiewicza pozostawały bez najmniejszego skutku.

Objawem, niesłychanie utrudniającym akcję formowania, był rozkład wewnętrzny; dowódcy stracili wiarę w możność rozkazywania, żołnierze zaś polscy, biorąc udział w ciągu dziewięciu miesięcy w rozpasaniu ogólnem, ulegli w znacznym stopniu hasłom wywrotowym. Walczyć z tym objawem mogły tylko związki wojskowych Polaków, o ile posiadały wśród członków oficerów wykształconych, z rozwiniętem poczuciem

---

[2]) Dok Nr. 8.

obywatelskiem, ale takich było mało; co lepsi zginęli na wojnie, olbrzymia zaś większość zachowywała się zupełnie biernie. Związki, pod wpływem rosyjskich „sowietów“, zatraciły prędko właściwy im charakter, stały się klubami politycznemi o hasłach przeważnie demagogicznych, były nawet bardziej niebezpieczne, niż „sowiety“, gdyż wodzili w nich rej rodacy, ludzie inteligentni, ambitni a bardzo partyjni, nie posiadający w sobie, poza umundurowaniem, nic wojskowego; komitety, wyłonione ze związków, składały się prawie wyłącznie z adwokatów, lekarzy, urzędników, z minimalną domieszką fachowców, wybranych tylko dla celów dekoracyjnych. Dokładnym ich wyrazem był Naczpol. Przykładem, doskonale charakteryzującym niepojmowanie elementarnej zasady jedności władzy w wojsku, był rozkaz Naczpolu Nr. 18 z d. 28 grudnia, podpisany przez urzędnika czasu wojennego, pana Jamontta, wprowadzający do oddziałów wojskowych komisarzy, z nadaniem im praw kontroli zwierzchniej nad dowództwem nawet w zakresie spraw technicznych. Rozkaz ten wydano w tajemnicy przede mną, chcąc mnie zaskoczyć faktem dokonanym; dowiedziałem się o nim przypadkowo z Tygodnika Wojskowego, zawiadomiłem więc natychmiast pana Raczkiewicza, że instytucję komisarzy uważam za nowotwór szkodliwy, który winien być usunięty a nie pielęgnowany, i że nie pozwolę nigdy na wprowadzenie instytucji komisarzy w formacjach mi podległych i wydawania jakichkolwiek rozkazów bez porozumienia ze mną. Po dłuższej dyskusji ustąpił pan Raczkiewicz, zaznaczając, że jednak w I-ym korpusie

tacy komisarze instnieją i dowódca korpusu zgadza się z tem; żądanej odpowiedzi na piśmie nie otrzymałem jednak, nie czekałem zresztą na nią i zakazałem stosowania tego rozkazu w oddziałach [1]).

Obsadzanie posad w tworzonych organizacjach wojskowych było nader trudne; od Naczpola nie mogłem przez cały miesiąc wydostać listy kandydatów na wyższe stanowiska, gdy ją zaś nareszcie otrzymałem, okazała się ona bez najmniejszej wartości — brakło w niej danych o przygotowaniu fachowem i poprzedniej służbie kandydatów. Przyjmowałem więc z musu oficerów przez związki rekomendowanych, ale okazali się oni bez wyjątku ludźmi zupełnie biernymi, marjonetkami w ręku różnych komisarzy lub związków. Kontrola osobista, wobec paraliżu komunikacyjnego, była niemożebna — wyjazd na front wymagał minimalnie 3 — 4 tygodni czasu, a zastępcy nie miałem; Naczpol wciąż zatrzymywał w Mińsku generała Leśniewskiego. Wszelką łączność z frontem utrzymywałem więc wyłącznie przez kurjerów, co wymagało dużo czasu i znacznych kosztów, a niezawsze prowadziło do celu, bo kurjerzy często nie wracali zupełnie. Liczyłem, że pomoże mi Naczpol, do którego wciąż przyjeżdżali delegaci z różnych armji, ale omyliłem się; mieli oni inne cele, brali udział w tajnych naradach z komitetem, które robiły wrażenie konspiracyjnych zebrań jakichś lóż masońskich; co na nich mówiono, nie dowiedziałem się nigdy.

---

[1]) Dok. Nr. 10.

Rozmawiali niektórzy delegaci i ze mną, ale z dyskusji czułem wyraźnie, że zasadniczym warunkiem zgodnej z nimi współpracy jest ofiarowanie leaderom związków stanowisk, odpowiednich do ich obecnego znaczenia, co było niemożebne, gdyż byli to wyłącznie umundurowani cywile.

Dla przygotowania kadry oficerów o nowoczesnym poziomie narodowym, rozkazałem sformować legję oficerską dla oficerów piechoty, a dowództwo poruczyłem staremu oficerowi, porucznikowi Ogrodzińskiemu.

Pragnąc oprzeć rozwój polskich formacyj wojskowych na czynniku poważnym, wysłałem do dowódcy frontu ukraińsko-rumuńskiego, generała Szczerbaczowa, raport, w którym wyłuszczyłem mu podstawy projektowanej organizacji, prosząc jednocześnie o zatwierdzenie mnie na stanowisku naczelnego inspektora [1]).

Pisałem również do dowódcy południowo-zachodniego frontu, zapytując go, jakie oddziały mają być polonizowane i czy posiada odpowiednich kandydatów na wyższe stanowiska [2]).

Najbardziej naglącą sprawą było jednak uregulowanie stosunku do naczelnych władz ukraińskich; po całym szeregu konferencyj wyjednałem zatwierdzenie dwóch głównych punktów koncentracyjnych — w Kijowie i Winnicy. Starałem się również o dalszy rozwój sieci tych punktów, zabezpieczenie im żywności i kwater [3]);

---

[1]) Dok. Nr. 12.
[2]) Dok. Nr. 13.
[3]) Dok. Nr. 14.

zabiegi te, pozornie pomyślne, okazywały się jednak w rzeczywistości syzyfową pracą, szczególnie, gdy na miejscu nie było energicznych i odważnych wykonawców, a to się, niestety, zdarzało rzadko. Kiereńszczyzna zatruła dusze i naszych oficerów.

W drugiej połowie stycznia otrzymałem od ukraińskiego „narodnego“ ministra wojny, Niemołowskiego, telegram, że wydane zostało polecenie spolszczenia 39-go korpusu; wiadomość ta ucieszyła mnie bardzo, gdyż zabezpieczała techniczne zaopatrzenie projektowanego III-go polskiego korpusu [1]).

Wkrótce nadesłał mi również generał Szczerbaczow rozkaz z d. 19 stycznia 1919 r. [2]), w którym, powołując się na pismo Polskiego Komitetu Wykonawczego Frontu Rumuńskiego Nr. 3216, mianował mnie inspektorem formacyj polskich na Ukrainie.

Takie uzależnienie sprawy od nieznanego mi zupełnie czynnika wskazywało wyraźnie, że nie uznawał on władzy Naczpola i rządził się samodzielnie. Rozwój wypadków potwierdził to wkrótce; obydwie „naczelne“ instytucje zachowywały się w stosunku wzajemnym nader ostrożnie: Naczpol błąkał się wciąż w sferze wysokiej polityki, komitet rumuńskiego frontu zwrócił swą energję głównie w kierunku lewicowym.

Sztab inspektoratu uformowałem ostatecznie w drugiej połowie stycznia, o czem wydałem rozkaz Nr. 2 [3]).

---

[1]) Dok. Nr. 15.
[2]) Dok. Nr. 16.
[3]) Dok. Nr. 17.

Ponieważ inspektorat miał być zczasem przekształcony na sztab armji, stworzyłem w nim, w nader szczupłym zakresie, zawiązki odpowiednich wydziałów, kładąc nacisk na organizację komunikacyj wojennych, które miały być pomocne przy przewozie materjału technicznego i naszych wygnańców do Polski; na szefa tego wydziału wybrałem pierwszorzędnego fachowca, generała sztabu generalnego, Dziewanowskiego.

ROZDZIAŁ III.

Dla zbierania żołnierza naszego podzieliłem terytorjum Ukrainy i Noworosji na dwa rejony: północny, mający centrum w Żytomierzu, i południowy, z ośrodkiem w Humaniu. Rumunja nie potrzebowała takiej organizacji, miała kadrę gotową w związku mego dawnego korpusu; południowego rejonu narazie nie organizowałem, brakło ludzi i pieniędzy, tymczasem poleciłem zbieranie żołnierza związkowi czynnemu w Odessie.

Na froncie poruczyłem pracę wyłączenia żołnierza naszego z rosyjskich oddziałów polskim związkom wojskowym; punkty koncentracyjne poczęto tworzyć prawie we wszystkich miastach Wołynia i Podola.

W rejonie północnym zamierzałem formować narazie pułki piechoty z dywizjonami artylerji w Zwiahlu, Żytomierzu, Winnicy i Humaniu; konnica organizowała po jednym pułku ułanów z konną baterją w Winnicy i w Antoninach (ten pułk miał odejść do 1-go korpusu);

bliżej frontu, w Mohylowie nad Dniestrem, zbierał się jeden pułk piechoty i dwie baterje. Zasadniczo chciałem zorganizować na Ukrainie korpus o dwóch dywizjach piechoty z brygadą jazdy.

Zażądałem od naczelnego rejonu północnego i wszystkich związków danych o ilości polskiego oficera oraz żołnierza, z wymienieniem szarż i fachowego wykształcenia, prosiłem również o wskazanie organizacyj administracyjnych lub społecznych, znajdujących się w ich rejonach. Wiedziałem, że znajdują się tam liczni Polacy, chciałem więc przy ich pomocy przekazać bardziej niezbędne instytucje jednostkom bojowym, a pozostałe rozwiązać, wcielając personel do szeregów; majątek tych organizacyj miał być przechowany w punktach koncentracyjnych dla zwrotu krajowi w przyszłości.

Na punktach koncentracyjnych formowały się bataljony lub kompanję etapowe, stosownie do znaczenia każdego punktu; na czele każdego osadzałem pułkownika lub kapitana. Do obowiązków komendy punktów należała, poza wyżej wymienionemi, pomoc wygnańcom polskim, pragnącym wrócić do kraju.

Poważną przeszkodą w mej pracy stał się, obok Naczpola, t. zw. Komitet Wykonawczy Frontu Rumuńskiego, na czele którego stanął kapitan Bobicki, wyznający zasady wybitnie lewicowe; krył on je w pewnym stopniu, podkreślając swą bezpartyjność, ale w rzeczywistości przyjął nader nieprzychylnie mój projekt stworzenia siły zbrojnej bez polityki, z utworzeniem jednej silnej władzy nad nią. Pretekstem do zwalczania mnie był mój stosunek do Rady Międzypartyjnej, za

którą stała koalicja z jej środkami finansowemi; zależność wszelką kapitan Bobicki odrzucał stanowczo, co jednak nie przeszkodziło mu w marcu tegoż roku uzyskać od misji francuskiej w Rumunji 800 tysięcy rubli na formacje polskie.

Poglądy swe, wyrażone zresztą w formie ostrożnej, wypowiedział pan Bobicki w obszernym liście [1]); mając na względzie wybitną rolę, jaką odegrał on później w dziejach II-go korpusu, przytoczę z niego niektóre wyjątki:

„A więc nadewszystko nie mamy prawa ani uzależniać pracy swej, ani dopuszczać przeważających wpływów tego czy innego stronnictwa politycznego.

Rada Międzypartyjna otrzymała pieniądze od Francuzów na formacje nasze... pieniądze na formacje może otrzymać wyłącznie Naczpol, który odpowiada przed społeczeństwem wojskowem (!) za to, w jakim charakterze pieniądze zostały przyjęte.

Komitet stoi na stanowisku, że tylko w tym jednym wypadku możemy się zwrócić po obcą pomoc, jeśli bez niej absolutnie niemożliwą stanie się formacja polskich sił zbrojnych... ale pertraktacje w tej sprawie będzie prowadziła naczelna wojskowa instytucja polska, bez żadnego udziału w tem jakiegobądź stronnictwa politycznego, tem bardziej Rady Międzypartyjnej, z którą ideowo mamy najmniej wspólnego.“

„Walki na froncie naszym niema i wszystkie dane przemawiają za tem, że jej już nie będzie. A więc

---

[1]) Dok. Nr. 18.

pozbawiliśmy się, dzięki Bogu, jednego ważnego powodu do waśni, mianowicie: wałkowania kwestji, czy korpus pójdzie na front na pomoc koalicji, czy też zachowa neutralność.“

„Wśród żołnierza II-go korpusu rozpowszechniane są pogłoski, że punkty koncentracyjne rozlokowane są przez pana generała w ścisłem porozumieniu z ziemiaństwem polskiem na Ukrainie, a dyzlokacja ma na celu ewentualną obronę ich majątków przed ruchem agrarnym włościaństwa ukraińskiego. Nie wypowiadając się zasadniczo w kwestji wskazanego ruchu agrarnego, muszę zaznaczyć, że nasi żołnierze bynajmniej nie w tym celu wstępują do P. S. Z., a w celu osiągnięcia ideału narodowego.“

Tych wyjątków dość chyba, by sobie wyjaśnić, jak wyglądały ideały narodowe pana Bobickiego; zaznaczę raz jeszcze co do ostatniego ustępu, że rzeczywiście starałem się lokować oddziały po majątkach polskich, gdzie miały zabezpieczony dach nad głową i żywność, czego im rząd ukraiński stale odmawiał; miałem, pozatem, naturalnie na celu obronę mienia i życia polskich obywateli, bez względu na to, czy należą oni do sfery ziemiańskiej, czy też do proletarjatu.

Stosownie do mego projektu, przedstawionego generałowi Szczebaczowowi jeszcze w lipcu r. 1917, organizował się w Rumunji II-gi korpus w składzie trzech dywizyj strzelców jazdy i wszelkich istytucyj pomocniczych; odpowiedni rozkaz przysłano mi[1]) ze sztabu

[1]) Dok. Nr. 19.

frontu. Faktem dokonanym stała się organizacja sztabu korpusu, spolonizowanego z mego XXIX rosyjskiego korpusu, i kadra 4-tej dywizji, wyłoniona przy pomocy związku Polaków II-ej armji — jedynego ze znanych mi, który nie demoralizował żołnierza hasłami politycznemi.

Na stanowisko dowódcy korpusu wysuwał związek frontu rumuńskiego, jak to już poprzednio wspomniałem, kandydaturę generała Stankiewicza. Generała tego znałem mało, wiedziałem tylko, że jest dobrym fachowcem; atoli polskość jego była mi zupełnie nieznana. Nie miałem jednak swego kandydata; wśród generałów rosyjskich polskiego pochodzenia brakło zupełnie ludzi, przygotowanych odpowiednio do tego wysokiego stanowiska, szczególniej pod względem narodowym, co w danych warunkach stawiałem ponad zdolności strategiczne. Dowództwo oczekiwała ciężka praca nad oczyszczeniem duszy naszego żołnierza od chwastów bolszewizmu, nad wyrobieniem żołnierza-narodowca, uświadomionego obywatela; żądanie to wobec nakazów polskich partyj lewicowych, pragnących uświadomić żołnierza na swój sposób, wymagało od dowódców nietylko zupełnej ofiarności, siły charakteru, ale zupełnego wczucia się w duszę żołnierza.

Na stanowiska dowódców dywizyj zaproponowałem generałów: Glassa, Latoura i Listowskiego, o których miałem dobre referencje fachowe i narodowe; na dowódców brygad — generała Aleksandrowicza i pułkownika Żabczyńskiego. Narazie delegowałem do Jass generała Glassa dla natychmiastowego kierownictwa akcją formacji. Komitet frontowy przyjął generała bardzo

nieprzychylnie, kapitan Bobicki wielokrotne podkreślał swe prawa kierownictwa, ale dostał odpowiednią odprawę. Wśród szeregu zgrzytów wyjechał generał Glass do Sorok, wziął się energicznie do roboty; w krótkim czasie zebrano znaczne zapasy żywności, amunicji i broni, uzupełniono część techniczną. Formowanie 5-ej i 6-ej dywizji szło jednak opornie, — 2-a i 166-a dywizje rosyjskie, które miały być polonizowane, sprzeciwiały się systematycznie tym poczynaniom.

Co do formacyj na froncie ukraińskim, praca posuwała się również nader wolno, gdyż, mimo zasadniczej zgody rządu ukraińskiego, zwodził on wciąż lub przeszkadzał, pracowano zatem wbrew woli czynników rządzących, korzystając z ich słabości. W tym okresie bolszewizm poza Kijowem wzrastał jednak na całym froncie; nasze partje lewicowe miały w nim zupełne poparcie, traktując tworzącą się polską siłę zbrojną, jako kontrrewolucyjną i burżuazyjną. Wyodrębnienie naszych żołnierzy z szeregów rosyjskich szło w tych warunkach opornie, komitety wojskowe wprost siłą zatrzymywały w oddziałach element polski.

Olbrzymia część oficerów polskich okazała się zupełnie nieprzygotowana do pracy narodowo-etycznej nad duszą żołnierza, nie znała historji i geografji naszej, nie umiała nawet mówić poprawnie po polsku. Tacy kierownicy nie mogli w krótkim czasie zdobyć koniecznej powagi i zaufania wśród żołnierzy.

Pewnej naprawy miała dokonać legja rycerska, gdzie oficerowie uzupełniali wiadomości, potrzebne do pracy moralnej nad żołnierzem. Brak ścisłych danych o tem,

co się dzieje poza Kijowem, wobec dużej nieudolności kierowników, wysuniętych przez związki, ogromnie utrudniał robtę; n. p. w ciągu dwóch miesięcy nie mogłem otrzymać w żaden sposób od generała Piotrowskiego z Żytomierza mniej więcej ścisłych danych o tem, co się w jego rejonie robi. Odpowiedzi były wciąż mgliste, wymijające, zato realne były wiadomości o wrogim stosunku do nas władz ukraińskich, zakończonym rozbrojeniem w Winnicy świeżo uformowanego szwadronu jazdy, przy zupełnie biernem zachowaniu się miejscowego naczelnika punktu koncentracyjnego, pułkownika Sokołowskiego, mianowanego na to stanowisko z rekomendacji generała Piotrowskiego i komitetu frontu półn.-zachodniego. Śledztwa co do tego niedopuszczalnego faktu dokonano dopiero na me żądanie, a przedstawiono mi je po upływie miesiąca; stwierdziło ono w zupełności winę pułkownika Sokołowskiego, którego usunąłem ze stanowiska; odpowiednich środków co do generała Piotrowskiego nie zdążyłem jednak przedsięwziąć wobec nadciągającej ze wschodu burzy bolszewickiej.

Wkrótce otrzymałem pierwszy list od dowódcy korpusu, generała Stankiewicza; prosił on, bym rozkazał kierować żołnierzy z południowo-zachodniego frontu do Sorok, bo brak mu ogromnie ludzi. „Teren besarabski“ — pisał dalej generał — wybrany do formowania korpusu, uważam za dogodny, gdyż Rumuni nam sprzyjają; z Besarabji rugują oni za Dniestr wszelkie rosyjskie oddziały z wyjątkiem 2 brygad rosyjskich wolontarjuszy i oddziałów polskich. W Jassach kierują

wszystkiem Francuzi i Amerykanie i sprzyjają nam o tyle, o ile to pomaga ich własnej sprawie. Usposobienie moralne żołnierzy bardzo dobre w piechocie, niezłe w kawalerji i artylerji, ale parki są całkiem bolszewickie, nie spełniają rozkazów, pomagają i sprzyjają mohylowskim bolszewikom; jeżeli nie uda się ich zwrócić na dobrą drogę, wypadnie ich wyrzucić z polskich szeregów [1]).

Agitacja idzie z Mohylowa od bolszewików i polskiego lewicowego komitetu, na czele którego stoi niejaki Bitner; wogóle potrzeba dość pracy, żeby żołnierz polski pozbył się poglądów, narzuconych mu przez bolszewików.

W tym celu w miarę możności zaprowadzamy pracę kulturalno-oświatową; drukarnię będziemy mieli w Jassach i Sorokach.

Legjon oficerski istnieje już w Sorokach. W Mohylowie z uchwały polskiego bolszewickiego komitetu aresztowano 16 oficerów i rozbrojono jedną baterję i nieco piechoty; pułk jazdy, pod dowództwem pułkownika Sochaczewskiego, ledwie zdołał przebić się do Sorok przez bandy bolszewickie i uzbrojonego chłopstwa.

Dzisiaj otrzymałem wiadomość, że w Kamieńcu rozbrojono jakąś polską jednostkę, a dowodzący oddziałem rotmistrz Engiel z resztą ludzi wyruszył do Sorok i gdzie się obecnie znajduje — niewiadomo.

---

[1]) Dok. Nr. 20.

„Mam już uformowane 6 szwadronów, a z 6-ej armji dążą jeszcze 2, więc można będzie uformować brygadę ułańską.“

Z listu powyższego łatwo sobie uprzytomnić, z jakiemi trudnościami wypadało walczyć przy organizacji naszych oddziałów, stwierdzając jednocześnie, że sprawa formacji II-go korpusu nabierała realnych kształtów, duch zaś żołnierzy był wogóle dobry.

W Kijowie przedstawiciele misyj wojskowych koalicyjnych interesowali się bardzo sprawami naszych formacyj, często konferowali ze mną i za każdym razem powtarzali z naciskiem, że trzeba stworzyć nareszcie jedną silną władzę wojskową; co do Naczpola wyrażali się oni ironicznie, uważając go za instytucję, niezdolną do pracy twórczej, a nawet wprost szkodliwą.

W tym czasie zdawało się, że państwa centralne nie będą mogły zawrzeć pokoju z Rosją w braku jakiejkolwiek władzy, uznanej przez większość ludności. Wielkorosja zupełnie biernie poddawała się bandzie bolszewickiej, Ukraina nie posiadała realnej władzy nawet w najbliższym rejonie Kijowa.

Powstał wtedy w cudzoziemskich misjach plan, by zrezygnować z udziału Ukrainy w czynnej akcji bojowej i zorganizować z korpusów polskich, rumuńskich i czeskiego, pomiędzy Pińszczyzną a Dunajem, front ochronny, mający na celu niedopuszczanie wywozu do Niemiec z kraju produkcji rolnej oraz surowców. Mieliśmy zatem wystąpić otwarcie przeciwko państwom centralnym, co odpowiadało zupełnie opinji większości narodu polskiego. Projektowany plan wydawał się z punktu widzenia

strategicznego wykonalny, z następującemi zastrzeżeniami:

a) Liczebność tworzącej się skombinowanej armji wschodniej nie pozwalała nawet w przybliżeniu obsadzić przyjętego w wojnie obecnej pasa obronnego na całej rozciągłości frontu, należało przeto skupić armję w kilku oddzielnych grupach, łącząc je dużemi masami jazdy; takie ugrupowanie pozwalało manewrować skutecznie w razie nacisku przeciwnika na którąkolwiek grupę, tamowało również wywóz produktów.

b) Teren poza linją frontu musiał być odpowiednio przygotowany pod względem aprowizacyjnym i komunikacyjnym, mając główną podstawę na linji Dniepru.

c) Należało sobie zabezpieczyć udział jazdy kozackiej; była ona mniej zdemoralizowana od innych rodzajów broni i dałaby się zapewne nakłonić do służby dobrowolnej za pieniądze po stronie koalicji. Tylko liczna kawalerja mogła zabezpieczyć należytą łączność i tyły.

Duże trudności przedstawiała kwestja wyżywienia tak wielkich mas wojsk. Liczyć na wojskowe składy nie było można, większość była już rozkradziona, zresztą niechęć władzy ukraińskiej potrafiłaby uniemożebnić oddziałom korzystanie z istniejących jeszcze magazynów. Projektowałem więc oprzeć zaprowjantowanie na prywatnych zapasach ludności wiejskiej, a szczególniej obywateli polskich, bardziej skłonnych do poddania się dobrowolnej rekwizycji, niż chłopi; składy chciałem utworzyć przy punktach koncentracyjnych, zupełny brak danych statystycznych o rozmieszczeniu zapasów utrudniał jednak bardzo robotę. Odpowiedni memorjał

złożyłem przedstawicielom misyj wojskowych, prosząc o wyjaśnienie punktów niedość wyraźnych.

W połowie stycznia przyjechał do Kijowa pan Zdziechowski i zawiadomił mnie, że przywiózł miljon rubli na nasze formacje. Prosiłem go, by pieniądze te jak najprędzej przekazał Naczpolowi, gdyż położenie inspektoratu było krytyczne, praca przerosła o wiele siły nielicznych pracowników, a rozwinąć wydziałów dla braku funduszy nie mogłem; prowincja bombardowała mnie również żądaniem przysłania pieniędzy. Pan Zdziechowski zauważył jednak, że powinien przedewszystkiem przedstawić Naczpolowi budżet inspektoratu, normalnego korpusu i punktów koncentracyjnych, gdyż Koalicja chętnie daje pieniądze, ale na określone cele, Naczpol zaś jest zbyt chaotyczny.

Budżet ten przedstawiłem, prosząc o zatwierdzenie go i o pieniądze. Odpowiedzią było głuche milczenie, wobec tego, znaglony koniecznością, wziąłem bezpośrednio od pana Zdziechowskiego potrzebną mi sumę. Fakt ten wywołał w Naczpolu duże oburzenie, menerzy nasi pragnęli koniecznie, by wszelkie finansowanie załatwiano przez nich; rozumieli oni dobrze, że cały autorytet tej dziwnej centrali opierał się tylko na kwestji pieniężnej.

ROZDZIAŁ IV.

Rada Międzypartyjna postanowiła jednak ostatecznie, w porozumieniu z misjami, doprowadzić do rozwiązania Naczpola i stworzenia silnej władzy, czysto wojsko-

wej; dalsze finansowanie sprawy formacyj uzależniono od przyjęcia tego warunku.

Takie rozwiązanie było wprost koniecznością, gdyż przedewszystkiem unieszkodliwiało Naczpol i stawiało na czele wojska jedną fachową władzę; uważałem również za celowe, by dowództwo ogólne objął generał Dowbor-Muśnicki. Byłem od niego znacznie starszy w szarży, ale on miał za sobą poważny czyn — utworzył w ciężkich warunkach korpus, co mu znakomicie ułatwiało walkę z wewnętrznem warcholstwem i partyjnictwem.

Ta nowa organizacja rozwiązywała mi jednocześnie ręce, napisałem więc do pana Zdziechowskiego list [1]), w którym, po wyjaśnieniu sytuacji strategicznej i organizacyjnej, zapytywałem, czy mój wyjazd do Francji jest wciąż aktualny. Odpowiedź ustna brzmiała, że żądane przeze mnie wyjaśnienia nie zostały jeszcze z Francji otrzymane, a Rada Międzypartyjna nie nalega na przyśpieszenie, uważając pracę moją na miejscu za nader pożądaną.

Ja osobiście byłem co do wyników naszej akcji usposobiony bardziej sceptycznie, głównie z przyczyn natury wewnętrznej. Psuły sprawę doskonale zorganizowane czynniki lewicowe, a także warcholstwo, nieuctwo i wygórowane ambicje różnych przypadkowych jednostek, które dzięki bierności powszechnej wysunęły się na stanowiska czołowe. Zniechęcenie moje wzmocnił list

---

[1]) Dok. Nr. 21.

ks. Syczewskiego [1]), w którym donosił on mi, że zjechał do korpusu Komitet Frontu Rumuńskiego z kapitanem Bobickim, jako prezesem, i rządzi się tam, wtrąca do spraw służbowych, uzurpując sobie jakieś prawa do przewodnictwa nad dowództwem korpusu. Wyglądało to na Naczpol Nr. 2, miałem zatem już dwa czynniki, paraliżujące czynności władzy wojskowej. Nie było jednak w liście ani słowa, czy generał Stankiewicz załatwił się z tym sowietem w krótki sposób; przypuszczałem więc, że i tu musiał nastąpić niezdrowy ferment oraz rozkład.

Tymczasem przedstawiciele Koalicji nalegali, byśmy natychmiast przystąpili do zajęcia projektowanego odcinka frontu pomiędzy Żytomierzem a Mohylowem podolskim. Nie zgodziłem się na to, żądając, by mi naprzód dano wyjaśnienie co do złożonego przeze mnie memorjału. Odpowiedź otrzymałem zupełnie mglistą: „zapasy są, ale gdzie i w jakiej ilości, niewiadomo; koleje istnieją, ale czy mają dostateczny tabor i węgiel, niema danych; stworzyć podstawę operacyj na linji Dniepru będzie dobrze, co się zaś tyczy kozaków, to kwestja ta nie była dotąd poruszana".

Tak powierzchowne ujęcie sprawy nie dawało żadnych podstaw do rozpoczęcia operacyj, oświadczyłem więc twardo, że należy naprzód ustalić i przygotować akcję wstępną, co zajmie minimum miesiąc czasu, w ciągu którego można będzie jednocześnie przewieźć

---

[1]) Kapelana II pol. Korpusu, wybitnego działacza narodowego.

I-y korpus z rejonu Bobrujska na Ukrainę, uporządkować jego artylerję i tabory, wyzyskać nakoniec instruktorów dla formacyj II-go i III-go korpusów.

Przeniesienie I-go korpusu z rejonu Mińska mogło się odbyć tylko koleją przez Korosteń - Żytomierz; możliwość przejazdu przez Mińszczyznę musiał korpus zabezpieczyć sobie własnemi środkami, na terenie Ukrainy trzeba mu było pomóc. W braku zorganizowanych własnych sił na Wołyniu, zwróciłem się z prośbą o pomoc do Czechów, którzy mieli w Żytomierzu i Berdyczowie dywizję piechoty dobrze zaopatrzoną; proponowałem, by oddziały czeskie w oznaczonym terminie zajęły stacje w Korosteniu, Żytomierzu, Berdyczowie oraz Winnicy, ułatwiając oddziałom korpusu przejazd oraz aprowizację.

Projekt mój rozważany był w Kijowie na dwóch posiedzeniach, przy udziale przedstawicieli Czechów (jednym z nich był profesor Maksa) i oficerów misji francuskiej. Bardzo zaniepokoiła Czechów konieczność naruszenia głoszonej przez nich zasady neutralności wobec bolszewików; protestował również szef sztabu korpusu czeskiego (Rosjanin), dowodząc, że Czesi winni się cofnąć za Dniepr dla połączenia z 2-ą czeską dywizją, organizującą się w gubernji połtawskiej; ale wobec nalegania Francuzów, którzy utrzymywali czeski korpus na swym żołdzie, plan mój został zasadniczo przyjęty.

Na tem skończyły się wstępne rokowania.

Z frontu szły wciąż niepomyślne wieści; w Rumunji bolszewicy przeszkadzali skutecznie formowaniu 5-ej

i 6-ej dywizyj polskich; żołnierz nasz rozłaził się i wsiąkał w zdemoralizowaną doszczętnie tłuszczę rosyjskiego żołdactwa, zalewającą wszystkie miasta i miasteczka Ukrainy; punkty koncentracyjne nie dawały się w żaden sposób ująć w wojskowe ramy organizacyjne, nabierały cech przytułków dla włóczęgów polskich, gdzie otrzymywali dach nad głową, bezpłatne pożywienie, a często i ubranie; nie chcieli jednak uznawać karności wojskowej i służby, a gdy ich trochę naciskano, odchodzili w poszukiwaniu lekkiego życia.

Ponieważ organizacja polskich oddziałów na Ukrainie postępowała wolno, zgodziłem się dla pewnego zabezpieczenia ludności polskiej na istnienie lokalnych oddziałów partyzanckich, utrzymywanych kosztem obywateli; miałem zamiar wcielić ich zczasem, o ile zachowanie oddziałów odpowiadało godności polskiego żołnierza, do polskiej siły zbrojnej. Jeden taki oddział istniał już na Podolu w Antoninach pod dowództwem porucznika Jaworskiego; oddał on całej okolicy duże usługi, ratując spokojną ludność od pogromów i rozbojów zdziczałego chłopstwa. Dałem również pozwolenie na sformowanie owruckiego oddziału partyzanckiego chorążemu Sobockiemu, rekomendowanemu mi przez kilku obywateli, ale cofnąłem je po paru dniach po otrzymaniu pewnych danych o awanturniczych skłonnościach tego pana.

W końcu stycznia sytuacja w Kijowie stała się ciężka; bolszewicy rozbili Ukraińców w otwartem polu, zagrozili bezpośrednio miastu z za Dniepru. Rząd Petlury

tracił coraz bardziej na powadze, ludność przestała mu wierzyć, oczekując zbawienia — czy to od Niemców, którzy mieli nadciągnąć z zachodu, czy też od oddziałów polskich, zbliżających się rzekomo od północy. Opowiadano sobie o tem na ulicach, pisano w dziennikach, nasza polityczna sytuacja jednak wymagała z naciskiem zachowania neutralności w stosunku do stron walczących, ogłoszony więc został rozkaz do wszystkich oddziałów polskiej siły zbrojnej [1]), polecający im zachowanie w tak ciężkich warunkach należytej rozwagi i zimnej krwi i przestrzeganie ścisłej neutralności.

Pod naciskiem konieczności finansowych zdecydował się nareszcie Naczpol ustąpić; odmówiła mu dalszych datków pieniężnych Rada Międzypartyjna, przestały zasilać te instytucje społeczne, które go poprzednio szczodrze wspierały.

Naczpol miała zastąpić Rada Naczelna, złożona z pięciu czołowych członków zwijanej organizacji, a mianowicie: pułkowników Tupalskiego i Żeligowskiego [1]), podporuczników Raczkiewicza oraz Jakowickiego i urzędnika Jamontta; ja wchodziłem do Rady jako fachowiec z głosem decydującym; do składu jej miało również należeć dwóch członków Rady Międzypartyjnej, która zachowywała w swym zarządzie dział finansowy. Gen. Dowbor-Muśnicki stawał na czele całego wojska, z chwilą gdy polskie siły zbrojne znajdą się w jednym

---

[1]) Dok. Nr. 22.

rejonie; zarząd naczelnego inspektora przekształcał się w podlegający mi Główny Zarząd Wojskowy.

Organizacja ta, wprowadzająca jedność dowództwa, była pewnym postępem w porównaniu z dotychczasowym bezładem, nie odpowiadała pozatem zupełnie warunkom ogólnym, była wynikiem chybionego kompromisu, mającego na celu zadowolenie ambicyj osobistych menerów Naczpola. Najprostsze rozwiązanie polegało na objęciu władzy politycznej i finansowej przez Radę Międzypartyjną, uzupełnioną przez członka — wojskowego fachowca, przekazaniu pełni dowództwa generałowi Dowbor-Muśnickiemu i rozwiązaniu zupełnemu Naczpola. Projektowana zaś organizacja zapowiadała odrazu szereg tarć: na sześciu członków rady — pięciu należało do b. Naczpola, byli z sobą zgrani, posiadali zatem absolutną przewagę głosów w stosunku do mnie.

Obawy me wypowiedziałem członkom Rady Międzypartyjnej — p.p. Grabskiemu i Zdziechowskiemu. Uspokoili mnie oni jednak zapewnieniem, że mogę stale liczyć na ich poparcie, skuteczne na pewno wobec posiadania w ręku rady zarządu finansowego.

Członkowie naczpoliści powstającej rady zaproponowali natychmiast powołanie do niej szeregowca Kulikowskiego „dla demokratyzacji zarządu“; zaprotestowałem stanowczo, uważając już obecny skład Rady za zbyt demokratyczny, a udział w nim żołnierza za krok demagogiczny.

---

[1]) Zdania tych pułkowników nie słyszałem ani razu.

ROZDZIAŁ V.

W miarę zbliżania się do Kijowa bolszewików stosunek władz ukraińskich do nas stawał się coraz tkliwszy; codziennie meldował się u mnie przedstawiciel Petlury, proponował broń, aprowizację, błagał o pomoc, dopytywał się, czy I-y polski korpus zbli.a się rzeczywiście od północy.

Z tych wszystkich propozycyj skorzystaliśmy o tyle, żeśmy na ofiarowanym nam a odbieranym kilkakrotnie punkcie koncentracyjnym i zebrali i zorganizowali oddział przeważnie oficerski, z niedużą domieszką żołnierzy; liczył on 220 ludzi, posiadał odebrane Ukraińcom dwie górskie armaty; na czele stanął energiczny, fachowy żołnierz, pułkownik artylerji Rummel.

Oddział ten otrzymał ode mnie rozkaz ochraniania znajdującej się na froncie walki elektrowni miejskiej, na zasadach ścisłej neutralności; uważałem to za konieczne dla zabezpieczenia miasta od pogromu, nieuchronnego w razie zgaszenia światła. Kijów był przepełniony zbolszewiczoną tłuszczą ludzką, żądną rabunku i krwi.

Bolszewicy nacierali jednak coraz bardziej i w pierwszych dniach lutego wyparli Ukraińców z lewego brzegu Dniepru; ustawiona nawprost miasta, „na Browarach", ciężka baterja poczęła gromić „burżujską" dzielnicę dokoła teatru, w pobliżu którego rezydowała w muzeum Naczelna Rada Ukraińska.

Bombardowanie to nie czyniło narazie dużych szkód, ludność szybko przyzwyczaiła się do odpowiednich

manewrów ulicznych, ukrywając się po bramach w chwili nadlatywania pocisku. Na mojem życiu osobistem zaciężył jednak obstrzał bardzo: obok teatru, w hotelu François, mieszkała moja żona z synkiem, znaleźli się więc oni w centrum ognia, nie byłem zatem ani chwili pewnym ich życia. Położenie pogorszyło się znacznie, gdy zamknięto w hotelu restaurację, wypadło więc szukać obiadów na mieście pomimo coraz bardziej wzmagającego się bombardowania. Pociski poczęły wkrótce latać z różnych stron, przejście ulicami śródmieścia stawało się wprost niebezpieczne, ale nie było rady; codziennie w porze obiadowej rodzina moja pod kierunkiem jednego z oficerów sztabu, manewrując umiejętnie pomiędzy jedną a drugą stroną ulicy, zależnie od kierunku kolejnej serji nadlatujących pocisków, przedostawała się na ul. Puszkińską, gdzie nas żywiono w prywatnym lokalu. Względnie spokojne zjedzenie obiadu zależało od szczęśliwego wyboru pokoju, mniej narażonego na wizytę niepożądaną ciężkiego pocisku.

Obrona miasta była nad wyraz niedołężna; bolszewicy znaleźli się wkrótce na prawym brzegu rzeki, w samem mieście podeszli stopniowo ku głównej arterji — Kreszczatikowi. Do grzmotu pękających pocisków dołączyło się gdakanie kulomiotów, a kule karabinowe coraz częściej bzykały nad uchem, gdy się odbywało przymusowe spacery po ulicach.

W tym okresie uformował się samodzielnie polski oddział partyzancki, pod wodzą dzielnego wolon-

tarjusza, aptekarza z zawodu, Ejzerta; wziął on czynny udział w walce o Kijów, bijąc się z dużem męstwem.

Naturalnie wiedzieli o tem doskonale bolszewicy, mając zatem na względzie ochronę ludności polskiej od ich krwawej zemsty w razie zdobycia miasta, musieliśmy zaznaczyć urzędowo brak łączności wojskowych władz polskich z tą organizacją ochotniczą. Wydała więc dopiero co skrystalizowana Rada Naczelna Polskiej Siły Zbrojnej odezwę, datowaną d. 8 lutego, w której zaznaczono, że rozsiewanie przez prasę ukraińską wiadomości, jakoby I-y Korpus Polski szedł na pomoc Ukraińcom, są całkowicie zmyślone.

Dla uniknięcia samowolnych wystąpień jednostek po stronie Ukraińców został ogłoszony rozkaz do żołnierzy, przypominający im obowiązujące ich stanowisko zasadniczej neutralności w stosunku do kraju, z gościnności którego zniewoleni są korzystać.

D. 6 lutego rada Ukraińska zwróciła się do naczelnej władzy Polskiej Siły Zbrojnej z prośbą o współdziałanie; w odpowiedzi oświadczono jej przedstawicielom:

a) Polska Siła Zbrojna ma jeden cel przed sobą — Niepodległą Zjednoczoną Ojczyznę.

b) Żywimy braterskie uczucia dla wszystkich narodów, dążących do wolności i samodzielności.

c) P. S. Zbrojna musi zachować zupełną neutralność.

7 lutego zeszliśmy się w prywatnym lokalu dla ostatecznego opracowania podstaw działania Naczelnej Rady; oprócz mnie byli pp. Grabski, Raczkiewicz i Ja-

montt; ustalenie tekstu, wskutek stałej różnicy zdań pomiędzy panem Grabskim a panem Jamonttem, wywoływało dłuższe spory, które przeciągnęły posiedzenie do 4 rano. W tym czasie bombardowanie tej właśnie dzielnicy doszło do takiego napięcia, że, nie chcąc bez potrzeby ryzykować życia, postanowiliśmy przenocować na miejscu.

Nazajutrz o godzinie 8-ej rano przedostał się do mnie podporucznik Dunin-Holecki [1]) z meldunkiem, że Petlura błaga o natychmiastowe wkroczenie polskiego oddziału do walki, gdyż położenie Ukraińców staje się z dnia na dzień krytyczniejsze. Kazałem mu odpowiedzieć, że przedewszystkiem muszę zachować zapowiedzianą neutralność, zresztą udział nasz niewieleby pomógł, gdyż posiadam w Kijowie zaledwie drobny oddziałek, który ochrania elektrownię.

Na to odezwał się profesor Grabski, który spał w tym samym pokoju:

„Niech pan każe powiedzieć Petlurze, że dostanie nasz oddział, o ile Ukraińcy zwalą traktat brzeski".

Ogromnie zdziwiony tą propozycją, zauważyłem, że wartość udziału w walce oddziału polskiego w porównaniu z ceną traktatu brzeskiego jest zbyt niewspółmierna, nie postawię zatem Petlurze takiego żądania.

Dzień 8 lutego zapowiadał się gorąco; nastrój w mieście był paniczny, ulice wyludnione; biuro me znalazło się też w sferze działania ciężkich pocisków, ale nikt nie ucierpiał. W południe przyszedł do mnie pułkownik Rummel z raportem, że zajął on ze swym oddziałem klasztor na północno-zachodnim krańcu miasta i przy-

gotował go do obrony. Uprzedziłem pułkownika, że sytuacja jest groźna, wobec czego na dany rozkaz ma zebrać cały oddział w klasztorze, który zaznaczyłem jako punkt zbiórki wojskowych Polaków.

O godzinie 15-ej wróciłem do hotelu; zastałem tu powszechne przygnębienie i przestrach. Pociski trafiły do kilku pokojów na naszem piętrze, rozbiły rury wodociągowe i wywołały zalew, jako tako zatamowany; mieszkańcy, z wyjątkiem mojej rodziny, schronili się na parterze.

Zastałem u siebie generała Leśniewskiego; przyszedł on piechotą z ostatniej stacji przed Kijowem, pociąg nie mógł już dojechać do miasta, silnie bombardowanego tego dnia. Generał jechał do Kijowa wraz z rodziną przez kilka tygodni okrężną drogą, pragnąc uniknąć bolszewików; do miasta przyszedł sam, nie chcąc narażać kobiet na niebezpieczeństwo.

Zameldował się również wkrótce hr. R. Grocholski, mój łącznikowy oficer przy Ukraińcach, z wiadomością, że zrezygnowali oni z dalszej walki i w danej chwili uciekają pośpiesznie z miasta.

Nie było chwili do stracenia; postanowiłem opuścić Kijów, wraz z oddziałem, maszerując na Znamienkę i Humań, dla połączenia się z II-im korpusem. Odradzał mi jednak ten kierunek generał Leśniewski, który przejeżdżał świeżo przez te okolice; znajdowały się tam liczne oddziały uzbrojonych chłopów, które mogły z łatwością przeciąć nam drogę. Zmieniłem więc projektowaną marszrutę na Żytomierz. Odpowiedni rozkaz zaniósł pułkownikowi Rummlowi podporucznik Dunin-

Holecki, ja zaś udałem się do lokalu, zajmowanego przez członków Rady Naczelnej.

Pozostawać w Kijowie jawnie wobec wrogiego stosunku bolszewików do wojska polskiego było zbyt ryzykowne a bezcelowe, gdyż ustaćby musiała wszelka praca Rady; ukrywać się w przebraniu nie uchodziło — nie licowało to nietylko z godnością Rady Naczelnej, ale i poczuciem żołnierskiem. Zaproponowałem więc, by cała Rada wyszła z miasta wraz z oddziałem. Projekt mój nie podobał się zupełnie; p. p. Raczkiewicz i Jamontt woleli się zakonspirować; zgodził się pójść z nami tylko porucznik Jakowicki, zresztą nie przyszedł on na punkt zbiórki i pozostał również w mieście.

W powrotnej drodze do hotelu zaalarmowałem oficerów inspektoratu, pułkownika Kowalewskiego i poruczników braci hr. Tarłów, rozkazując im udać się natychmiast do biura naszego, zabrać tajne dokumenty, zniszczyć pozostałe i przyjść do mnie do hotelu.

Ściemniło się już, ale na ulicach zupełnie wyludnionych widno było jak w dzień, paliło się w śródmieściu, jak olbrzymie pochodnie, kilka kilkupiętrowych kamienic, niebo płonęło krwawą łuną, groza niezmierna dawała się odczuwać z poza zamkniętych bram i ciemnych okien. Ogień karabinowy prawie ustał, wzmogło się zato bardzo bombardowanie dzielnicy teatralnej, w której centrum znajdował się hotel „François".

Wróciłem jednak do hotelu pomyślnie i zakomunikowałem żonie, że wychodzę w nocy z oddziałem; przyjęła

---

[1]) Mój adjutant.

tę decyzję mężnie, ale z dużem wzruszeniem, i wzięła się energicznie do pakowania moich rzeczy.

Obecny przy rozmowie generał Leśniewski zaoponował jednak gorąco przeciwko memu postanowieniu pozostawienia rodziny w Kijowie. Tłumaczyłem mu, że obecność przy lotnej kolumnie kobiety i dziecka jest nader niepożądana, może wywołać komplikacje, trudne do przewidzenia.

„A co zrobisz," — spytał nareszcie generał — „jeżeli po naszem odejściu bolszewicy wtrącą do więzienia twoją rodzinę i zażądają twego powrotu pod groźbą ich śmierci?"

Odpowiedź na to mogła być tylko jedna, wróciłbym bez wahania; ostatni argument przekonał mnie, — z ciężkiem sercem poleciłem żonie przygotować się do drogi.

Pierwsza komplikacja polegała jednak na trudności dostania się do klasztoru Pokrowskiego, bardzo oddalonego od centrum miasta; niezależnie od ognia artyleryjskiego można było z łatwością spotkać się z bandami, grasującemi już bezkarnie w mieście. Na szczęście nadszedł wkrótce od pułkownika Rummla oficer z raportem, że oddział zebrał się już w klasztorze i czeka w pogotowiu bojowem na dalsze rozkazy. Poleciłem więc przysłać sobie jakiekolwiek auto, zapowiedziałem swój przyjazd przed północą i kazałem ściągnąć straż polską z elektrowni przed 1-ą godziną z rana.

Okres oczekiwania był bardzo męczący; ku nocy siła bombardowania wzmogła się znacznie, bolszewicy strzelali serjami z kilku baterji; coraz to pękały dokoła

pociski, obrzucając hotel odłamkami granatów i strugami kul szrapnelowych, które tłukły szyby i dzwoniły po żelaznych balkonach. Omal nie padł ich ofiarą generał Leśniewski, gdy się na chwilę wychylił na balkon.

Fakt bombardowania uspokoił mnie jednak w pewnym stopniu, gdyż wskazywał, że bolszewicy jeszcze nie znają sytuacji w mieście i nie złożą nam w najbliższym czasie niepożądanej wizyty.

Wydostać się z hotelu w zwykły sposób było trudno, należało wyzyskać przerwy w ogniu. Gdy więc o godzinie 22-ej nadjechało auto, ukryliśmy je natychmiast pod teatralnym murem, a wyjeżdżająca grupa — żona z synem, generał Leśniewski i dwóch oficerów — zebrała się w zupełnem pogotowiu w hallu hotelowym.

Nadleciała kolejna serja bomb, napełniła plac blaskiem, dymem i grzmotem wybuchów, przeleciały z wyciem roje odłamków, nastała cisza; w jednej chwili znalazło się auto przed hotelem, wchłonęło wszystkich odjeżdżających i pomknęło całym pędem w ciemną bocznicę.

Odetchnąłem, pierwszy krok udał się, a ja czekałem dalej na powrót wysłanych do inspektoratu adjutantów. Nadeszła jednak północ, a ich wciąż nie było. Dłużej zwlekać nie mogłem, w pobliżu hotelu ukazały się grupy podejrzanych ludzi, oświetlenie elektryczne mogło lada chwila zagasnąć, gdy więc wróciło auto, wyjechałem i ja do klasztoru. Po drodze obserwowałem rozpoczynające się na ulicach nieśmiałe narazie sceny rabunku, łatwo było jednak domyślić się, jak to wobec braku jakiejkolwiek władzy będzie wyglądało za kilka godzin.

U bramy klasztornej czekał na mnie z raportem pułkownik Rummel; z zadowoleniem wysłuchałem prawdziwie żołnierskiego meldunku o zastosowanych środkach ostrożności i pogotowiu bojowem; tabor był również przygotowany do jutrzejszego marszu.

Żonę zastałem w sali lazaretu, panowała doskonale nad sobą, syn spał; ja spędziłem noc, czuwając, gdyż niepokoiłem się o los pozostawionych w mieście oficerów; nadeszli jednak nad ranem, przynosząc wszystkie tajne dokumenty. Opóźnienie wynikło z powodu długiej procedury palenia zwykłej korespondencji inspektoratu; w ciągu nocy bolszewicy kilkakrotnie ostrzeliwali klasztor z ciężkich dział, ale wszystkie pociski przenosiły.

ROZDZIAŁ VI.

Nad ranem ucichła kanonada. Wymarsz naznaczyłem na godzinę 7-ą, posłany w kierunku marszu wywiad stwierdził, że droga jest wolna.

Dzień zapowiadał się ponury, prószył drobny śnieg, mróz zelżał, nisko zawisło nad ziemią ołowiane niebo. Oddział ruszył, mając szpicę na czele, pośrodku kolumny jechały cztery panie i dzieci. Obecność ich mogła bardzo skomplikować sytuację, ale musiałem milczeć, skoro znajdowała się tam i moja rodzina.

Obawiając się zasadzki, szliśmy wolno, ostrożnie, mając karabiny i armatki gotowe do strzału, ale dokoła

panowała wciąż głęboka cisza. Miasto spało jeszcze, gdzie niegdzie migało tylko w oknach mdłe światełko lampki; ulice były zupełnie puste, parę razy ukazywały się jakieś sylwetki, ale, ujrzawszy wojsko, ginęły natychmiast w zaułkach.

Droga dłużyła się ogromnie, możliwość walki ulicznej nie była wyłączona, a musiałaby ona dla tak słabego oddziału skończyć się tragicznie. Wyglądałem więc z upragnieniem chwili wysunięcia się z podejrzanych uliczek przedmieścia. Odetchnąłem nareszcie, gdym ujrzał przed sobą otwarte, zaśnieżone pole; najgorsza chwila minęła szczęśliwie. Do szosy mieliśmy jednak kilka kilometrów bocznej drogi; była ona niezła, ruszyliśmy więc raźnie naprzód, w kilka minut wszakże dał się słyszeć od tyłu kolumny okrzyk: „Bolszewicy wychodzą z miasta"!

Obejrzałem się: rzeczywiście z za domów wysypywały się grupy żołnierzy i rozwijały tyraljerę, posuwając się zwolna za nami. Walka zdawała się nie do uniknięcia, zatrzymałem więc oddział i zwróciłem go frontem ku wrogowi w szyku bojowym; zakazałem jednak strzelać, póki nie padnie chociażby jeden strzał ze strony bolszewików. Zdaje się, że nasz spokojny manewr zadziwił przeciwników, zatrzymali się, jakby wyczekując czegoś; przez kwadrans może staliśmy tak naprzeciw siebie o kroków kilkaset, poczem bolszewicy cofnęli się spokojnie do miasta, mieliśmy więc wolną drogę do Swiatoszyna, gdzie wyznaczyłem pierwszy nocleg. Odeszliśmy od Kijowa zaledwie 10 wiorst, ale wobec ciężkiej nocy, poprzedzającej odmarsz, i dużego napię-

cia nerwowego u wszystkich, dłuższy odpoczynek uważałem za konieczny.

Nie dochodząc do szosy, minęliśmy ogromny park lotniczy, porzucony przez obsługę; pełno tam było beczek z benzyną, sznurów, namiotów, narzędzi. Gospodarka szakali okolicznych jeszcze się tu nie rozpoczęła. W Światoszynie obozowała tylna straż cofającej się siły zbrojnej Ukraińców; była ona tylko luźną watahą rozhukanych mołojców uzbrojonych, bez żadnych śladów wojskowych organizacji. „Ataman“ Petlura miał się znajdować o kilka kilometrów dalej.

Oddział nasz rozlokował się na noc w wolnych barakach szpitala wojskowego. Naczelny lekarz przywitał nas narazie gościnnie, młodszy personel o wiele mniej życzliwie; było nam to zresztą zupełnie obojętne, nie mieliśmy zamiaru popasać tu długo, a posiadaliśmy dość siły, by wziąć to, co nam było konieczne. „Sympatyczny“ stosunek władz szpitalnych ujawnił się jednak wyraźniej wieczorem; komitet szpitalny uznał, że szpital z charakteru swego jest instytucją neutralną, nie może zatem dać przytułku uzbrojonemu oddziałowi jednej ze stron walczących, żądał więc, byśmy się w najkrótszym czasie usunęli.

Łatwo było zrozumieć motywy, które wywołały protest komitetu, nie mający zresztą dla nas najmniejszego praktycznego znaczenia. Spytałem jednak lekarza, który mi go zakomunikował, czy mu nie wstyd zwracać się z podobnem żądaniem do polskiego oddziału, zachowującego się zupełnie pokojowo.

Pytanie me wywołało na twarzy naszego gospodarza wyraz zakłopotania i przykrości: „Panie generale — zawołał — to naprawdę nie moja wina, jestem stanowczo przeciwny uchwale, ale została ona powzięta pod naciskiem waszego rodaka, studenta medycyny, który jest u nas intendentem i nastraszył personel widmem represyj bolszewickich".

„No, to powiedz pan komitetowi — odpowiedziałem — że zająłem szpital na podstawie prawa wojennego, będę tu siedział, ile mi się spodoba, i nie radzę nikomu okazywać nam nawet cienia niezadowolenia."

Byłem moralnie przekonany, że bolszewicy, zdobywszy miasto, nie rozpoczną pościgu za nami tego samego dnia; na wszelki wypadek jednak kazałem zatoczyć czaty dokoła naszej kwatery od zmroku i nie wypuszczać nikogo poza obręb szpitala. Noc minęła zupełnie spokojnie.

Nazajutrz przed wymarszem przyszedł do mnie dowódca kijowskiego oddziału partyzanckiego, Ejzert, i zakomunikował, że wyszli oni z Kijowa razem z Ukraińcami, ale mają już ich dość i pragną walczyć nadal pod memi rozkazami. Zgodziłem się na to, gdyż przyłączenie oddziału partyzantów dobrze już ostrzelanych, wzmacniało me szczupłe siły; żądałem tylko, by szli oni jako przednia straż oddziału. Wolałem trzymać wolontarjuszy zdala od moich żołnierzy — wśród partyzantów było trochę t. zw. „kmicicowej kompanji".

W chwili wyjazdu okazało się, że dwaj szoferzy, którzy jechali z oddziałem, znikli, zabierając z sobą magneta; przykra dla nas była ta mała niegodziwość

rodaków, zato bez żalu skonstatowaliśmy, że personel szpitala zapodział się gdzieś, nie chcąc żegnać „chełpliwych Lachów".

Ranek był słoneczny, mroźny, szosa dobra, raźnie więc ruszył oddział na zachód. Generał Leśniewski nie szedł z nami, kupił w Swiatoszynie wóz z parą koni i pojechał po swoją rodzinę; miał nas dogonić w drodze. Szosa była prawie pusta, niekiedy tylko spotykaliśmy pojedyńczych kawalerzystów, wracających z frontu do domu; jechali zwykle na dobrych koniach, byli dobrze uzbrojeni i wyekwipowani. Gdy mijali nasz oddział, zsadzano ich grzecznie i proszono o oddanie oręża wraz z koniem, napomykając nawiasem o stryczku, który się należy dezerterom. Przy tej operacji nie zdarzyło się ani razu, by który z tych bohaterów protestował; odchodził więc w spokoju, ale już pieszo. W ten sposób doszliśmy potrochu do plutonu jazdy, na czele którego stanął rotmistrz Rudnicki; można było w razie potrzeby wysyłać podjazdy na wywiady i przygotowanie noclegów.

Oddział żywił się przy pomocy rekwizycji za gotówkę, którą jeszcze posiadałem. Kwestja ta wywoływała kilkarotnie pewne zgrzyty wewnętrzne: niektórzy oficerowie próbowali „rekwirować" na własny rachunek. Nadużycia te skarciłem surowo i wkrótce ustały one na czas pewien. Wogóle duch w oddziale był dobry, pomimo niepewności naszej sytuacji, długie marsze dzienne uprzyjemniano sobie śpiewem chóralnym i koleżeńskiemi żartami. Przykro było tylko patrzeć na nieodpowiednie wyekwipowanie niektórych oficerów, których nagły

wymarsz zaskoczył widocznie: n. p. porucznik marynarki Latour maszerował w balowych lakierkach.

Drogę do Żytomierza chciałem przejść w ciągu sześciu dni, licząc przeciętnie 30 wiorst dziennie; ze względu na krótkie dni zimowe było to nieco za dużo, ale pewne przyśpieszenie marszu uważałem za konieczne. Doszły nas dwukrotnie wieści, że bolszewicy posłali za nami z Kijowa dwa oddziały koleją — na Berdyczów i Korosteń; miały one wyprzedzić nas, wyładować się na odpowiednich stacjach i wziąć w kleszcze z obydwóch stron. Nie udało się im to jednak, nie śpieszyli się widocznie i nikt nas w drodze nie zaczepił. Stosunek ludności do nas był spokojny, jakby wyczekujący; skorzystałem z tego i wyprawiłem naprzód sanitarką do Żytomierza wszystkie kobiety, które jechały przy oddziale.

Noclegi mieliśmy dobre po dużych wsiach, odpowiednie środki ostrożności były naturalnie stosowane. Przedostatni postój wypadł nam w Korostyszewie, gdzie dyrektor miejscowej fabryki przyjął nas nader gościnnie, wspominając serdecznie swe lata młodzieńcze, spędzone w Warszawie, gdzie ojciec jego był znanym pedagogiem, wyjątkowo cenionym i lubionym przez młodzież polską.

W Korostyszewie opuściłem oddział i wyjechałem autem do Żytomierza. Po kilku dniach pieszego spaceru niemęcząca i szybka jazda wydała się nader przyjemna. Miasto zastałem dość spokojne, ale przepełnione obywatelstwem, które się schroniło w mieście po zrabowaniu szlacheckich majątków przez chłopstwo.

Zajechałem do hotelu, w którym zatrzymała się moja rodzina. Wkrótce przyszedł do mnie pan Duszyński, komisarz ziemi wołyńskiej, ofiarowując swą pomoc przy rozlokowaniu oddziału; przyjąłem również delegację obywateli miasta, złożoną z p. p. Dowgiałły, hr. Komorowskiego i hr. Bnińskiego; chcieli oni poinformować się, czy mogę dać jakąkolwiek pomoc w razie wybuchu w Żytomierzu rozruchów.

Odpowiedziałem twierdząco, zastrzegając się jednak, że pomoc swą uzależniam od sił oddziału i sytuacji miejscowej, której jeszcze nie znam; jednocześnie prosiłem, by mi dostarczono nieco pieniędzy, gdyż oddział był już literalnie bez grosza.

Żądanie me wprawiło delegatów w widoczne zakłopotanie: gotówki ludność polska nie miała, pieniądze były ulokowane w banku, ale wydawał on zaledwie sto rubli tygodniowo na osobę, — obiecano mi jednak zebrać, co się da. Rzeczywiście otrzymałem nazajutrz 22 tysiące rubli, ale przeważnie kuponami lub czekami; pociecha z tego byłaby była mała, gdyby nie uprzejmość pana Świderskiego, wicedyrektora miejscowego banku rządowego, który przy energicznem pośrednictwie mej żony zmienił nam te małowartościowe znaki pieniężne na względnie solidne rosyjskie banknoty i „kierenki“, karbowańców unikaliśmy starannie. Przywiózł również pan Głębocki, członek Komitetu Walki z Anarchją, 7 tysięcy rubli. W sprawach naszych pomagał nam nader czynnie pan Wierczak, członek Rady Międzypartyjnej. Prośba moja o dostarczenie ochotnika do

jazdy, wraz z osiodłanemi końmi, nie dała żadnego rezultatu.

W zasadzie zamierzałem zatrzymać się w Żytomierzu przez dłuższy czas; przypuszczałem, że zbiorę tu większy, skombinowany z różnych rodzajów broni, oddział, stworzę mocny punkt oparcia i doczekam się nadejścia I-go korpusu, który według mych przypuszczeń powinien był opuścić Białoruś pod naciskiem bolszewików.

Liczyłem, że naczelnik rejonu, generał Piotrowski, dostarczy mi odpowiedniej ilości żołnierzy, zorganizowanych wojskowo, wraz ze środkami technicznemi i końmi. Zawiodłem się jednak; centralny organ rejonu nie stworzył literalnie żadnych zawiązków formacji, nie potrafił nic wyciągnąć z armji, stojących jeszcze na froncie; tylko w XI-ej armji, dzięki energji rotmistrza Engla, komisarza Naczpola, uformował się oddział kombinowany z tysiąca żołnierzy. Oficer ten jednak zupełnie niekarny, opanowany manją wielkości, prowadził własną politykę, nie liczył się z nikim, wreszcie wbrew memu rozkazowi wyruszył samowolnie w kierunku Kamieńca. Pozatem istniały jeszcze na Wołyniu po miastach drobne oddziały piechoty; jazda zdążyła zorganizować dwa pułki: jeden ułański w Antoninach, przeznaczony do I-go korpusu, i drugi w Winnicy, zawdzięczający swe powstanie energji pułkownika Kuncmana i pomocy hr. Z. Grocholskiego; w Antoninach również istniał regularny konny oddział partyzancki, zorganizowany i dowodzony przez porucznika Jaworskiego. Wogóle jazda formowała się prawie

samodzielnie, centrala w Żytomierzu zajęta była tylko polityką.

Dla wzmocnienia kijowskiego oddziału rozkazałem wcielić do niego osobisty skład oficerów i żołnierzy zebranych na żytomierskim i berdyczowskim punktach koncentracyjnych. Zameldowało się jednak zaledwie kilku żołnierzy, olbrzymia większość z generałem Piotrowskim na czele wolała pozostać w mieście. Do Engla wysłałem oficera z kategorycznym rozkazem nawrócenia oddziału do Winnicy.

W Żytomierzu zastałem całą Radę Ukraińską wraz z niedobitkami jej siły zbrojnej; wyglądała ona jednak na uzbrojoną bandę bez jakiegokolwiek znaczenia bojowego. W życiu miasta pobyt rządu ukraińskiego nie zaznaczył się niczem, dowiedziałem się o nim dopiero ex re wizyty u mnie „ministra wojny", porucznika Żukowskiego.

Pan ten prosił mnie o pomoc orężną. Odpowiedziałem krótko, że będę o tem mówił po otrzymaniu od Ukrainy dla wojska polskiego aprowizacji i broni. Na pytanie, z jakiego tytułu stawiam te żądania, odparłem, że jesteśmy tu nie z dobrej woli, ale z przymusu rządu rosyjskiego, którego spadkobierczynią jest Ukraina, ma ona więc obowiązek myśleć o nas, póki nam nie otworzą granic Polski.

Nie poszło to Żukowskiemu w smak, rozpoczął więc dyskusję na temat, że właściwie niewieleśmy im w ciągu walk kijowskich pomogli. Odparłem, że cała wina po ich stronie, gdyż przez dwa miesiące nie pozwalali nam zorganizować się, burząc nawet to, co już

było zrobione. Nawiasem mowiąc, Żukowskij był jednym z głównych szkodników. Nic na to „minister“ nie odpowiedział, spytał tylko: — „A jak to będzie z temi działami, któreśmy panu dali?“ — „Zostaną u nas — odparłem — boście ich nam nie dawali, wzięliśmy je wtedy, gdy zostały przez was porzucone wraz z całą artylerją“.

Widząc, że dyskusja nie prowadzi do celu, powtórzyłem raz jeszcze twardym tonem me żądanie, uprzedzając, że o ile potrzebnych wojsku rzeczy nie dostanę dobrowolnie, wezmę je siłą. Stropił się nieco pan minister i bąknął niepewnym tonem: — „Jakto, przecie na represję jest kontrrepresja?“ — Zgodziłem się z nim bez dyskusji, podkreślając, że na to jestem przygotowany. Na wychodnem oświadczył mi Żukowskij, że sprawy nasze rozpatrzy z Radą i da mi w określonym terminie odpowiedź, nie otrzymałem jej jednak zupełnie. Szanowna Rada wraz z ministrem ukryła się w mieście tak starannie, że nawet ukraińscy oficerowie, szukając jej bez skutku, prosili mnie o informację co do kryjówki własnego rządu.

W Żytomierzu rezydował również Wojskowy Komitet Wykonawczy Frontu Południowo - Zachodniego o typie zbliżonym do Naczpola, z lewicowem zabarwieniem; przyjął on wieść o rozwiązaniu Naczpola i wszystkich związków wojskowych wrogo. Odczytano mi na specjalnem posiedzeniu odpowiednią rezolucję: nazwano w niej świeżo wyłonioną Radę Naczelną dyrektorjatem i odmówiono jej uznania. „Naczpol nadużył swych pełnomocnictw, wszedł w układ z jedną partją polityczną — Kołem Międzypartyjnem, a I-y korpus, względnie

generał Dowbor-Muśnicki, wypowiedział w niewiadomym celu wojnę bolszewikom.—Ten frazes wskazywał aż nadto wyraźnie na tendencje komitetu, dopuszczającego rozbieżność pomiędzy decyzją dowódcy korpusu a zdaniem jego podkomendnych. Po wysłuchaniu tego wypracowania spytałem, jaki skutek praktyczny w stosunku do naszych formacyj będzie miało ogłoszenie rezolucji; odpowiedź brzmiała, że faktycznie przeciw nim agitować nie mają zamiaru, ale swoją drogą skutek będzie fatalny.

Wieczorem otrzymano z Kijowa wieść, jakoby członkowie Rady Naczelnej, którzy ukryli się w Kijowie, zostali wymordowani, a bolszewicy w drodze do Żytomierza dojechali już do Berdyczowa. Skutek tej wiadomości był szybki: nazajutrz Komitet Wykonawczy Frontu znikł, rozwiał się w przestrzeni, pozostawiając faktycznie na miejscu tylko ks. Zwolińskiego.

Narazie wieści te nie sprawdziły się, jednak nadejście bolszewików było prawdopodobne. Oddział kijowski, zbyt drobny, nie mógł samodzielnie bronić miasta, pojechałem więc do rosyjskiego generała Kołomienskiego, dowódcy dywizji czeskiej, by wyjaśnić nasz wzajemny stosunek. Generał przyjął mnie uprzejmie, ale zaznaczył, że chociaż posiada w Żytomierzu dwa pułki, pozostanie, w razie naszego zbrojnego starcia z kimkolwiek, neutralnym i nie zaznaczy żadnym czynem jakiejkolwiek życzliwości dla nas; obiecał jednak, że będzie mnie zawiadamiał telefonicznie o ruchach bolszewików w kierunku Żytomierza i sprzeda nam dwieście par butów. Na moje pytanie, co będą robili Czesi, jeśli

się zaczną w mieście zwykłe mordy bolszewickie, odpowiedział Kołomienskij po pewnem wahaniu, że o ile nie będą one polityczne, będzie bronił ludności. Zakomunikowałem mu o obiecanem przez prof. Maksę poparciu; odpowiedział, że nic o tem nie wie. Jasne więc było, że możemy liczyć tylko na samych siebie.

Napływ interesantów, szukających u mnie pomocy, był tak duży, że chwilami opanowywał mię zawrót głowy; niestety, mogłem pomagać tylko radą. Byli u mnie również kilka razy pułkownik armji francuskiej Paris i major belgijski Lejeune; po wspólnej naradzie postanowili oni jechać do Kijowa; wraz z nimi miał jechać podporucznik Piotrowski, przysłany mi z Kijowa do pomocy w sprawach cywilnych. Poleciłem mu przywieźć pieniędzy i dowiedzieć się od pozostałych w mieście członków Rady, jak im się przedstawia stosunek oddziałów polskich do zbliżającej się okupacji niemieckiej, o której mówił mi Żukowskij.

Dowiedziałem się później, że oficerowie ci dojechali do Kijowa z dużym trudem, gdyż jakiś oddział ukraiński, cofający się szosą, powysadzał w powietrze mosty. Nawiasem zaznaczę, że Ukraińcom nie przyszło do głowy zepsuć jakikolwiek most na linji kolejowej z Kijowa, chociaż wiedzieli, że mogą oczekiwać nadejścia bolszewików tylko koleją.

15 lutego otrzymałem od Czechów wiadomość o zajęciu przez bolszewików Koziatyna. Ukraińcy mieli zamiar bronić uporczywie Berdyczowa, zajęli nawet pod miastem obronne stanowisko, ale kilka wystrzałów z jednego działa bolszewickiego do stacji kolejowej zmieniło ich

nastrój, opuścili szybko pozycję i uciekli pociągami do Żytomierza. W zasadzie miasto to miało być również bronione, ale „wilni“ kozacy nie chcieli się więcej bić, to samo „siczowniki“, zorganizowani z wychodźców galicyjskich; pozostawał więc tylko oddział Petlury, liczący 150 ludzi, i oficerski oddział rosyjski o sile 400 bagnetów, stojący jeszcze w Korostyszewie, pod dowództwem pułkownika Kireja. Przychodził on do mnie kilkakrotnie po informacje, opowiadał o ciężkiem położeniu oddziału, austrofilizmie Rady, utracie wpływu przez Petlurę. Ukraińcy nie dowierzali Rosjanom, mieli ochotę pozostawić ich na łup bolszewików. Żegnając się, spytał mnie pułkownik, czy w razie konieczności pozwolę oddziałowi rosyjskiemu przejść pod moją komendę; naturalnie odpowiedziałem twierdząco.

Tegoż dnia zrabowali Ukraińcy miejscowy bank państwowy, zabierając w nim dwanaście miljonów rubli. W godzinę później wpadł do naszego pokoju porucznik Sobocki, partyzant w służbie ukraińskiej, i rzucił na otomanę duży pakiet z pieniędzmi ze słowami: „Proszę to zachować“. Nim żona zdążyła zareagować, Sobocki wybiegł. Po powrocie do domu kazałem natychmiast oddać te pieniądze „właścicielowi“, pochodziły one bez wątpienia z łupu bankowego.

Wieczorem zameldował się adjutant „ministra wojny“ z zapytaniem, jakie mam zamiary co do obrony miasta. Bezczelność i przewrotność „hadów“ ukraińskich rozgniewała mnie, odpowiedziałem więc ostro, że, nim odpowiem, muszę wiedzieć, jaką decyzję powzięła Rada w kwestji postawionych przeze mnie żądań. Ofi-

cer udał, że o tem nic nie wie, pożegnałem go więc odpowiednim a zupełnie nieparlamentarnym zwrotem pod adresem Żukowskiego.

Czesi byli jednak bardzo zaniepokojeni, namawiali kilkakrotnie, byśmy prędzej wychodzili z miasta, chociażby w nocy, i dziwili się, że się tak ociągam. Nie chciałem wszelako nadawać wymarszowi naszemu pozorów ucieczki, postanowiłem zresztą doczekać się przyjazdu gen. Leśniewskiego, który miał z rodziną nadjechać wieczorem, i wyjść dopiero 11-go lutego w południe. Zwłoka ta dawała poza tem możność oddziałowi generała Kireja przedostać się z Korostyszewa przez Żytomierz na północ. W nocy Ukraińcy uciekli pociągami do Korostenia, gdzie oczekiwano przyjazdu Niemców; zajęcie tej węzłowej stacji przez nich odcinało drogę I-mu korpusowi na Ukrainę.

ROZDZIAŁ VII.

Nazajutrz ucieszyłem się bardzo, ujrzawszy w miejscu zbiórki generała Leśniewskiego z rodziną; przebyli oni pomyślnie całą drogę, ale dużo niewygód a nawet cierpień wypadło znieść biednym kobietom.

Wymarsz z miasta nastąpił dopiero o godzinie 13½. Zwłoka zaszła z powodu konieczności zaopatrzenia oddziału w obuwie, którego Czesi, pomimo solennej obietnicy, nie dostarczyli; kazałem więc wziąć partję trzewików z miejscowego składu przemocą. Zarekwirowaliśmy wóz z karabinami i amunicją. Oddział prze-

szedł przez miasto w doskonałym porządku, urósł tylko bardzo taborek z żywnością; nie chciałem go jednak narazie redukować, gdyż przyszłość była zupełnie niejasna.

Dzień był ładny, mroźny. Dogadzało nam to, gdyż marsz bocznemi drogami w czasie roztopów byłby nader uciążliwy. Początkowo szliśmy szosą, nominalną zresztą, — była tak zniszczona, że wyglądała jak chaos skamieniałych nagle w ruchu fal morskich; zerwane mosty zmusiły nas wkrótce do szukania polowej drogi.

We wsi Słobodycze mieliśmy dokonać rekwizycji koni. Nie miałem co do tego żadnego wyrzutu sumienia: były to konie zrabowane przez chłopów obywatelowi, pozostawione narazie przez nich na folwarku, aż do podziału. W kilka minut po naszym przyjeździe zaroiła się ulica tłumem chłopów, podszytym gęsto tak sympatycznemi żołnierskiemi szynelami; sporo było pijanych, spoglądali na nas ponuro, ale z rezerwą, tylko przy rekwizycji strzelano kilka razy do naszych żołnierzy z za chat. Nasza spokojna a zdecydowana postawa hamowała rezunów.

Nocleg wypadł we wsi Piątki. Stanąłem u miejscowego parocha; był tak nastraszony, że bał się narazie mówić cokolwiek, gdym mu jednak zapowiedział nadejście na Ukrainę okupacji niemieckiej, dostrzegłem błysk radości w jego oczach, a język rozwiązał mu się. — „Lud zupełnie rozwydrzony, nikt nie chce pracować, piją od rana do nocy wódkę, którą pędzą prawie w każdym domu, krzywdzą swego ojca duchownego“...

Za mojem pozwoleniem zarządził intendent oddziału, pan Gintowtt, bezpłatną rekwizycję brakujących prowjantów; wydano je, mrucząc pocichu, braliśmy jednak tylko konieczne minimum, by nie drażnić zbytnio chłopów, bolszewicy byli zaledwie o 20 km. Gdy nadszedł oddział, zauważyłem, że jeden oficer był pod dobrą datą; uraczył się w jakimś majątku, gdzie „czubarycy“ rozbili beczki ze spirytusem i podzielili się łupem z naszymi. Skarciłem surowo ten wybryk, zapowiadając, że w razie pijaństwa lub samodzielnego zabierania cudzego dobra będę winnych bezwzględnie usuwał z oddziału.

17 marca mieliśmy duży przemarsz — 33 km.; pierwszą połowę drogi należało przejść jaknajszybciej — przecinał ją pod wsią Raczki berdyczowski tor kolejowy, a partyzanci otrzymali poufną wiadomość, że przywita nas tam pancerny pociąg z załogą łotewską. Wieści takie odbieraliśmy kilkakrotnie i były zawsze „strachami na Lachy“, wolałem jednak zabezpieczyć się, szczególniej ze względu na nasze kobiety, posłałem więc w przedniej straży podjazd jazdy i partyzantów, z nabojami dynamitowemi dla zepsucia, w razie potrzeby, toru berdyczowskiego.

Dzień był słoneczny, mroźny, droga niezła, auta wyprzedziły wkrótce oddział i znalazły się szybko na kolejowym przejeździe. Po chwili przygalopował ułan z meldunkiem, że od Berdyczowa nadjeżdża pociąg, pyta więc pan Ejzert, czy go mają zatrzymać. Zawahałem się przez chwilę: — może to zwykła towarówka— lepiej wtedy nie wracać na siebie uwagi, tem bardziej,

że oddział nasz był jeszcze dość daleko; nie kazałem więc tamować przejazdu pociągu, usuwając się wraz z autami poza chaty.

Rzeczywiście po paru minutach nadjechała towarówka o zupełnie pokojowym wyglądzie; czerwone wagony, lekko upstrzone szaremi szynelami, nie wzbudzały żadnych podejrzeń, po chwili pociąg był już daleko, a droga wolna.

Stałą męczarnię mieliśmy z ciągłem psuciem się samochodów; w jakiejś wsi naprawa trwała przeszło dwie godziny, oddział więc zdążył wysunąć się daleko naprzód. Zauważyli to wkońcu zacni kmiotkowie, policzyli, że przy autach jest zaledwie kilku uzbrojonych ludzi, że można będzie zatem „pohulać z Lachami". Dokoła nas począł się skupiać coraz to rosnący tłum, ukazały się również karabiny, a jeden „czubaryk" w żołnierskim szynelu, widocznie przywódca, wydawał półgłosem jakieś polecenia.

Sytucja stawała się nieprzyjemną, postanowiliśmy więc w razie napadu opanować najbliższą chatę i bronić się w niej aż do nadejścia odsieczy. Do oddziału wysłałem jedno już naprawione auto, z rozkazem przysłania ułanów, a jednocześnie wezwałem sołtysa, polecając mu przygotować kwatery dla korpusu generała Michaelisa, mającego tu nadejść jutro. Ponieważ chłopstwo przysunęło się tuż ku nam, krzyknąłem rozkazująco, by się nie tłoczyli; nasza zdecydowana postawa podziałała na tłum uspokajająco, a gdy w pół godziny później wpadli do wsi galopem ułani, rozbiegły się hady po chatach.

Pod wieczór stanęliśmy w Troszczy; na wzgórzu widniał ładny, biały dwór hr. Niroda, otoczony dużym parkiem. Przed dziesięcioma dniami urządzili tu chłopi pogrom; zniszczono i zrabowano wszystko, rozbito drzwi, okna, nawet piece; w salonie pozostał tylko piękny plafon o temacie mitologicznym, którego barbarzyńcy nie mogli zniszczyć. Kapliczkę katolicką w parku zbeszczeszczono, zerwano głazy, stanowiące posadzkę, wykopano pośrodku duży dół, w poszukiwaniu skarbów.

Wyszedłem z parku cały wzburzony widokiem zniszczenia, któremu uległy pamiątki wiekowej kultury. Miejscowi chłopi uważali nasz oddział za ekspedycję karną i tchórzyli widocznie; całe grupy uciekały przy zbliżeniu się nawet pojedyńczych żołnierzy, a jeśli wypadkiem jaki ukrainiec znalazł się blisko żołnierza naszego, kłaniał się grzecznie.

Chciałem nocować w domu rządcy. Przywitał nas on na ganku, przepraszał, że nie może przyjąć, jak należy, bo go chłopi obrabowali, i radził zanocować lepiej w szkole, ofiarowując się za przewodnika. Po drodze poinformowałem go, że jesteśmy oddziałem polskim. Ucieszył się bardzo, gdyż przypuszczał, że ma przed sobą Rosjan; począł więc prosić, byśmy wrócili do jego mieszkania, pragnąc podzielić się z nami chociażby resztkami. Rzeczywiście, chłopstwo oporządziło go porządnie, zostały tylko łóżka, kilka stołów i stołków.

W Troszczy nakazałem dniówkę, trzeba było uporządkować tabor. Po konie posłałem do wsi Mołotki, majątku ks. Lubomirskiego. Nie był on jeszcze zrabowany, aresztowano tylko inwentarz. Wybraliśmy tam

dwadzieścia koni. Chłopi siedzieli cicho, wyrzucali jedni drugim rabunek dworu, oczekując represyj, i dawali chętnie wszystko, czego zażądano.

Przyszedł do mnie wieczorem przygodny towarzysz podróży, oficer rumuński, pragnący przy naszej pomocy wrócić do Rumunji; obawiając się nadciągających okupantów, postanowił on dalszą drogę odbyć w pojedynkę, w przebraniu francuskiego oficera. Pomogłem mu więc ułożyć marszrutę i prosiłem o zabranie poczty do II-go korpusu. Doszły również wieści z Antonin, bardzo zresztą bałamutne; walczono tam jakoby. Według jednej wersji, miał doznać polski oddział porażki i wycofać się z Antonin w niewiadomym kierunku; według drugiej — Polacy mieli zadać klęskę bolszewikom. Coś tam jednak musiało zajść, postanowiłem więc dojść do Lubaru, osadzić się w nim mocniej i wysłać podjazd do Antonin na wywiad. W razie złych wieści zamierzałem zmienić kierunek marszu na Chmielnik i Winnicę, gdzie stał 5-y pułk ułanów.

Tymczasem w Troszczy pobyt oddziału wywoływał coraz to rosnące zaniepokojenie; spokojne zachowanie nasze tłumaczono sobie oczekiwaniem nadejścia większego oddziału, który miał ukarać srogo za zrabowanie dworu. Wyrazem tego strachu była doręczona mi prośba komitetu gminnego, w której tłumaczono, że nie może on ponosić odpowiedzialności za popełnioną grabież, gdyż objął swe obowiązki, dopiero po pogromie. Jednocześnie otrzymałem petycję od „neutralnych“, z wyrazami oburzenia na sprawców. W nocy delegaci chodzili od chaty do chaty, żądając, by przy

śledztwie wszyscy zeznawali, że rabowano społem i niema głównych winowajców. W obawie rewizji zniosło chłopstwo tejże nocy zrabowane meble do parku, a bronzy, srebro, dywany, obrazy, serwis i t. p. wrzucono do studzien. Nie zaprzeczę, że moja przymusowa neutralność w stosunku do tych hadów ciężyła mi bardzo, ale niestety, nie mogłem sobie pozwolić na przykładne ukaranie rabusiów.

Nazajutrz wymaszerowaliśmy, uprzedzając o nadejściu głównych sił korpusu. Przemarsz był nieduży, pogoda ładna, mróz, ale szliśmy wolno, gdyż ciągle psuły się auta. Po drodze wypadł odpoczynek u leśnika; wyrażał się on z nienawiścią o miejscowem chłopstwie, przytaczał szereg przykładów ich zdziczenia. Wolę stokroć carskie rządy lub panowanie Niemców — zakończył.

W Lubarze stanęliśmy w polskiej szkole. Ofiarowała nam gościnność pani Mazewska, żona obywatela ziemskiego; osiadła ona w miasteczku z dwiema córkami w obawie pogromu majątku; mąż został na wsi i bronił samego dworu, resztę już rozgrabiono. Charakterystyczny był fakt, że chłopi rabowali zawsze w nocy; woleli, by ich nie widziano, „na wszelki wypadek". Żołnierze nasi traktowali hadów pogardliwie, ostro, co bardzo ich trapiło. „Widać będzie znowu po staremu" — wnioskowali — „pany wernutsia".

W Lubarze istniały poprzednio dwa dwory szlacheckie; zrabowano je doszczętnie. Nakazałem komitetowi wydać wszelką broń, a konie i rzeczy zwrócić właścicielom. W celu oddziałania na psychikę tłumu krążyły

od rana po mieście patrole piesze, a na rynku stanął pluton dział górskich w pogotowiu bojowem. Tłum, w którym była spora domieszka żydów, przypatrywał się temu ciekawie, ale bez jakiegokolwiek strachu. Minął termin, a zwrotu nakazanego nie rozpoczęto. Kazałem więc dać wystrzał armatni, jako sygnał ostrzegawczy. Skutek był piorunujący — tłum pierzchnął z wrzaskiem, jak stado gołębi na placu św. Marka w Wenecji przy wystrzale południowym, a sklepy zamknięto z największym pośpiechem; w kwadrans później zameldowała się u mnie delegacja z prośbą o prolongatę terminu do godziny 4-ej po południu. Zgodziłem się, uprzedzając, że w razie niespełnienia rozkazu, zbombarduję miasto. Ostatecznie zrabowane mienie, broń i konie znalazły się na miejscu.

Wieczorem przyjechał z Kamieńca hr. R. Grocholski, przebrany za czabana; dotarł on do Dunajowiec, gdzie się zatrzymał oddział rotmistrza Engla. Oficer ten nie zdradzał najmniejszej ochoty do zmiany marszruty stosownie do mego rozkazu na Winnicę, twierdząc, że potrzeba mu półtora miesiąca czasu do przygotowania oddziału do tego marszu; zawiązał on samodzielnie rokowania ze znajdującymi się w pobliżu Austrjakami. Ostatecznie po dłuższej dyskusji dał się Engiel nakłonić do spełnienia mego rozkazu w najkrótszym czasie. Gdy Grocholski dojeżdżał do Lubaru, uprzedzali go chłopi, by lepiej ominął miasto, bo stoi tam awangarda polska, a główne siły pod dowództwem generała Michaelisa kwaterują w Troszczy.

Zaraz po nim zameldował się u mnie porucznik hr. Potocki, syn właściciela Antonin, w przebraniu szofera. Ze słów jego dowiedziałem się, że w Antoninach panuje spokój i przed kilku dniami próbowali bolszewicy ze Starokonstantynowa napadu na oddział polski, ale zostali sromotnie przepędzeni, utraciwszy opancerzony automobil. W walce odznaczył się dzielnością dowódca konnego oddziału partyzantów, porucznik Jaworski; zdobył on osobiście auto, był przytem kilkakrotnie ranny. Przyjechał również ze Starokonstantynowa pan Kossak i poinformował, że miasto jest słabo obsadzone przez bolszewicki korpus gwardji, a składy z aprowizacją są ogromne; mają je lada dzień spalić, gdyż bolszewicy obawiają się zajęcia miasta przez okupantów lub polskie oddziały. Prosiło więc obywatelstwo miejscowe o szybkie zajęcie Starokonstantynowa. Przyrzekłem, że to uczynię w najbliższych dniach. Znając tchórzostwo zbolszewiczałych oddziałów rosyjskich, puściłem wieści o zbliżającym się od wschodu silnym korpusie polskim.

Miasto miało być zaatakowane jednocześnie od wschodu i zachodu przez oddział kijowski z dwoma działami z jednej strony, a dwa szwadrony ułanów antonińskich również z dwoma działami — z drugiej; drogi na północ i południe pozostawiliśmy przezornie otwarte dla ułatwienia ucieczki bolszewikom, gdyż wzajemny stosunek sił nie zachęcał do szukania walki na białą broń.

Nazajutrz wyjechałem do Antonin, omijając Starokonstantynów. Oddział nasz miał przejść do miasteczka

Czarnej, przenocować i o umówionej godzinie zaatakować bolszewików. Droga była ciężka, śniegu coraz więcej, zadymka rozigrała się, zużyliśmy więc na przejazd do Antonin zamiast trzech godzin cały dzień. Urozmaicali nam też drogę kmiotkowie, strzelając z za płotów do sanek, zresztą bezskutecznie.

ROZDZIAŁ VIII.

Antoniny wywarły na nas imponujące wrażenie. Duży, wspaniały pałac w stylu francuskim o ślicznym, wprost królewskim wjeździe; obszerny, trochę ponury park, piękne stajnie i budynki gospodarcze; nie miała jednak ta rezydencja powagi wieków, patyny starych murów, którą wytwarzają stulecia, była zimna, kosmopolityczna, etykietalna. W pałacu zastałem tylko syna właściciela, hr. Józefa. Przeznaczono mi, jako locum, apartament gościnny, umeblowany z dużym komfortem; po dwutygodniowej tułaczce był on podwójnie miły.

Natychmiast po przyjeździe przedstawił mi się dowódca 2-go pułku ułanów, pułkownik Suszyński; zrobił on na mnie doskonałe wrażenie, jako żołnierz i człowiek; znać było rasę i dobrą kulturę. Pułkownik zameldował, że pułk jego jest już zorganizowany, ale wymaga jeszcze, z wyjątkiem I-go szwadronu, dużo pracy nad wyplenieniem wśród żołnierzy zarazy bolszewickiej.

Nazajutrz odwiedziłem porucznika Jaworskiego; nie opuszczał jeszcze łóżka, ale rany jego na szczęście, nie

były ciężkie; dzielny to był żołnierz, typ rycerza z Dzikich Pól.

Atak na Starokonstantynów udał się znakomicie; nasz ogień działowy, skierowany jednocześnie z dwóch stron, wywołał wśród żołnierzy „mężnego“ korpusu czerwonej gwardji panikę; wszystko, co miało nogi, uciekało w popłochu na południe, pozostawiając ciężkie tabory. Oddziały nasze bez walki zajęły miasto; pułkownik Kowalewski z braćmi porucznikami hr. Tarłami zdobyli kasę bolszewicką; warta, pilnująca jej, na widok polskich mundurów, ratowała się ucieczką przez okno; o jakichkolwiek stratach nie meldowano mi.

Oddział kijowski, którego dowództwo objął, jako starszy, pułkownik Pieńkowski, zakwaterował się w Starokonstantynowie, ja ze sztabem (6 oficerów) i plutonem oficerskim pozostałem w Antoninach; tu również zamieszkał generał Leśniewski z rodziną.

Wkrótce otrzymałem z Kijowa podpisaną przez pana Raczkiewicza uchwałę Rady Naczelnej, nadającą mi pełnię władzy nad oddziałami kwaterującemi na Ukrainie, aż do objęcia władzy przez dowództwo siły zbrojnej.

Pełnomocnictwa te były konieczne, łączności z I-ym korpusem nie było, a zajęcie Korostenia przez Niemców komplikowało bardzo sprawę przejścia korpusu na Ukrainę; szereg gońców, wysłanych do generała Dowbor-Muśnickiego, jakby wpadł w wodę.

Nadesłano mi zaraz nazajutrz „rozporządzenie“ Rady Naczelnej, podpisane przez p. p. Jamontta i Jakowickiego, polecające (!) mi skoncentrować oddziały winnicki, antoniński oraz rotmistrza Engla w kierunku

dyzlokacji I-go korpusu; jednocześnie komunikowano, że w sprawie połączenia polskich korpusów rozpoczęto rokowania z dowództwem wojsk Rady Komisarzy Ludowych [1]).

Bardzo niepoważnie wyglądało to „polecenie". Pomijając nawet uzurpację praw Rady Naczelnej przez p. p. Jakowickiego i Jamontta, nie był wskazany cel i rejon owego przesunięcia oddziałów, nie liczono się zupełnie z niemożnością przemarszu oddziałów po bezdrożach Wołynia w okresie roztopów wiosennych, nie zastanawiano się nad nieprawdopodobieństwem uzyskania zgody bolszewików na połączenie oddziałów polskich, gdy I-y korpus był z nimi w otwartej walce; wreszcie sytuacja ogólna wymagała właśnie odwrotnej decyzji — wymarszu I-go korpusu z Mińszczyzny, gdzie dla niego nie było wyjścia. Nie chcąc więc wciągnąć oddziałów naszych w matnię, przeszedłem nad poleceniem do porządku dziennego.

Ci sami panowie próbowali jednocześnie prowadzić jakąś akcję wojskową w moich oddziałach, bez porozumienia ze mną; dobrali sobie żołnierza Kulikowskiego i wystosowali do dowódcy 5-go pułku ułanów, pułk. Kuncmana, rozkaz głoszący, że pułk zostaje wcielony do 2-ej dywizji jazdy. Naturalnie zakazałem spełniania jakichkolwiek rozkazów, nie podpisanych przeze mnie, o czem zawiadomiłem kijowskich panów [2]).

---

[1]) Dok. Nr. 23.
[2]) Dok. Nr. 24.

Dzień 26 lutego obfitował w niespodzianki. Z rana przyjechała z Hryczan delegacja bolszewicka, licząca siedem osób, a w tem trzech Polaków, prosząc o wyjaśnienie powodów bombardowania Starokonstantynowa i charakteru dalszego stosunku do nich. Odpowiedziałem, że rzeczywiście kazałem ostrzelać miaso, chcąc zdobyć teren, na którym mogliśmy trwać, aż póki warunki pozwolą nam wrócić do kraju; wojować z nikim nie pragnę, na żadne rozbicie lub samowolne rekwizycje nie zezwolę, ale wezmę wszystko, co mi jest potrzebne do wyżywienia oddziałów polskich.

Zdaje się, że moja odpowiedź zadowoliła bolszewików, prosili tylko, bym pozwolił puścić pociągi przez Starokonstantynów; zgodziłem się na to, wyłączając jednak wszelkie wojskowe transporty.

Po południu przyjechał oficer Karpackiej Brygady, kapitan Jakubowski, i zameldował, że brygada po otrzymaniu wieści o zawarciu haniebnego pokoju brzeskiego postanowiła zerwać z Austrją, przerwała front austrjacki wpobliżu Kamieńca i po zaciętym boju z Węgrami przedostała się na naszą stronę; artylerja oraz treny nie nadążyły i zostały ogarnięte; dowódca korpusu posiłkowego, generał Zieliński, przyłączył się do brygady, ale został odcięty i zastrzelił się.

Bolszewicy, zajmujący Kamieniec, przyjęli narazie brygadę podejrzliwie, ale zapewniono ich, że to jest wojsko rewolucyjne, które wprowadza komitety żołnierskie i pragnie się przedrzeć do Polski, by tam wzniecić powstanie; uspokoiło to sumienia rewolucyjne o tyle, że dano brygadzie nieco prowizji i wozów.

W pertraktacjach z bolszewikami pomagali czynnie miejscowi pepeesowcy.

Ponieważ finansowy stan brygady był zły, dałem kapitanowi Jakubowskiemu ze swych szczupłych funduszów na najpilniejsze potrzeby dziesięć tysięcy rubli i skierowałem brygadę do II-go korpusu na tymczasowe przykomenderowanie, bo nie wiedziałem jeszcze, co z nią robić. Zastanowiło mnie tylko, że brygadjer Haller nie przysłał mi przez Jakubowskiego pisemnego raportu. W toku rozmowy wspomniał kapitan, że słaba liczebność naszych korpusów jest dla nich przykrą niespodzianką; liczyli oni nas na dwieście tysięcy ludzi.

Z faktu przedostania się brygady na naszą stronę byłem bardzo zadowolony, widocznie nastąpił przełom w pojęciach legjonów. Z punktu widzenia strategicznego nie miał on poważnego znaczenia, brygada była mikroorganizmem, liczyłem jednak na dodatni wpływ moralny żołnierzy brygady, gdyż byli oni więcej unarodowieni, niż nasi żołnierze, dotknięci w pewnym stopniu zarazkiem bolszewickim.

Jednocześnie zjechało się w Antoninach kilku delegatów, reprezentujących różne odłamy polskiej myśli politycznej: przedstawiciel Rady Międzypartyjnej z Kijowa, pan Skrzyński, delegat piłsudczyków — kapitan Wolski (właściwie nazywał się Bartha), mandatarjusze partji socjalistycznej z Kongresówki, pp. Horodyński i Perl, i przedstawiciel tej samej partji z Płoskirowa — Królikowski. Horodyński zakomunikował mi, że socjaliści przechodzą bez zastrzeżeń na stronę partyj, czynnie walczących z Niemcami, i żądają stworzenia silnej,

karnej armji bez komitetów lub obieralnych dowódców. Rada Regencyjna miała złożyć swe pełnomocnictwa polityczne a cały kraj, po raz pierwszy złączony ideowo, wzywa, byśmy organizowali armję; gdy ona powstanie, porwie się do broni cała Polska. W Małopolsce wszystkie partje są w bezwzględnej opozycji do rządu austrjackiego. Delegat nadmienił, że miał ode mnie jechać do Kijowa i Cesarstwa z nakazem do partyj lewicowych, by popierały nasze formacje wojskowe. Ku memu zdziwieniu poparli gorąco postulaty pana Horodyńskiego wszyscy inni delegaci, wzywając mnie, bym stanął na czele całej akcji wojskowej. Wywiązała się dyskusja. która wyjaśniła, że według większości delegatów należy zacząć od zebrania wszystkich sił naszych za Dnieprem; tylko kapitan Wolski obstawał przy zdaniu, że winniśmy przedewszystkiem zorganizować na Ukrainie tajną polską organizację wojskową, mającą na celu wywołanie tu powstania przeciwko okupantom. Projekt ten, wobec liczebnej przewagi nad nami ludności ukraińskiej, dobrze uzbrojonej a nienawidzącej wszystkiego, co jest polskie, doprowadziłby w najkrótszym czasie do całkowitego wymordowania wszystkich Polaków na Ukrainie, nawet bez udziału okupantów. Nader słabo orjentował się widocznie delegat piłsudczyków w stosunkach miejscowych. Dyskusja ta wyjaśniła mi zasadniczą różnicę w ideologji t. zw. obozu niepodległościowego z mojemi pojęciami: ja rozumiałem, że walkę z zaborcami należy prowadzić otwarcie, zapomocą regularnej siły zbrojnej, mymi bohaterami byli królowie Stefan Batory, Sobieski; piłsudczycy zaś

ciążyli ku konspiracji i powoływali się na imiona Łukasińskiego i Traugutta...

Byłem jednak od wybuchu wojny zdecydowanym przeciwnikiem jakiegokolwiek współdziałania z Niemcami, łatwo więc było przekonać mnie o potrzebie ponownego podjęcia czynnej walki przeciwko nim na froncie wschodnim, o ile warunki lokalne rokowały możliwość jej powodzenia. Otóż to wszystko, co mi dnia tego z różnych stron zakomunikowano, zdawało się stwarzać pomyślną dla czynnej akcji sytuację: powstanie całej Polski, oparte o zorganizowaną polską siłę zbrojną na Wschodzie, mogło zauważyć poważnie na szalach wypadków. Konieczne było jednak posiadanie pewnego terytorjum dla ukończenia organizacji; na Ukrainie było to niemożebne, władza ukraińska, uzbrojona ludność miejscowa, wreszcie okupanci potrafiliby nam przeszkodzić. Należało przeto szukać podstawy organizacyjnej za Dnieprem: miałem na myśli wyłącznie południową Rosję, gdzie bolszewizm dopiero kiełkował a ludność nie była tak zdemoralizowana, jak w centralnej Rosji.

Pod wpływem tych myśli, zredagowałem tegoż wieczora odezwę do żołnierza polskiego, w której, streszczając ohydę zawartego przez Ukrainę pokoju brzeskiego, odrywającego od Polski całą Chełmszczyznę i część Podlasia, zakomunikowałem o złożeniu przez Radę Regencyjną jej pełnomocnictw politycznych, o potężnych demonstracjach w Królestwie i Małopolsce przeciwko gwałtom niemieckim, zakończonym ogłoszeniem przez Niemców stanu oblężenia; zawiadomiłem,

że kraj cały przez swych delegatów żąda stworzenia na wschodzie silnej i karnej armji polskiej, mającej stanowić przeciwwagę przemocy niemieckiej; zakończyłem wezwaniem do szeregów wszystkich prawych synów wolnej, niepodległej i zjednoczonej Polski...

Jeden egzemplarz tej odezwy zawiózł dla wydrukowania pan Królikowski do Płoskirowa, drugi wziął z sobą w tym samym celu pan Skrzyński; kapitan Wolski miał nawiązać kontakt ze Lwowem [1]).

Nazajutrz powrócił wreszcie jeden z wysłanych do generała Dowbor-Muśnickiego oficerów z krótką odpowiedzią. Generał zawiadamiał mnie, że szczegółowe wyjaśnienie sytuacji wysłał panu Raczkiewiczowi, od niego zatem mam je otrzymać. Wynikło stąd, że do porozumienia dwóch generałów potrzeba było pośrednictwa osoby trzeciej i to w dodatku cywilnej; jasne było, że w sprawie tej działają wciąż czynniki jątrzące, nie miałem jednak na to żadnej rady, a rzekomego mego antagonistę ceniłem wysoko i nigdy nie uchybiłem jego kompetencji.

Tegoż dnia otrzymałem to wyjaśnienie co do sytuacji I-go korpusu od sekretarza Rady z Kijowa, z datą 25 lutego, i wyczytałem w niem, że:

a) Stan moralny w dywizjach stoi na niewysokim poziomie, żołnierze w masie bić się nie chcą i pragną wrócić do domu.

b) 5-ty i 8-my pułki zostały w drodze do Bobrujska

---

[1]) Dok. Nr. 25.

rozbrojone przez bolszewików, a 3-cia dywizja oraz cała artylerja nie mogły przedostać się do korpusu.

c) Wobec takiej sytuacji myśleć o akcji czynnej trudno, wypada bronić się w Bobrujsku.

d) Opinja korpusu żąda skomunikowania się z Radą Regencyjną, co czynić; w razie gdyby nie udało się wrócić do kraju przez kordon niemiecki, wymaszerować na Ukrainę, ale przypuszczać należy, że pójdzie tylko część żołnierzy, reszta rozproszy się, gdyż idea marszu na południe jest bardzo niepopularna.

e) Na czele delegacji do Warszawy pojedzie pułkownik Mościcki.

Wieści te podziałały na mnie jak zimny prysznic: jeżeli najsilniejsza i najlepiej zorganizowana jednostka strategiczna nie jest zdolna do akcji czynnej, zamiary nasze zbrojnego wystąpienia przeciwko Niemcom mogły się stać nierealnemi, szczególniej o ile I korpus nie przyszedłby na Ukrainę [1]).

Twierdził również zbiegły z niewoli bolszewickiej chorąży 1-go pułku, Zakrzewski, że I korpus rozpoczął już odwrót na Baranowicze, za zgodą Niemców, i wyszedł z Rohaczewa, ścigany przez bolszewików, również oficerowie oddziału porucznika Jaworskiego wyrażali się sceptycznie o możliwości wyprowadzenia go za Dniepr z powodu spodziewanego oporu żołnierzy.

Tymczasem okupacja austrjacka opasała już półkolem Antoniny, 19 lutego zostały zajęte Wołoczyska,

---

[1]) Dok. Nr. 26.

a 20 — Równe. W składzie oddziałów piechoty było mało, przeważnie jazda, artylerja i opancerzone samochody; przy okupacjach znajdował się komisarz ukraiński, Zołotarenko. Wysłał on do wszystkich polskich oddziałów okrężną depeszę, gwarantującą nam kompletną neutralność, gdyż wkroczenie wojska mocarstw centralnych ma na celu tylko wprowadzenie porządku.

Zachowanie okupantów w stosunku do nas było bez zarzutu, oficerom ułatwiano przejazd kolejowy, salutując starannie; przeciwnie traktowano ostro ukraińców, którzy bali się wprost pokazywać na stacjach i, posiadając nawet bilety 3 klasy, sadowili się dla pewności w tiepłuszkach. W Sarnach Niemcy wysadzili z pociągu eszelon bolszewicki i kazali wydać starszyznę, a gdy im odmówiono, zmusili cały oddział do zdjęcia butów, poczem wpędzili na zamarznięty staw. Po dwóch godzinach stania na lodzie starszyzna została wydana i natychmiast rozstrzelana. O niemieckiej organizacji i sprężystości przyjezdni opowiadali z podziwem. Trzeba przyznać, że Niemcy potrafią działać na wyobraźnię ludzką.

Przyjąłem komisarza ukraińskiego z Szepietówki, z wyglądu i zachowania aktora prowincjonalnego; skarżył się on na kontrybucje, nakładane przez oddziały polskie na ludność. Skarga była uzasadniona, śledztwo już było rozpoczęte, a główny inicjator, mianujący się pułkownikiem, Benja-Szewicz, siedział pod kluczem w Starokonstantynowie. Komisarz rozczulił się tem bardzo, zachwycał naszą sprężystością, prosił jednak o wydanie mu bolszewika Wołka, więzionego

przez nas w Antoninach; odmówiłem mu, gdyż za jego głowę zapłaciłoby życiem 20 oficerów, wziętych podstępem do niewoli przez bolszewików w Dunajowcach na Podolu. Oficerowie ci należeli do oddziału rotmistrza Engla, który, pomimo mego rozkazu wymarszu do Winnicy, nie spełnił go w porę, zwłóczył, paktował wciąż w nieznanym mi celu ze stojącymi wpobliżu Austrjakami, grając rolę jakiegoś samodzielnego wodza. Nareszcie oddział został z niesłychaną lekkomyślnością zakwaterowany w gnieździe bolszewickiem — Dunajowcach, gdzie go napadnięto podstępnie, rozbrojono, a oficerów aresztowano; Engiel zaś dopadł w chwili krytycznej konia i uciekł w niewiadomym kierunku.

Z członkami Rady, którzy ukrywali się w Kijowie, nie mogłem się w żaden sposób porozumieć; mówiono, że pan Raczkiewicz wyjechał na północ, a pozostali wydali jakieś rozkazy, których nikt nie chciał naturalnie słuchać. Najbardziej niepokoił mnie jednak brak związku z krajem, prosiłem o wytyczne co do naszej politycznej linji postępowania, ale znikąd odpowiedzi nie otrzymałem. Koło Międzypartyjne milczało uparcie [1]).

ROZDZIAŁ IX.

Niemcy tymczasem zajęli Zwiahel oraz Biełgorodkę, Austrjacy — Płoskirów. 27 lutego przejechały koleją obok Antonin trzy niemieckie eszelony wojskowe, kie-

[1]) Dok. Nr. 27, 28, 29.

rując się na Krasiłow. Sytuacja stawała się coraz nieprzyjemniejsza, robiło się nam coraz ciaśniej. W obawie zaskoczenia i wobec niewyjaśnionej sytuacji politycznej, wydałem rozkaz zachowania pogotowia wojennego.

W stosunku do okupantów rozkazałem ścisłą neutralność i unikanie wszelkiego zetknięcia z nimi; gdyby w miejscu kwaterunku jakiegokolwiek polskiego oddziału ukazali się Niemcy lub Austrjacy, mieli się nasi natychmiast usunąć.

Miałem zamiar wyruszyć z Antonin za trzy dni, maszerując na Lityń i Winnicę, a dalej na Czerkasy; przypuszczałem, że przestrzeń pomiędzy Wapniarką a Czerkasami można będzie przejechać koleją, zabierając ewentualnie pociągi siłą. Szło mi o to, by czem prędzej opanować jedną ze stałych przepraw na Dnieprze przed nadejściem Niemców lub bolszewików; nie mając zapewnionej przeprawy, niepodobna było myśleć poważnie o przedostaniu się liczniejszego oddziału za Dniepr.

Decyzja wymarszu z Antonin niebardzo się podobała memu otoczeniu; było tu wszystkim zbyt wygodnie. Przypomniałem więc panom wywczasy kapuańskie oraz ich skutki, i nakazałem śpieszne skompletowanie trenu, wreszcie organizację konnej baterji. Drobne polskie oddziały, stojące w pobliskich miasteczkach, otrzymały rozkaz zebrania się w Antoninach lub Starokonstantynowie.

28 lutego nadesłał mi pułkownik Pieńkowski telefonogram, że w Krasiłowie toczy się walka partyzantów z ukraińcami; nasi zostali odcięci od stacji; prosił więc

pułkownik o wysłanie posiłków. Nie wiele z tego zrozumiałem; z bolszewikami mieliśmy rozejm, a co robili w Krasiłowie partyzanci, nie wiedziałem. Dodatkowy meldunek wyjaśnił, że, wobec wrogiego i zaczepnego stosunku robotników i chłopów do administracji cukrowni w Krasiłowie wysłano tam czterdziestu partyzantów z ich dowódcą Ejzertem na czele. miało to jednak narazie ten skutek, że zorganizowana wataha chłopska, wzmocniona przez marynarzy i krasnoarmiejców, napadła w liczbie przeważającej na partyzantów; w toku walki padł dzielny Ejzert, a oddział jego cofnął się do cukrowni. Przykra to historja, ale nie uważałem za potrzebne wprowadzania do akcji większego oddziału, siły pułkownika Pieńkowskiego wystarczyły zupełnie do likwidacji awantury.

Nazajutrz przyjechała ze Starokonstantynowa delegacja obywateli ze skargami na wojsko: podobno przy zajęciu miasta rabowano, a kogoś obito. Na szczęście były to tylko wypadki sporadyczne, nie do uniknięcia zresztą w danych warunkach; żołnierz nasz napatrzył się zanadto na łotrostwa „towarzyszy", by sobie niekiedy nie pofolgował. Delegaci wyrażali również żal, że nie chciałem prowadzić szerszej akcji karnej na Krasiłow, co rozzuchwalało jeszcze bardziej chłopstwo; wszędzie już po wsiach formowały się bandy uzbrojone, prosili więc petenci o wzmocnienie załogi miasta. Naturalnie odmówiłem wobec postanowionego ogólnego wymarszu oddziałów, proponowałem zaś, by obywatele utworzyli własną milicję, dla której broń posiadałem;

ludzi było przecie dość, ale ochotników do służby nie znalazło się.

Zameldował się u mnie po wyzdrowieniu porucznik Jaworski i prosił o przyjęcie jego dywizjonu do wojska polskiego. Spytałem więc, czy ręczy za to, że żołnierze pójdą za mną, dokądkolwiekbym ich poprowadził; odpowiedział spokojnie, że dywizjon spełni każdy mój rozkaz.

Po południu zrobiłem przegląd dywizjonu. Oko cieszyło się, patrząc na te szeregi typowych, starych żołnierzy, dobrze uzbrojonych, siedzących na doskonale utrzymanych koniach; sprawdziłem sprawność ruchów i manewrowanie w szyku konnym, było zupełnie wystarczające. Na zakończenie przemówiłem do żołnierzy i ogłosiłem przyjęcie dywizjonu do armji polskiej, w charakterze samodzielnego dywizjonu szwoleżerów; dowódcą jego mianowałem porucznika Jaworskiego, awansując go za czyny bojowe na podrotmistrza i rotmistrza. Przysięga wojskowa miała być złożona natychmiast, zapowiedziałem również rychły wymarsz z Antonin.

Wieczorem przyjechał z Winnicy Zd. hr. Grocholski; przywiózł on fatalną a pewną wieść — bolszewicy zawarli pokój z Niemcami!

Usunął się zatem z pod nóg ostatni punkt oparcia — bez spokojnego terenu nie można formować armji, bez armji nie może się udać powstanie w Polsce; cała sprawa nasza stawała się wątpliwa. Delegaci, którzy u mnie byli przed kilku dniami, zataili widocznie przede mną fakt zawarcia pokoju, o czem musieli wiedzieć, przyjechali przecie w kilka dni po wypadku ze środowisk

ludzkich, gdzie o wszystkiem wiedziano natychmiast. Zacząłem również wątpić o rzekomem przygotowaniu Polski do powstania.

Wezwanie moje do żołnierza polskiego było zatem najzupełniej chybione, rozniecało pożar, któryby nas strawił, a sprawie polskiej nie dopomógł. Postanowiłem przeciwdziałać, posłałem więc natychmiast w nocy do Płoskirowa, gdzie wezwanie miało być drukowane, oficera z żądaniem zniszczenia odezwy, drugiego pchnąłem do Kijowa do pana Bartoszewicza z listem odpowiedniej treści, prosząc go jednocześnie o porozumienie z Radą Regencyjną i zorganizowanie wyjazdu ochotników do Francji. Tu sprawa była bezwarunkowo przegrana, za późno, o wiele za późno porozumiały się partje. Posłańcy moi zdążyli szczęśliwie na czas, niefortunne poczynanie zostało zażegnane.

Nie można było jednak pozostawać w Antoninach, kleszcze niemiecko-austrjackie mogły się lada dzień dokoła nas zacisnąć. Ale dokąd iść? Wyprawa za Dniepr byłaby aktem samobójczym; postanowiłem więc odejść narazie na południe od okupacji austrjackiej, dla ewentualnego połączenia się z II korpusem. Przemarsz miał nastąpić drogami, kolejowego transportu bałem się, okupantom nie dowierzałem.

Francuzi, Anglicy wyjechali z Kijowa do Moskwy. Członek Rady Naczelnej, porucznik Jakowicki, ustąpił. Kto zatem reprezentuje Radę w Kijowie? — Szeregowiec Kuligowski, który niewiadomo jakiem prawem przyplątał się do niej. A jednak ktoś tam być musi i, siedząc w mysiej dziurze, wydaje wciąż rozkazy o cha-

rakterze strategicznym. N. p. pułkowi ułanów z Winnicy nakazano wymaszerować na Czerkasy; dowódca pułku przysłał mi raport wyjaśniający, że rozkazu tego spełnić nie może, żołnierze nie pójdą tam, bo wiedzą, że czeka ich niechybna zagłada od bolszewików.

Nie był również pewny swego pułku pułkownik Suszyński, pewna część żołnierzy nie chciała iść do Bobrujska, szczególniej w 3-im szwadronie. Mało widocznie pracowali tam nad żołnierzami oficerowie. Zresztą nie chciałem nikogo zmuszać; kto nie chce wymaszerować, niech zostanie, zmarnieje w najkrótszym czasie.

2-go marca przyjechał ze Starokonstantynowa porucznik Hordliczka; jadąc silnem autem, potrzebował on na przebycie 22 wiorst siedmiu godzin, postanowiłem więc pozostawić auto w Antoninach. Pisał również z drogi Z. hr. Grocholski, uprzedzając, że trudno przejechać drogami nawet zwyczajnym wozem. Zmieniłem więc decyzję raz jeszcze: oddziały miały zostać na miejscu, aż do wyschnięcia dróg, ja zaś z częścią sztabu, pod ochroną dwunastu ułanów, chciałem wyruszyć komunikiem. Bardzo się to podobało pozostającym, i trudno się temu dziwić, pobyt w Antoninach był stanowczo milszy, niż walka z czarnoziemem wołyńskim.

Wieczorem zaproszony byłem przez oficerów pułku na kolację, wydaną ex re awansu kilku z nich; był nawet szampan z piwnic hr. Potockiego, przygrywała nam kapela pułkowa, nietyle zresztą harmonijnie, ile głośno. W końcu młodzież prosiła o pozwolenie zatańczenia; chętnie się na to zgodziłem, zorganizowano więc bal.

Płeć piękną reprezentowały: moja żona, pani Leśniewska z trzema nadobnemi córkami i kilka bardzo miłych pań z administracji majątku.

3 marca sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej, ciepło jak na wiosnę, drogi zamieniły się w trzęsawiska; wóz lekko ładowany zużył na drogę z Antonin do Starokonstantynowa dziesięć godzin. Musiałem więc zwłóczyć z własnym wyjazdem; kazałem jednak na wszelki wypadek, by w stajni stały cztery osiodłane konie. W parku widziałem muszki, zwiastuny ciepłych dni, niewesołą w danych warunkach zapowiedź.

Meldował mi pułkownik Kowalewski o wyniku śledztwa nad rzekomym pułk. Benja-Szewiczem. Stwierdziło ono, że oficer ten, chcąc zebrać jak największy oddział, przyjmował wszelką zbieraninę, powypędzaną z innych polskich oddziałów; bractwo to urządzało ciągle rekwizycje na swoją korzyść, rabując chłopstwu głównie pieniądze; w razie oporu grozili oni pożarem i śmiercią, katując nieludzko. Benja-Szewicz wiedział o tem, ale nie reagował; miał on zresztą zamiar wyjechać do Petersburga, przyjechał więc pewnego dnia do Antonin po dokumenty osobiste. W czasie jego nieobecności okradli go wierni komilitoni, zabierając mu czeki na 150 tysięcy rubli (!) i usunęli się w zacisze wiejskie dla dalszej owocnej pracy. Pozatem stan służby tego quasi-pułkownika okazał się wątpliwy. Kazałem go więc aresztować i oddałem pod sąd doraźny. Banda grasantów, na czele której stał podrotmistrz Szaniawski, miała być wytępiona przez wysłany oddział; pewne

dane o jej składzie i rejonie działań dało kilku żołnierzy, którzy nie chcieli należeć do bandytów i zbiegli do Starokonstantynowa.

Ponieważ oddziały zostawały narazie w miejscu ich kwaterunku, wysłana została do Krasiłowa karna ekspedycja. Po lekkiem zbombardowaniu ukraińcy poddali się i wydali broń; kulomiotów wzięliśmy 24, karabinów przeszło 400 wraz z dużą ilością skrzyń z nabojami. Nastąpiła przykładna kara, która narazie uspokoiła zupełnie hajdamaków. Ejzerta, wraz z innymi zabitymi partyzantami, pochowano z honorami wojskowemi w Starokonstantynowie.

Z Szepietówki przywiózł hr. Potocki wieść, że wynikł tam pomiędzy okupantami konflikt, wywołany butą niemiecką. Podobno Ukraińcy zaczynają skłaniać się ku Austrjakom, rządy niemieckie wydają się im zbyt twarde. Napisałem raz jeszcze do dowódcy I-go korpusu, informując go co do stanu oddziałów II-go i III-go korpusów oraz ich dyzlokacji; wspomniałem również, że uważam za konieczne zachować w stosunku do Niemców zbrojną neutralność, unikając wszelkich stosunków z nimi, podkreśliłem, że nie dopuszczam możliwości jakiejkolwiek akcji czynnej, póki nie będzie nam znana opinja kraju, a o nią zapytam Radę Regencyjną, jako wyrazicielkę pragnień poważnej części naszego społeczeństwa.

Był u mnie znowu komisarz ukraiński Darjanow. Dowiedziałem się od niego pewnych szczegółów co do zajęcia stacji. Eszelon austrjacki składał się z 300 ludzi, dowodził nimi kapitan, Czech rodem; w stosunku do władz miejscowych zachowywał się on arogancko, póki

nie dostał odprawy; spotkania z Niemcami unikał i zabraniał żołnierzom chodzić do miasteczka, by się z sojusznikami nie spotkali. W Płoskirowie mieli być również Austrjacy, Kijów i Połtawa były zajęte przez Niemców, lada dzień miał być dozwolony przejazd kolejowy osobom prywatnym.

4 marca. Znikąd pewnych wieści, tylko słuchy, opowieści. Najbardziej mi dokuczało milczenie Koła Międzypartyjnego; przecie tu na obczyźnie było ono jedyną organizacją polityczną, która repezentowała czynniki narodowe, opierające się o koalicję .

Milczał również dowódca II-go korpusu, generał Stankiewicz, chociaż wobec nadejścia Karpackiej Brygady nie brakło mu chyba tematu do raportu.

Przyjechał z Płoskirowa komisarz powiatowy, pan Skibniewski, po informacje. Miejscami Rosjanie poczynali występować ostro przeciwko Polakom, zarzucali nam dwuznaczne stanowisko; raziło ich nasze wstrzemięźliwe zachowanie względem przybyłych Austrjaków i rzekome kokietowanie Ukraińców; twierdzili, że zawarliśmy sojusz z bolszewikami. Zdaniem Rosjan powinni byli Polacy porozumieć się całkowicie z Niemcami, przedstawiającymi realną siłę, by zepsuć plany Ukraińców, tak wrogich wszelkiej kulturze.

5 marca. Powrócił mróz, może się nareszcie uda wyjechać w jakikolwiek sposób. Odebrałem od generała Piotrowskiego z Żytomierza raport — wieści nietęgie: ukraiński minister wojny, Żukowskij, powołał do wojska wszystkich oficerów, nie wyłączając i Polaków, zaznaczył również w rozmowie, że neutralności naszej nie

uznaje, wszelkie formacje narodowe mogą być tolerowane o tyle, o ile wystąpią jawnie po stronie Ukraińców; kto nie z nimi, ten jest przeciwko nim. Do raportu swego dołączył pan Piotrowski tabelę wypłaty pensyj jemu i sztabowi, aż do 1 marca. Dużo pewności siebie miał ten generał; całokształt pracy jego, łącznie ze sztabem, miał cechy wyłącznie ujemne, nie dał nic formacjom polskim, tylko bałamucił, a gdy nadeszła chwila zbrojnego wyjścia z Żytomierza, znikł bez śladu. Poczeka on na tę pensję!

Jednocześnie otrzymałem zaproszenie od Polskiej Naczelnej Rady Wołynia, bym wziął udział w pertraktacjach z Niemcami; miano je rozpocząć w Żytomierzu. Nie pojechałem, nie mogłem nic decydować w sprawach politycznych. W Kołkach, o dziesięć wiorst od Antonin, ukazali się Austrjacy i ogarnęli nasz patrol ułański. Zawiadomił o tem austrjacki dowódca, prosząc o przysłanie delegata dla porozumienia; całe zajście było sprowokowane przez chłopów, którzy, mszcząc się za zrobioną u nich rekwizycję zrabowanego przez nich u obywatela owsa, przybiegli do Austrjaków ze skargą, jakoby ich grabili bandyci. Po wyjaśnieniu nieporozumienia, ułani zostali zwolnieni, major bardzo przepraszał za ich przytrzymanie i w rozmowie z moim oficerem zaznaczył swój przyjazny stosunek do wojska polskiego oraz niechęć do Niemców za systematyczne ignorowanie sprzymierzeńców austrjackich. Dowiedzieliśmy się również od majora, jakoby z Włochami miało być zawarte zawieszenie broni, a rozejm z Rumunją był już faktem dokonanym od dwóch tygodni. Wyglądało to na

początek końca na froncie wschodnim. Byłbym się martwił tem, gdybym nie miał głębokiego przeświadczenia, że losy Polski zostaną rozstrzygnięte na polach bitew we Francji. Na prośbę Austrjaków wysłałem do nich oficera łącznikowego, ale nie pod własną firmą, załatwił to bezpośrednio pułk ułanów; miałem wprost fizyczny wstręt do nawiązywania bezpośredniego stosunku z okupantami. Była to, coprawda, polityka strusia, ale narazie nie widziałem innego rozwiązania.

Miałem zamiar wyruszyć 7 marca, ale wobec pokojowych intencyj Austrjaków odłożyłem wyjazd aż do wyschnięcia dróg, bowiem gruda była straszna, można było stracić tabory, okupantom wyzdychała już moc koni.

ROZDZIAŁ X.

7 marca. Temperatura na zerze, słońce za chmurami. Postanowiłem wyjechać autem, może się droga nie rozmaże. Mieliśmy ruszyć po „lunchu"; nastąpiło krótkie pożegnanie ułani przysłali kapelę. W chwili wyjazdu ukazało się wcale niepożądane słońce. Mijając park, spojrzałem po raz ostatni na wspaniały pałac; czy też przetrwa on te straszne czasy? zniszczenie Antonin byłoby jednym z ostatnich ciosów dla naszej kultury na kresach. Pamiętałem groźby płoskirowskich bandytów, wygłaszane na wiecach: „Istnienie Antonin to hańba dla rosyjskiej rewolucji." Sam ich nadal bronić nie mogłem, liczyłem tylko na opiekę okupantów, hr. Potocki miał

duże międzynarodowe stosunki. Wyjeżdżając, wydałem rozkaz, by szwoleżerzy, którzy mieli wyjść ostatni, rozpoczęli wymarsz dopiero wtedy, gdy się ukażą na horyzoncie podjazdy niemieckie.

Jechaliśmy początkowo znośnie; trzęsło wprawdzie ogromnie, rzucało autem, koła buksowały, ale gruda trzymała jeszcze; motor pracował jednak z takim wysiłkiem, że para przesłaniała nam drogę, zmuszając do kilkakrotnego zatrzymywania się. Ostatnie pięć wiorst były straszne, maszyna przepychała się mozolnie wśród błota, ryjąc głęboko brózdy. Na drodze spotkaliśmy dwa nasze auta ciężarowe i jedno osobowe w stanie beznadziejnego bezruchu, pozatem trakt był zupełnie pusty, nikt nie wyjeżdżał z domu. Trudno zrozumieć, jak tu od wieków żyli ludzie kulturalni i bogaci. Obok koszar trafiliśmy nareszcie na szosę; co to była za przyjemność przejechać ostatnią wiorstę po względnie dobrym bruku! Miasto nie robiło sympatycznego wrażenia, grzęzło w błocie po uszy. Mieszkanie przygotowano mi w skromnym dworku p. p. Domaradzkich; przyjęcie było bardziej niż niegościnne, widocznie ofiarowano nam dach nad głową tylko z przymusu. Ograniczyliśmy więc nasze stosunki z gospodarstwem do minimum, unikając wszelkiego spotkania lub żądań.

Od pana Gintowtta, intendenta korpusowego, otrzymałem garstkę wiadomości co do stosunków w Starokonstantynowie; były one dla wojska polskiego nader przykre. Rodaci nasi bali się okazać nam najmniejszą sympatję. Gdy p. Giwtowtt wszedł do polskiego domu,

uzbrojony w karabin, wywołało to ogólny przestrach; przecie okupanci nakazali wydanie wszelkiej broni! Ksiądz miejscowy nie chciał nawet przyjąć intendenta, kazał powiedzieć, że go niema, i uciekł tylnemi drzwiami. Takie same spostrzeżenia poczynił pułkownik Pieńkowski. Zgłaszały się do niego kilkakrotnie grupy młodych, silnych mężczyzn, oficjalistów prywatnych, z prośbą o przysłanie oddziałów polskich dla obrony majątków ziemskich. Proponował im więc pułkownik, by zorganizowali samoobronę, broń dostaliby od nas. Nie podobało się to jednak, odjeżdżali niezadowoleni. Ostatecznie społeczeństwo kresowe z pewnemi wyjątkami ograniczyło swój udział w istnieniu polskich formacyj wojskowych do drobnego wkładu pieniężnego; ryzykować a nawet narażać się pod względem politycznym nikt nie miał ochoty. — Tłumaczy się to zresztą w pewnym stopniu ciosami, jakie dotknęły gros ziemiaństwa kresowego i zniszczyły doszczętnie jego majątki.

Zgłosiło się wojska zaledwie kilku ochotników i to z pośród drobnych rzemieślników miejskich; jeden z nich po otrzymaniu karabinu obejrzał go z zadowoleniem i zauważył, majstrując przy bagnecie: „Dźgnąć to ja potrafię, gdybym tylko wiedział, jak tę blachę przyczepić do flinty, nie rozumiem również, poco ta drabinka?“ (celownik).

Stałą sympatją otaczali polskich żołnierzy węgrzy, którzy tu zawitali przed kilkoma dniami; czynili oni Polakom wszelkie udogodnienia, szukali ich towarzystwa, a o Ukraińcach odzywali się ironicznie.

Wieczorem opowiadał mi pułkownik Piotrowski o ciekawej rozmowie, podsłuchanej przez naszego oficera dyżurnego przez cienkie przepierzenie. Rozmawiał komisarz ukraiński z Szepietówki, Darjanow, z miejscowym komisarzem o Polakach, w sposób wysoce nieprzychylny: „Polskie oddziały pozwalają sobie posyłać jakieś podjazdy do łapania bolszewików, czego nie można tolerować, ale niedługo już polskiego panowania; sprzątnie się prędko pańskie wojsko wraz z ich rekwizycjami". — Na zakończenie umawiali się zacni kompani, że będą sobie wzajemnie dawać znać o wszystkich ruchach polskich oddziałów, szczególniej o transportach kolejowych.

A przecie przed kilku dniami tenże Darjanów płaszczył się przede mną i zachwycał karnością polskich oddziałów. Zresztą taka sama przewrotność cechowała wszystkich działaczy ukraińskich, poczynając od ich bat'ki, Petlury, nie był więc Darjanow, aktorzyna prowincjonalny, kaprysem losu wyniesiony na stanowisko dygnitarza nowotworu ukraińskiego — wyjątkiem. Dużą miał rację pan Gintowtt, nazywając Ukraińców zbuntowanymi rabami, do których stosunek winien być zawsze twardy. Każdą grzeczność uważają oni za dowód słabości. Marnie również przedstawiała się ich siła zbrojna. Spotkałem na ulicy kilkunastu oficerów ukraińskich. Co za kontrast ze skromnem, ale porządnem umundurowaniem naszych wojskowych. Każdy z tych panów ubrany był w ladajaki szynel żołnierski i takąż czapkę, bez żadnych odznak oficerskich; wszystko to było zarośnięte, niemyte, nieczesane, zapewno celowo,

„na wszelki wypadek". W razie niebezpieczeństwa bolszewickiego można było łatwiej wsiąknąć niepostrzeżenie w szary motłoch żołnierski...

Ujrzałem nareszcie gazetę kijowską, dawno nie widziałem aktualnego druku, połknąłem więc zawartość pisma jednym tchem. Z frontu zachodniego wiadomości „made in Germany", nic określonego nie można się było dowiedzieć z tego preparatu, w każdym razie nie pisano o zwycięstwach niemieckich, to już dobrze; ale bolszewicy rzeczywiście zawarli pokój z Niemcami, a z Rumunją rozejm. Wkrótce nie będziemy tu mieli kawałka ziemi, na którym moglibyśmy stać mocną stopą; a zatem kto ma silnego ducha, a krzepkie ciało — do Francji do dalszej walki, masa zaś zmęczona — do kraju, byle z bronią w ręku i bogatym materjałem technicznym, którego Polsce brak. Jeżeli mocarstwa centralne uznały państwo polskie, muszą się zgodzić na istnienie polskiej siły zbrojnej, chociażby neutralnej.

8 marca. Dniówka przymusowa; konie rozstawne, wysłane naprzód, zostały zrabowane przez chłopów; dzisiaj wysyłamy nowe ze wzmocnionym konwojem.

Spotkałem w mieście patrol, z trzech Prusaków złożony, w czarnych pikielhaubach; na stacji było ich piętnastu. Z ogromną niechęcią odwróciłem oczy, austrjacy nie budzili takiego uczucia odrazy.

Przedstawiono mi do zatwierdzenia wyrok sądu polowego w sprawie pułkownika (?) Benja-Szewicza oraz kilku jego podkomendnych oficerów, których zresztą nie odnaleziono; sprawę ich postanowiono zatem wyodrębnić. Sąd, po zbadaniu oskarżonego i świadków, uznał

podsądnego winnym bezczynności władzy, skutkiem której oddział jego popełnił szereg nieprawnych rekwizycyj; skazał więc Benja-Szewicza na wydalenie z wojska polskiego. Wyrok ten uznałem za bardzo łagodny, ale zatwierdziłem go, gdyż dokonał on sprawy najważniejszej — usunął szkodnika z armji polskiej [1]).

Tegoż dnia przywieziono mi od generała Dowbor-Muśnickiego list a raczej kartkę, w odpowiedzi na przesłaną mu prze mnie instrukcję, proponującą nasze współdziałanie. Generał, ironizując, pisał: „Sprawdza się, niestety, zasada strategji, że kierować wojskiem, odciętem od rządu, w osobie Rady Naczelnej, nie można, będzie zatem przysłaną mu instrukcję stosował w miarę możności". Musiała widocznie czyjaś zła wola przedstawić generałowi cele, wyłuszczone w instrukcji, w sposób fałszywy. Szkoda, że nie udało się mi wbrew najszczerszym intencjom sharmonizować naszej wspólnej działalności, wskutek intryg różnych cywilnych panów.

Nazajutrz pożegnałem się z rodziną i w towarzystwie dwóch oficerów sztabu wyruszyłem dwoma wozami pod eskortą kilku ułanów. Dzień był, niestety, słoneczny, dość ciepły. Zaraz za miastem wpadliśmy w gęste, głębokie błoto; konie przy wozach ciągnęły z największym wysiłkiem, a pod ułanami zapadały się po brzuchy. Z największym trudem dojechaliśmy do niedużego, gliniasto-czarnoziemnego pagórka i tu wozy stanęły beznadziejnie. Po długiem szamotaniu, połączonem z porwaniem uprzęży, zrezygnowałem narazie i nakazałem

[1]) Dok. Nr. 30.

powrót; pozostawała mi widocznie tylko tak niemiła podróż koleją, gdyż nie można było przejechać nawet konno.

Tegoż samego dnia otrzymałem dziwnym zbiegiem okoliczności prawie jednocześnie trzy komunikaty od miejscowych partyj politycznych, zawierające wskazówki co do mego dalszego postępowania; przytaczam je dosłownie:

Blok Jedności Narodowej, składający się ze Stronnictwa Pracy Narodowej, Stronnictwa Narodowo-Zachowawczego i Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji na Rusi, „mając na względzie wyjątkowe okoliczności, w jakich się znalazły formacje wojskowe polskie w obecnej dobie“ — komunikował mi uchwałę swą z d. 5 marca [1]):

„Wobec rozwiązania Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowego i niemożności zwołania Naczelnej Rady, członkowie której są poza Kijowem (p. Raczkiewicz w Mińsku, p. Jamontt w Piotrogradzie, Tupalski i Żeligowski przy pierwszym korpusie), wskutek czego dowództwo Polskich Formacyj Wojskowych pozostawionem jest bez wszelkich dyrektyw ze strony Naczelnej Rady, jedynie prawomocnej do wydawania rozporządzeń Formacjom Wojskowym, Blok stwierdza, że żadne polityczne partje ani ugrupowania, jako czynniki nieodpowiedzialne, nie mają prawa kierować jakąkolwiek akcją Sił Zbrojnych w zastępstwie nieobecnej R. N., tem bardziej, iż w obecnym stanie rzeczy jakiekolwiek wystą-

[1]) Dok. Nr. 31.

pienie pociągnąćby mogło za sobą nieobliczone skutki, nietylko wciągając w wir walk Formacje Wojskowe, lecz zarazem wciągając i kraj do akcji dla sprawy polskiej bądź niebezpiecznej, bądź wręcz szkodliwej.

Blok Jedności Narodowej stwierdza, że dowództwo Formacyj Wojskowych wobec powyższych okoliczności w żadnym razie nie ma prawa przedsiębrać jakiejkolwiek akcji czynnego wystąpienia.

Ze względu na to, że sam fakt przerwania się przez kordon pewnej ilości legjonów polskich oraz pułków polskich galicyjskich (?) dowodzi, iż te jednostki bojowe żadnego oparcia wojskowego w kraju nie posiadają i że przeszły na tę stronę, rachując wyłącznie na podtrzymanie przez Siły Zbrojne Polskie, po tej stronie kordonu będące, o liczebności których fałszywie zostały poinformowane; że I korpus wobec wiadomych okoliczności zmuszony został do odwołania się do decyzji Rady Regencyjnej za pośrednictwem dowództwa niemieckiego i tem samem zajął stanowisko neutralne; że Rząd Ukraiński zawarł pokój z Państwami Centralnemi; że Rząd Komisarzy Ludowych zgodził się na podyktowane mu niemieckie warunki pokoju bez zastrzeżeń; że wojska Państw Centralnych okupowały już całe terytorjum Ukrainy po Dniepr i częściowo granicę tę już przekroczyły; że stanowisko Rumunji i jej wojsk względem Państw Centralnych nie jest dostatecznie wyjaśnione; że Formacje Polskie, rozproszone na terytorjum rumuńskiem i ukraińskiem, liczebnie są tak drobne, że do jakiekolwiek samodzielnej akcji nie mogą być zdolne, Blok J. N. uważa, że wszelkie wystąpienie zbrojne tych

oddziałów przeciwko Państwom Centralnym doprowadziłoby jedynie do bezcelowego przelewu krwi, komplikując jednocześnie sytuację polityczną w kraju.

Blok J. N. upatruje jedyne wyjście z obecnej sytuacji w utrzymaniu bezwzględnej neutralności, nie wykluczając ewentualnego rozwiązania Formacji Wojskowej po tej stronie kordonu.

Koncentrowanie się przebojem oddzielnych grup Formacyj Polskich Blok uważa za nie wskazane.

Tak groźne w skutkach konsekwencje przedsięwzięcia stanowczego kroku, bez dość wyraźnego zdania sobie sprawy z sytuacji, wywołanej ostatniemi wypadkami, może niedość szczegółowo sztabowi znanemi, zniewoliło Blok J. N. do zakomunikowania Waszej Ekscelencji odnośnych rezolucyj. Zaznaczamy przytem, że jest to opinja nietylko Jedności Narodowej, ale i poważnego odłamu społeczeństwa polskiego, zajmującego stanowisko polityczne, odmienne od stanowiska Rady Polskiego Zjednoczenia Międzypartyjnego, co do zdania której w danej kwestji dokładnych informacyj nie posiadamy.

Jednocześnie Blok J. N. uważa za niezmiernej wagi wdrożenie odpowiednich starań do ulżenia losów legjonistów i żołnierzy polskich, którzy nieopatrznie przeszli kordon, i myśli, że obowiązek ten ciąży na W. Ekscelencji.“

Podpisy: Stanisław Radziwiłł, Stanisław (?) Wańkowicz, S. Horwatt, Edmund Załęski, ks. Roman Maliszewski.

Komunikat ten oświetlał wypadki na froncie wogóle trafnie, słuszna była również uwaga co do konieczności

zainteresowania się przeze mnie losem Brygady Karpackiej. Słusznie również zastrzegał się Blok przeciwko jakiejkolwiek akcji zbrojnej naszych oddziałów przeciwko okupantom na froncie wschodnim. Opinji kraju nie znaliśmy, na emigracji zaś w Rosji społeczeństwo polskie rozbiło się na szereg ugrupowań politycznych, zwalczających się wzajemnie i pozbawionych wspólnej idei politycznej. Nie było więc na miejscu takiej władzy narodowej, któraby mogła wezwać wojsko polskie do walki z okupantami, nie mogła również tego uczynić samodzielnie żadna zwierzchność wojskowa, mająca z natury swej tylko wykonawczą władzę, z wyjątkiem naturalnie możliwej prowokacji niemieckiej, godzącej w honor polskiego żołnierza. Zresztą zastrzeżenie to co do mnie było zupełnie zbędne, wiedziałem doskonale, że w danych warunkach walka zbrojna doprowadziłaby tylko do zagłady oddziałów polskich, bez żadnej korzyści dla sprawy polskiej. W stosunku do Koalicji nie potrzebowaliśmy czynić żadnych manifestacyjnych gestów, świat cały wiedział od pierwszego miesiąca wojny, że mimo syrenich pokus Polska cała, z wyjątkiem pewnego odłamu społeczeństwa naszego w Małopolsce, stała i stoi po stronie mocarstw zachodnich.

Brakło tylko w komunikacie tego, co było najważniejsze — potwierdzenia raz jeszcze niezłomnej woli społeczeństwa do walki o niepodległość Polski w szeregach Koalicji, wskazania żołnierzowi polskiemu drogi do tej walki — na froncie zachodnim, drogi, którą społeczeństwo nasze na emigracji winno było ułatwić wszelkiemi sposobami.

Bez tych haseł komunikat czynił przykre wrażenie, wiał z niego duch rezygnacji a nawet strachu przed potęgą mocarstw centralnych i możliwością represyj w kraju.

Przysłana mi przez „Stronnictwo Demokratyczno-Niepodległościowe na Ukrainie“ z datą 5 marca rezolucja brzmiała w następujący sposób:

„Stojąc trwale na stanowisku, że wszelkie czyny polityczne społeczeństwa polskiego, znajdującego się poza obrębem kraju, a w pierwszym rzędzie czyny zbrojne winny być bezwzględnie uzależnione od rozkazów jedynego prawowitego rządu polskiego, jakim w obecnej chwili jest Najdostojniejsza Rada Regencyjna w Warszawie, Stronictwo D. N. wzywa Pana, jako dowódcę części polskiej siły na Ukrainie o nawiązanie natychmiast bezpośredniego porozumienia z Radą Regencyjną, poddając się bezwzględnie Jej rozkazowi!

Podpisy: W. Waligórski, Józef Flach, Wacław Popielski [1]).

Rezolucja ta w zasadzie zgadzała się zupełnie z mojem stanowiskiem politycznem, była jednak zbyt lakoniczna, nie dawała wskazówek, co zdaniem Stronnictwa D. N. należało czynić narazie wobec okupacji, aż do otrzymania rozkazów Rady Regencyjnej; biernie również traktowała kwestję, jaką drogą mam otrzymać te rozkazy. Przecie organizacji społecznej łatwiej było uzyskać połączenie z Radą, niż generałowi, znajdującemu się poza prądami politycznemi.

---

[1]) Dok. Nr. 32.

Widoczne więc było z komunikatu i rezolucji, że całe współdziałanie obydwóch stronnictw kończy się na wypowiedzeniu opinji; żadnej pomocy od nich spodziewać się nie mogłem, więc z tem większem zainteresowaniem odczytałem list Rady Międzypartyjnej, która aż do mego wyjścia z Kijowa była jedynem stronnictwem, wspierającem nasze formacje wojskowe moralnie i materjalnie (finansowa pomoc płynęła zresztą z funduszów Koalicji).

List ten, pisany ołówkiem z datą 4 marca, zawierał następującą treść:

„Przejście legjonu galicyjskiego i otrzymane przez nas rozkazy z kraju od całego bez różnicy stronnictwa tamtejszego nie pozostawiają dziś już żadnej wątpliwości co do znaczenia niezależnej od Niemców armji polskiej. Cała przyszłość Polski zależy dziś od tego, jakie jeszcze siły polskie da się zgromadzić po tej stronie kordonu. Gdy cofanie się za Dniepr jest już po wyjściu Czechów spóźnione, rozkazujemy Panu niezwłocznie najkrótszemi drogami prowadzić swój oddział do Sorok w celu połączenia się tam z legjonami galic. i oddziałem miejscowym, utworzenia sztabu II korpusu i ewentualnego objęcia nad nim komendy.

Dla wiadomości komunikujemy: Zdrada generała Dowbor - Muśnickiego, który przeszedł pod komendę generała Hoffmana, oraz dwuznaczne zachowanie się paru członków Rady Naczelnej Wojsk Polskich, nie uznanej zresztą przez generała Dowbora, doprowadziło do zerwania ze strony Rady Międzypartyjnej wszelkich stosunków z Radą Naczelną i ogłoszenia listu otwartego

do gener. Dowbora z publicznem napiętnowaniem jego czynu. Dziś Rada Naczelna nie istnieje, natomiast powstać ma w Sorokach z porozumienia wszystkich stronnictw narodowych i socjalistycznych komitet, który obejmuje władzę polityczną nad wojskiem i do poddania się jemu wzywa P. Generała.

Gdyby P. Generał dla jakichkolwiek względów nie zamierzał wykonać tego rozkazu, proszę o niezwłoczne złożenie komendy w ręce wskazanej w osobnym rozkazie osoby.

W najbliższym czasie będę osobiście w Sorokach."

Podpis: Stanisław Jezierski [1]).

W miarę czytania tego dokumentu ogarnęło mnie coraz to rosnące zdziwienie, które dosięgło szczytu, gdym przeczytał podpis.

Kim był ten pan Jezierski? Pamiętałem coś niecoś, że w Kijowie obiło się mi o uszy to nazwisko, ale nic więcej o panu Jezierskim nie wiedziałem; dopiero ktoś z oficerów sztabu poinformował mnie, że autor listu jest wiceprezesem Rady Międzypartyjnej. Nie musiał on jednak w kijowskim okresie mych przejść brać poważniejszego udziału w akcji polityczno-wojskowej, skoro go zupełnie nie pamiętałem.

Ustalenie charakteru stanowiska pana Jezierskiego nie pomogło mi zresztą nic a nic do rozwiązania pytania, w czyjem imieniu on do mnie przemawia i próbuje rozkazywać, mogłem się tylko domyślać, że musiał pan Jezierski objąć dyktaturę wojskową z decyzji Rady Mię-

---

[1]) Dok. Nr. 33.

dzypartyjnej, ale do listu nie było dołączone nic, coby tłumaczyło jego wystąpienie. Zresztą wypadało chyba spytać mnie przedewszystkiem, czy ja się poddaję bezwzględnie dyktaturze partyjnej. Ale i tego było zresztą za mało; list zawiadamiał, że w Sorokach ma powstać Komitet w porozumieniu wszystkich stronnictw narodowych i socjalistycznych, „który obejmuje (chyba obejmie?) władzę polityczną nad wojskiem...“

Było to powiedziane śmiało, ale bez podstaw dostatecznych.

Cytowane powyżej dwóch stronnictw uchwały stwierdzają dobitnie, że porozumienie wszystkich stronnictw nie istniało, przeciwnie rozdźwięk, istniejący oddawna, pogłębił się jeszcze bardziej; trudno było również uwierzyć, by socjaliści poszli szczerze ręka w rękę ze stronnictwami narodowemi i powstrzymali się od wciągania wojska w politykę.

Linję polityczną Rady Międzypartyjnej w zasadzie uznawałem, taktykę jej jednak na froncie wschodnim, o ile ona odpowiadała treści listu, uważałem w danych warunkach za nierealną, a nawet wprost niebezpieczną. Główny argument, przemawiający za akcją czynną — przejście części Brygady Karpackiej do nas — był zupełnie chybiony, bo pozbawiony siły, i w ogólnym bilansie spraw naszych na wschodzie zapowiadał tylko straty.

Nie mniejsze wątpliwości miałem co do części strategicznej. Dla stworzenia niezależnej od obcych wpływów armji polskiej należało przedewszystkiem posiadać teren, na którymby można było spokojnie przeprowadzić

organizację, należało mieć środki finansowe i techniczne. Z tej strony kordonu nie istniały one, Ukraina dowiodła wielokrotnie, że nie znosi polskiej siły zbrojnej i chce się jej pozbyć za wszelką cenę. Wielkorosja, po zawarciu pokoju z mocarstwami centralnemi, nie nadawała się jako teren do dłuższego postoju, a Rumunja, zawierając pokój z Niemcami, bezwątpienia zostanie zmuszona do wypowiedzenia gościnności II-mu korpusowi. Zbieranie więc sił w Sorokach było nader ryzykowne.

Nie wiedział również pan Jezierski, że II-gi korpus posiada już swoje urzędowe dowództwo, nie uważał nawet za stosowne przyjechać do mnie, jako stojącego na czele wszystkich formacyj, w celu osobistego porozumienia chociażby co do strony fachowej zamierzonej przezeń operacji koncentracyjnej.

Ustęp o rzekomej zdradzie generała Dowbor-Muśnickiego oburzył mnie; byłem przekonany, że o ile generał zawarł jakikolwiek pakt z Niemcami, uczynił to z konieczności i w porozumieniu z Radą Regencyjną. Powtórzył się więc nasz historyczny grzech piętnowania, jako zdrajców, stronnictw lub osób, wyznających odmienne przekonania polityczne.

W każdym razie sytuacja moja stała się jeszcze trudniejszą, postulaty Bloku, jako wyłącznie negacyjne, nie odpowiadały moim przekonaniom, ostatnie postulaty Rady Międzypartyjnej były nierealne, prowadziły jedynie do zmarnowania zapału patrjotycznego i szeregu istnień tej młodzieży, którąby się dała skusić barwną fatamorganą zamierzeń. Musiałem więc stać twardo na

moim własnym postulacie: tu neutralizacja, na froncie zachodnim — dalszy udział w walce z Niemcami.

Nazajutrz zameldował się u mnie wysłany z Warszawy przez generała Rozwadowskiego, doradcę wojskowego Rady Regencyjnej, porucznik Mach i przedstawił list, pisany do niego, następującej treści:

„Najdostojniejsza R. R. przesłała korpusowi gen. Muśnickiego polecenie, aby w łączności z wojskami niemieckiemi ochraniał nadal polski stan posiadania i w tym celu prowadził akcję przeciwko wojskom bolszewickim.

Te same wskazania należy wyrazić wszystkim grupom wojsk polskich na Podolu i Wołyniu, a w szczególności grupie generała Michaelisa, której zadaniem najbliższem powinno być ścisłe współdziałanie z armją generała Linsingena.

Generał Rowadowski [1]).“

Nowa komplikacja! Miała działać w ścisłem porozumieniu z Niemcami, ochraniać polski stan posiadania? Przecie na Ukrainie naszym głównym stanem posiadania była ta ziemia, wywalczona od wieków krwią polską i męstwem naszych przodków, polska była prawie cała kultura tego kraju. Nie miała chyba na myśli Rada Regencyjna wyłącznie posiadanych dział i karabinów! Czy Linsingen będzie chciał szczerze ochraniać to wszystko od wandalizmu Ukraińców? Nie przypuszczałem, by ustępliwość Niemców szła tak daleko;

---

[1]) Dok. Nr. 34.

zresztą nie wolno nam było przesuwać granic porozumienia z okupacją poza ścisłą neutralność.

Jednocześnie wręczył mi porucznik Mach manifest do Narodu Polskiego, ogłoszony przez brygadjera Hallera przed przejściem kordonu. W odezwie tej podane były motywy przejścia na teren neutralny: „wobec wydarcia Polsce przez pokój brzeski ziem polskich, nie może brygada przeboleć tej straty, ani złożyć broni, będzie więc z drugiej strony frontu tworzyć dalej wojsko polskie“ [2]).

Znalazłem się więc w sytuacji, której sam rozwiązać nie mogłem, gdyż z jednej strony odrzucałem bezwzględnie wszelkie współdziałanie z Niemcami, z drugiej uważałem za marzenia ściętej głowy wszelkie imprezy na tle zamiarów przejścia za Dniepr i czynnej walki z okupantami na terytorjum Rosji; żaden zaś odłam społeczny nie podzielał mej idei — wyjazdu na front zachodni.

Posłałem więc przez porucznika Macha list do generała Rozwadowskiego, prosząc go o wyjaśnienie wszystkich wątpliwości, wśród których znaleźliśmy się na obczyźnie, a nadewszystko o zakomunikowanie mi urzędowe wskazań Rady Regencyjnej. Na odpowiedź mogłem jednak liczyć dopiero za kilka tygodni, a tu wypadki nie czekały. Pan Jezierski wyjechał już do Sorok, a różni agitatorzy ukazywali się w oddziałach w celach odpowiedniej propagandy. Najbardziej szkodliwą mogła być brygada w 2-im korpusie, wysłałem więc do

---

[2]) Dok. Nr. 35.

Sorok puł. Kowalewskiego z odpowiednią instrukcją dla generała Stankiewicza, sam zaś postanowiłem pojechać do Kijowa koleją, by tam zasięgnąć pewnych informacyj.

ROZDZIAŁ XI.

Dobrą szosą dojechałem do Płoskirowa autem. Nader gościnnego noclegu udzielił mi pan Skibniewski, a nazajutrz siadłem z porucznikiem Dunin-Holeckim do pociągu, przepełnionego austrjackimi wojskowymi.

Zachowanie się ich w stosunku do nas było bez zarzutu. W naszym przedziale znalazło się dwóch oficerów Polaków; nie indagując nas zbytnio, interesowali się oni jednak bardzo „grupą generała Michaelisa“, która mogła im jakoby przysporzyć dużo kłopotu. Wolałem jednak zachować swe incognito i niepoznany przejechałem spokojnie do Kijowa. Miasto zastałem dobrze uporządkowane przez Niemców, hotel „François“ we względnym porządku, zabrano mi jednak wszystkie pozostawione tu rzeczy. Prawie jednocześnie przyjechał do Kijowa z Warszawy pan Raczkiewicz i przedstawił się jako delegat Rady Regencyjnej, z której upoważnienia zakomunikował mi dokument następującej treści:

„R. R. Królestwa Polskiego upoważnia p. porucznika Raczkiewicza, dotychczasowego Prezesa Naczelnego Komitetu Wojskowego, przekształconego w dniu 30 stycznia 1918 r. w Naczelną Radę Polskiej Siły Zbrojnej do wystąpienia w Jej imieniu w porozumieniu z pol-

skiemi formacjami wojskowemi, znajdującemi się na Ukrainie, i wyrażenia im gotowości do objęcia nad niemi zwierzchniej władzy, jako Najwyższa Władza Państowa Polska w powstającem Państwie Polskiem. Pan porucznik Raczkiewicz ma przedłożyć dowództwu polskich formacyj wojskowych na Ukrainie wierzytelne kopje naszych pism z d. 6 marca 1918 r.

— Aleksander Kakowski, Arcybiskup.
Józef Ostrowski, Zd. Ks. Lubomirski.

(Dokument Nr. 36).

Jednocześnie wręczył mi pan Raczkiewicz odpis pisma Rady Regencyjnej do Naczelnej Rady z datą 6 marca, podpisanego również przez regentów, z wyrazami podziękowania za dotychczasową działalność i za oddanie w odpowiedniej ku temu chwili władzy politycznej nad wojskami w ręce Rady Regencyjnej [1]).

Dyrektywy Rady Regencyjnej, dane wojsku naszemu, były krótkie: formacje wojskowe winny być zachowane, jako kadry armji polskiej, a co do ich neutralności należy się porozumieć z Niemcami. Wskazówki te odpowiadały zatem treści listu generała Rozwadowskiego. Były one ciężkie, szczególniej wobec nakazu zawarcia układu z Niemcami, z Austrjakami poszłoby łatwiej; zresztą nie zależało to ode mnie, wyboru nie miałem.

Kończąc konferencję, spytał mnie pan Raczkiewicz uroczyście, czy poddaję się władzy Rady Regencyjnej.

---

[1]) Dok Nr. 36, 37.

Odpowiedziałem potwierdzająco, zgodziłem się również na prowadzenie rokowań z przedstawicielami komendy niemieckiej w imieniu wszystkich polskich sił zbrojnych na Ukrainie, celem ewentualnego zawarcia umowy neutralizacyjnej. Wobec tego delegat Rady Regencyjnej zaprosił Niemców do Kijowa.

Nazajutrz doszedł mnie nader przykry zgrzyt wewnętrzny; doręczono mi dwa listy otwarte do pana Raczkiewicza, ogłoszone przez p. p. Jakowickiego i Kiedrzyńskiego, b. członków Naczpola, i trzeci, napisany przez pana Sołtyka, b. pracownika sztabu I-go polskiego korpusu [2]).

Wszystkie te listy potępiały ostro działalność pana Raczkiewicza, jako przedstawiciela Naczelnej Rady, delegowanego (coprawda, niewiadomo przez kogo — ze mną się nikt w tym względzie nie porozumiał) do Rady Regencyjnej, w której ręce złożył on władzę nad wojskiem polskiem, formującem się w Rosji; on również prowadził w tym samym czasie pertraktacje z Niemcami co do losów I-go korpusu, zakończonych umową, która według słów listu pana Sołtyka czyniła korpus „stróżem niemieckich magazynów i dostarczycielem im produktów, zdawała go na łaskę i niełaskę Niemców".

Tekstu umowy I-go korpusu z Niemcami nie znałem; o ile jednak cytowany przez pana Sołtyka ustęp o współpracownictwie z Niemcami w umowie się znalazł, naruszał on granice ścisłej neutralności i stawiał korpus w fałszywem świetle względem aljantów. Tak niepomyślne

---

[2]) Dok. Nr. 38.

załatwienie zasadniczej sprawy stosunku I-go korpusu do mocarstw centralnych skłoniło mnie do poważnego zastanowienia się nad stanowiskiem, zajętem przez pana Raczkiewicza. Spytać go wprost nie było celu, delegat Rady Regencyjnej był stale enigmatyczny; starałem się więc dojść prawdy drogą rozumowania. Do Kijowa przyjechał pan Raczkiewicz z niemieckim oficerem, v. Sternem, który pełnił przy nim urząd anioła stróża, kontrolował każdy krok delegata; wydawało się to bardzo dziwne i upokarzające. Opowiadał mi również z widocznem zadowoleniem pan Raczkiewicz o rozwoju stosunków z władzami okupacyjnemi w Królestwie. Zorganizowany przez Niemców z b. legjonistów „Wehrmacht“ miał posiadać nadzwyczajne zalety, a jego kierownicy p. p. Berbecki, Minkiewicz i Januszajtis byli rzekomo pierwszorzędnymi kierownikami, „urodzonymi wodzami“.

Wziąwszy to wszystko pod rozwagę, doszedłem do przekonania, że pan Raczkiewicz przejął się urokiem potęgi niemieckiej, podziela nader lękliwe stanowisko Rady Regencyjnej, będę więc przy rokowaniach z Niemcami zupełnie osamotniony.

Wkrótce przyjechał delegat ks. Leopolda Bawarskiego, major v. Wulffen; był to typowy Prusak o zimnych, stalowych oczach, twardym języku i dobrych formach towarzyskich. Wraz z nim przyjechało kilka drugorzędnych figur. Z naszej strony prowadziłem obrady ja osobiście, w obecności pana Raczkiewicza, który zabierał głos rzadko, i jego tłumacza, porucznika Piotrowskiego; dyskusja toczyła się po niemiecku. Ze strony Niem-

ców zaznaczył się odrazu ton zwycięzców względem zwyciężonych; zaoponowałem co do tego z miejsca, podkreślając, że możemy dyskutować tylko jako strony równouprawnione.

Niemcy mieli już przygotowany projekt umowy; rozpoczęliśmy więc dyskusję na jego podstawie. Szła ona jak po grudzie, gdyż przeciwnicy stawiali twarde, nieustępliwe warunki. Zaraz na początku umowy znalazł się artykuł, że ja i moje oddziały obowiązujemy się do zachowania bezwzględnej neutralności w stosunku do Niemców przez cały czas wojny światowej. Nie zgodziłem się na ten warunek i po dłuższej dyskusji artykuł ten został skreślony; zaznaczył jednak major, zwracając się do mnie: „Wybaczy Ekscelencja, ale do tak niepewnej neutralności nie możemy mieć zupełnego zaufania".

Wkrótce zaznaczył się nowy szkopuł: żądanie Niemców, byśmy z nimi współdziałali w kwestjach zbierania i ochrony aprowizacji. Jak to już poprzednio wspomniałem, warunek ten był nie do przyjęcia, stawiał oddziały polskie w położenie wojsk pomocniczych w stosunku do centralnych potęg. Wulffen obstawał długo przy odpowiednich artykułach, opierając się na zawartej rzekomo w tym sensie umowie z I-ym korpusem. Chociaż byłem pod tym względem skrępowany opinją Rady Regencyjnej, podkreślającą konieczność ścisłego porozumienia z Linsingenem, nie mogłem ustąpić, i odpowiednie ustępy, ku wielkiemu niezadowoleniu Niemców, zostały również usunięte. W ciągu tej dyskusji pan Raczkiewicz nie zabierał zupełnie głosu.

W toku rozpraw spytał mnie Wulffen, czy jestem podkomendnym generała Dowbor-Muśnickiego; odpowiedziałem przecząco, gdyż zajmowane przeze mnie aż do chwili obecnej stanowisko stawiało mnie w hierarchji wyżej, i tylko Rada Regencyjna, której została przekazana władza nad wojskiem, może zmienić ten stosunek. Pytanie majora wywołane było błędnem przetłumaczeniem przez pomocnika pana Raczkiewicza § 8 umowy niemieckiej z I-ym korpusem, który głosił, że przez nazwę I-go korpusu należy rozumieć nietylko I-y korpus, ale i te korpusy, które się władzy dowódcy tego korpusu podporządkują. W rzeczywistości tekst niemiecki mówił o przynależnych (Angehörigen) do innych korpusów i miał na względzie pojedyńczych wojskowych innych formacyj, którzyby się znaleźli w orbicie I-go korpusu. Błędu tego nie zauważył generał Dowbor-Muśnicki, pan Raczkiewicz zaś opowiadał mi naprzód, że napisano tak rozmyślnie, w celu skupienia ewentualnego przy I-ym korpusie oddziałów rozproszonych po Rosji, później jednak zmienił zdanie, twierdząc, że pomyłka wynikła wskutek zmęczenia tłumaczy [2]).

Wyjaśnienia pana Raczkiewicza wydały mi się mało przekonywające, prosiłem więc majora Wulffena, by mi dał odpis art. 8 w brzmieniu oryginalnem; uczynił to chętnie. Rzeczywiście przy tłumaczeniu na język polski zaszła poważna pomyłka, wynikająca z lekkomyślności albo złej woli. Tak spreparowany tekst został

---

[1]) Dok. Nr. 39.

wkrótce podany w pismach, prosiłem więc pana Raczkiewicza o odpowiednie sprostowanie, nie doczekałem się tego jednak i ogłosiłem wjaśniający komunikat ze swoim podpisem.

Wśród ciągłych utarczek słownych opracowaliśmy zwolna artykuł po artykule; w połowie trzeciego dnia pracy dobiegliśmy już końca, gdy nastąpił epizod, przekreślający właściwie wszystko, co było już zrobione. Skończyliśmy właśnie redakcję 9-go artykułu, który obowiązywał mnie do zwolnienia z szeregów wojska polskiego wszystkich jeńców wojennych, poddanych niemieckich, i odesłanie ich do Niemiec z gwarancją, że nie będą oni karani za wstąpienie do wojska polskiego, gdy major Wulffen zażądał uzupełnienia artykułu następującym dodatkiem:

„Brygada Hallera dopuściła się zbrodni stanu, winna być przeto wydana.“

Naturalnie odpowiedziałem, że nigdy się na to nie zgodzę. Rozpoczął się spór o zasadę, co jest ważniejsze, narodowość czy państwowość; zdania nasze były wprost przeciwne, Wulffen ponad wszystko stawiał ideę państwowości, podkreślając z naciskiem, że ta właśnie różnica w pojęciach zamyka Niemcom możność porozumienia z Polakami w Poznańskiem. Stopniowo temperatura dyskusji podnosiła się, każda strona obstawała jednak przy swojem zdaniu. Nareszcie Wulffen, chcąc zakończyć spór argumentem stanowczym, wstał i, patrząc mi prosto w oczy, wyskandował ultymatywnie: „Excellenz! Entweder—oder! die Brigade

wird ausgeliefert oder Sie müssen den Degen abschnallen“ [1])!

Krew uderzyła mi do głowy, ale opanowałem się natychmiast i z pozornym spokojem, ale również twardo, odpowiedziałem:

„Sie vergessen, Major, die dritte Eventualität: den Degen gegen Sie im offenen Felde zu ziehen“ [2]).

Krzyżak zaczerwienił się gwałtownie, nastała chwila bardzo nieprzyjemnej ciszy, pertraktacje zawisły na włosku, ale rozwaga wzięła górę, Wulffen uśmiechnął się do mnie pojednawczo i z łagodną wymówką poskarżył się:

„Aber Excellenz! Man muss das nicht so hart meinen, was sollen denn wir endlich machen?...“ [3]).

Poczem zaczął mi tłumaczyć, że przecie Wódz Naczelny frontu wschodniego nie może zawierać umowy pokojowej z częścią swej armji, która się zbuntowała, że byłoby to wprost absurdem. Nie mogłem zaprzeczyć, że z punktu widzenia wojskowego rozumowanie to było słuszne. Wtedy major szepnął mi poufnie: „Lassen Sie die Kerle laufen;“ [4]) innemi słowami niech się brygada usunie z polskich formacyj. Na to jednak nie miałem odpowiedzi, zaproponowałem więc, by wobec zawiłej

---

[1]) „Ekscelencjo! albo — albo! brygada będzie wydana, albo pan będzie musiał odpasać szablę“.

[2]) „Majorze, zapominasz pan o trzeciem rozwiązaniu — dobyciu tej szabli przeciwko Wam w otwartem polu.“

[3]) „Ależ Ekscelencjo! Nie trzeba tego brać tak twardo, cóż mamy w końcu robić.“

[4]) „Niech się ci ludzie usuną.“

sytuacji pozwolono mi pojechać do Warszawy dla złożenia raportu Radzie Regencyjnej; pan Raczkiewicz poparł me żądanie. Nie podobało się ono jednak Wulffenowi. „Cesarz Wilhelm nie upoważnił Rady Regencyjnej do objęcia steru polskich spraw wojskowych“ — zaznaczył. Odparłem, że sprawa ta jest właściwie nietyle strategiczną lub polityczną, ile etyczną, której my tu rozwiązać nie możemy. Wtedy znalazł się drugi argument; mój przyjazd do Warszawy, przy obecnem podnieceniu umysłów, mógł rzekomo wywołać niepożądane demonstracje. Stałem jednak przy swem zdaniu, wtedy major przyrzekł nareszcie, że przedstawi tę sprawę ks. Leopoldowi i generał-gubernatorowi warszawskiemu, Beselerowi.

Ponieważ projektowana umowa obejmowała II-gi i część III-go korpusu, zaproponował pan Raczkiewicz, byśmy narazie podpisali preliminarz co do III-go korpusu, z którym porozumienie nie przedstawiało zasadniczych trudności. Zgodziliśmy się na to i ostatnią sesję wyznaczyliśmy w wagonie, którym delegacja niemiecka miała wyjechać.

I znowu okazało się przy odczytywaniu tekstu, że jest on przez Niemców ułożony tendencyjnie na naszą niekorzyść; rozpoczęła się ponownie dłuższa dyskusja na temat powolnej demobilizacji, której reglamentacji opierałem się aż do końca stosownie do wskazań Rady Regencyjnej — organizować się i trwać.

Wulffen jednak stawiał tę kwestję zupełnie jasno i szczerze, mówiąc: „Nie możemy pozostawić na naszych tyłach dużych oddziałów o niepewnej neutralności, my

walczymy o nasze istnienie"; targował się również bardzo o podaną mu cyfrę 25 tysięcy ludzi w korpusie, mówiąc, że niema ich przecie czem płacić. Zaopcnowałem, mówiąc, że Rada Regencyjna bierze ich na swój żołd, ale Niemiec roześmiał się ironicznie: „Rząd wasz nie ma na to pieniędzy, wiemy to bardzo dobrze". Niestety co do tych punktów nie miał pan Raczkiewicz bliższych informacyj.

W zasadzie uważałem, że projekt stopniowego zwalniania z szeregów żołnierzy jest do przyjęcia z pewnemi zastrzeżeniami, gdyż pozwalał nam odsyłać starych żołnierzy do kraju, co wobec żywiołowej chęci powrotu do Polski, panującej wśród żołnierzy, niezdolnych do przedarcia się na front zachodni, było zupełnie pożądane. W ostatniej chwili przed ruszeniem pociągu 17 marca podpisałem preliminarz, który miał być również podpisany przez majora Wulffena i ukraińskiego ministra wojny.

Przed rozpoczęciem pertraktacyj i w ich toku prosiłem kilkakrotnie pana Raczkiewicza, by mi dał oryginalny tekst umowy, zawartej przez I-y korpus z Niemcami; musiał go przecie posiadać, Wulffen zaś cytował wciąż odpowiednie artykuły. Stale otrzymywałem odpowiedź wymijającą. Gdy Niemcy wyjechali, ponowiłem swą prośbę i z wielkiem zdziwieniem dowiedziałem się od pana Raczkiewicza, że odpisu tak ważnego dokumentu nie posiada i uważa go nawet za akt wątpliwej wiarogodności. Dlaczego jednak w ciągu kilkudniowych debatów nic o tem nie mówił, gdy Wulffen cytował odpowiednie artykuły, pozostało dla mnie tajemnicą.

Podpisany przeze mnie preliminarz składał się z 11 artykułów, które zawierały następujące postanowienia: potwierdzenie naszej neutralności względem Niemców i Ukraińców; prawo do pobytu na Ukrainie; zobowiązanie do dania Ukrainie pomocy przeciwko lokalnym zakusom bolszewickim; zachowanie na własność broni i materjału technicznego w ilości 50% etatu 39 korpusu rosyjskiego; ograniczenie dowolnego przemarszu oddziałów polskich w 15 dni po podpisaniu umowy; ustalenie składu osobowego w korpusie na 20 tysięcy ludzi; możność zwalniania co miesiąc pewnej liczby żołnierzy do kraju za zgodą Ober-Ostu, wraz z orężem, który w punktach demobilizacji oddaje się do dyspozycji naczelnej władzy polskiego „Wehrmachtu“ na użytek przyszłej armji polskiej; zobowiązanie co do zwolnienia z polskich oddziałów jeńców-żołnierzy niemieckich; wkońcu uwaga, że zarządzenia co do znajdującego się również pod mem dowództwem II-go korpusu będą przedmiotem dalszego porozumienia [1]).

Po trzech dniach nadszedł z Brześcia telegram, w którym Ober-Ost zawiadomił mnie, że nastąpiło nowe rozgraniczenie sfery okupacyjnej pomiędzy Niemcami a Austrją; ponieważ formacje polskie znajdują się na terytorjum, podległem austrjackiej komendzie, projektowana z Wulffenem umowa jest nieważna i mogę zawiązać pertraktacje z dowództwem austrjackiem, które jest o tem uprzedzone [1]).

---

[1]) Dok. Nr. 40.
[1]) Dok. Nr. 42.

Na czele okupacji austrjackiej stał feldmarszałek Langier; udałem się więc do niego dla omówienia sprawy. Przyjął mnie nader grzecznie i zaproponował, byśmy przystąpili zaraz do pertraktacyj na gruncie bruljonu umowy, zrobionej z Niemcami; nie zgodziłem się jednak na to, żądając, by przedewszystkiem została oddana broń niektórym drobnym naszym oddziałom, rozbrojonym przez Austrjaków, ogłoszona ogólna neutralność wojska polskiego, by wreszcie uzyskano dla mnie pozwolenie złożenia osobistego raportu Radzie Regencyjnej. Wiedziałem dobrze, że bez wykonania tego ostatniego warunku cała sprawa, z powodu Karpackiej Brygady, utknie na martwym punkcie.

Tak się też stało; pierwsze dwa żądania spełniono natychmiast, przejazdu mego do Warszawy odmówiono jednak i na tem pertraktacje stanęły.

Pokazał mi pan Raczkiewicz ciekawy dokument, który trafił jakoś do jego rąk; cytuję go w tłumaczeniu:

Major v. Wulffen do majora Brinkmana. Zarząd gubernatora politycznego ks. Leopolda 898/8.

„Na Kongresie majowym w Petersburgu wybrany Naczpol formuje I-y korpus; po kilku miesiącach Naczpol topnieje, zostaje pięciu, w tej liczbie generał Michaelis.

Na Ukrainie formacje w 11 miejscach, na czele generał Michaelis; miejsce sztabu obecnie Kijów, Żytomierz lub Mohylów Podolski — nie można ustalić.

Jest pożądane pozyskanie tych formacyj, by mogły one potem służyć w Królestwie Polskiem; pułkownik Tupalski liczy je na 15 — 20 tysięcy. Zapewne Rumunja

postara się pozyskać generała Michaelisa, by, opierając się o Besarabję, już przez nią zajętą, jako zastaw za Dobrudżę, uzyskać w nim pomoc do walki z bolszewikami; należy się obawiać, że i Austrja postara się pozyskać generała Michaelisa, by, intrygując w Polsce, uzyskać przeciwwagę względem generała Dowbor-Muśnickiego".

Dokument ten wskazuje, że poza naszemi plecami robiły się jakieś polityczne konszachty, o których myśmy nic nie wiedzieli. Co się mnie tyczy, stwierdzam, że ani Rumunja, ani Austrja o me względy się nie ubiegały.

Pragnąc jednak wyświetlić ostatecznie stanowisko Rady Międzypartyjnej, napisałem list do pana Joachima Bartoszewicza, w którym przytoczyłem treść pisma do mnie pana Jezierskiego i moje stanowisko polityczne: uznanie Rady Regencyjnej, zaniechanie walki czynnej z okupantami na froncie wschodnim, zneutralizowanie korpusów, z wyłączeniem wszelkiej współpracy z Niemcami. Odpowiedzi nie otrzymałem [1]).

ROZDZIAŁ XII.

Wrócił z Sorok pułkownik Kowalewski. Z raportu jego dowiedziałem się, że Rumunja, zawierając z Niemcami pokój, wypowiedziała pod ich naciskiem gościnność polskim formacjom, musiał przeto korpus przejść na terytorjum Ukrainy i w danej chwili maszerował na Olgopol; straciliśmy zatem ostatni punkt oparcia.

[1]) Dok. Nr. 43.

Przywiózł również pułkownik drukowany komunikat „Naczelnej Rady Wojskowej II-go korpusu wojsk polskich"; cytuję ważniejsze ustępy:

„Komitet Wykonawczy Frontu Rumuńskiego wyłonił wspólnie z Karpacką Brygadą, która weszła w skład II-go korpusu wojsk polskich, Naczelną Radę Wojskową...

w następującym składzie:
Prezes: kapitan Bobicki.
Zastępca prezesa: pułkownik Żymierski.
Sekretarz: żołnierz Piotrowski."

Członkowie — sześciu młodszych oficerów w szarży od chorążego do kapitana; wśród nich znalazł się ów lekarz, Nakoniecznikoff, który w swoim czasie proklamował na zjeździe wojskowym Józefa Piłsudskiego naczelnym wodzem wojska polskiego.

Za swój cel zasadniczy postanowiła sobie Rada:

Odbudowę Niepodległej Ludowej Zjednoczonej Polski z ujściem do morza... i zorganizowanie armji narodowej, niezawisłej od jakichkolwiek wpływów partyjnych.

Dla spełnienia tych celów postanowiła N. R.:

1. Podjąć jak najszerszą akcję ku koncentracji wojskowej i narodowej wszystkich polskich sił zbrojnych.

2. Czuwać nad jednolitością powyższych wytycznych i uświadamiać w tym kierunku żołnierza polskiego.

3. Postaram się o niezbędne środki materjalne dla utrzymania wojska.

„...Naskutek wiadomości o deklaracji likwidacji Naczelnej Rady Polskiej Siły Zbrojnej uchwaliła N. R.

wejść bezzwłocznie w kontakt z jedynie upełnomocnionym do tego przez R. R. porucznikiem W. Raczkiewiczem, dla jak najrychlejszego skoordynowania pracy, oraz wysłać, o ile się ku temu okaże potrzeba, do R. R. swych przedstawicieli z pismem odręcznem... celem przejęcia bezpośredno od niej dyspozycji."

Dokument ten [1]) zasługiwał na bliższą uwagę; hasła głoszone w nim czyniły go właściwie manifestem, skierowanym poza granice jednego korpusu do ogółu społeczeństwa polskiego; przerastały one o wiele siły tak słabej względnie do zamierzeń jednostki zbrojnej, mogły jednak nabrać olbrzymiego znaczenia, o ile ich urzeczywistnienie wzięłyby na siebie osoby obdarzone zaufaniem szerokich kół społeczeństwa, posiadające poza tem głębokie poczucie odpowiedzialności przed niem.

Otóż komunikat wymieniał dziewięć nazwisk ludzi, noszących mundur wojskowy, ale ani jedno z nich nie było znane nikomu poza granicami korpusu, a i w samym korpusie powagę tego komunikatu kwestjonowała większość starszych oficerów. Czy tacy mężowie mogli pociągnąć za sobą nietylko wojsko, ale i szerokie warstwy społeczeństwa, wątpić należało. Najpiękniejsze hasła nie wystarczą, jeżeli je będzie głosił szeregowy działacz, mający nawet najlepsze intencje.

Zobaczymy jednak, jak skonstruowano tę Radę Naczelną. Prezesem jej został kapitan, oficer zawodowy, saper, pozostali byli oficerami rezerwy lub z przygotowaniem strzeleckiem; szarże posiadali różne, przyczem zastępcą

---

[1]) Dok. Nr. 44.

prezesa, kapitana, był pułkownik, a sekretarzem żołnierz. Zwracało uwagę, że w Radzie nie było zupełnie oficerów starszych wiekiem i szarżą, otrzymaną normalnie.

Taka rada, bardzo zresztą demokratyczna, urągała wprost podstawowym wymaganiom hierarchji wojskowej, obowiązującej w każdej prawidłowo zorganizowanej armji, a wymagającej, by na czele wszelkiej wojskowej instytucji rozkazodawczej stał oficer starszy rangą, z bezwzględnem wyłączeniem szeregowych od jakiegokolwiek wpływu na oficerskie szarże.

Poza tem rada, zaznaczając swą rzekomą niezależność od „jakichkolwiek wpływów partyjnych", nie posiadając w swem gronie ani jednego polityka, wykazała wyraźnie swe oblicze partyjne, pragnąc budować Polskę nie narodową, ale ludową.

Należy również podkreślić, że rada postanowiła skoordynować bezzwłocznie swą działalność z „jedynie upełnomocnionym" do tego przez Radę Regencyjną panem Raczkiewiczem, a nawet otrzymać w razie potrzeby bezpośrednie dyspozycje od Rady Regencyjnej.

Ja dla tych panów nie istniałem; nic dziwnego, byłem przedstawicielem ancien régime'u, nie mogącym pogodzić się z ich metodami. Wiedzieli oni, że uważam ich za szkodników, rozkładających korpus, których w razie możności usunę.

Pod względem wojskowym miała rada pracować nad koncentracją wszystkich wojskowych sił zbrojnych. W danych warunkach było to zadanie bardzo trudne, gdyż trzeba było jednocześnie postanowić jasno, jakie

cele operacyjne stawia sobie polska siła zbrojna; pracę tę mogli wykonać należycie tylko fachowcy - strategicy. Wątpić należy, czy ktokolwiek z członków rady mógł kierować tą pracą lub nawet ocenić zrobiony plan.

Kto jednak uprawniał autorów manifestu do objęcia władzy nad korpusem? Wyłonił Radę Korpusową nieistniejący już od chwili organizacji Rady Naczelnej Komitet Wykonawczy Frontu Rumuńskiego, a nie posiadał on nigdy praw komendy, określonych hierarchją wojskową. Skąd pan Raczkiewicz otrzymał uprawnienia pełnomocnika Rady Regencyjnej, o czem mi ani jednem słowem nie wspomniał, było tajemnicą autorów manifestu.

Karpacka Brygada nie znała zupełnie warunków bytu po tej stronie kordonu, zdawało się zatem, że obowiązuje ją odpowiednia rezerwa w stosunku do gospodarzy, u których znalazła gościnność.

Była zatem cała rada instytucją zupełnie samozwańczą, możliwą jedynie przy szerzącym się zamęcie i paraliżu woli u starszych oficerów, wywołanych niesłychanem sponiewieraniem autorytetu władzy przez rosyjską rewolucję. Gdyby na czele korpusu stał energiczny generał, orjentujący się dobrze w sprawach polskich i posiadający powagę swego stanowiska, załatwiłby się on z młodocianymi dyktatorami bardzo szybko. Nieszczęście chciało jednak, że dowódcą korpusu był generał Stankiewicz, człowiek słaby, obcy społeczeństwu polskiemu, a ks. Syczewski, posiadający poważny wpływ na umysły, utonął w czasie kąpieli na Podolu;

decydujący wpływ w korpusie uzyskał kapitan Bobicki, będący duszą rady.

Przy zestawieniu tekstu komunikatu z treścią listu pana Jezierskiego, pisanego do mnie, uderzało pokrewieństwo obydwóch dokumentów przedewszystkiem co do ogromu celów zamierzonych, nieskoordynowanych zupełnie z posiadaną siłą realną; identyczną była również taktyka postępowania niektórych działaczy. I tu, i tam zaczęła się z niesłychanym tupetem negacja władzy legalnej, o ile ona im nie dogadzała. Historja „gławkowiercha — praporszczyka Krylenki“ znalazła widocznie i u nas pojętnych naśladowców.

Jaką rolę grał w tej sprawie brygadjer Haller, nie wiedziałem, do tego czasu nie ujawnił on niczem swej osobistej działalności. Jednak przejście do korpusu Brygady Karpackiej, ideowo bardzo jednolitej, karnej wewnątrz, wywarło ogromny wpływ na orjentację polityczną korpusu. Żywioły młode wzięły górę, głosząc szczytne hasła niepodległości i uniezależnienia od wpływów niemieckich; agitatorzy jednocześnie podważali powagę władzy korpusu, niedość jeszcze dla niej dogodnej, wysuwając na stanowisko naczelne — brygadjera Hallera; w tym samym kierunku agitowali w korpusie wysłańcy socjalistów i piłsudczyków.

Agitacja ta rozgorączkowała młode umysły, rwące się do czynów bohaterskich, i zrewoltowała je o tyle, że poszczególne oddziały, kompanje i baterje zaczęły samowolnie, nie czekając na rozkaz dowódców, przygotowywać się do pochodu na wschód. W korpusie

powstał zamęt; jedni chcieli iść, drudzy woleli czekać na rozkaz dowództwa; w szeregach nastąpił rozłam, każdy robił, co chciał, dowództwo straciło powagę, część żołnierzy poczęła opuszczać szeregi.

Przyjazd wojskowej misji francuskiej z Jass dolał jeszcze oliwy do ognia. Nie orjentując się zupełnie w sytuacji na wschodzie, prowadzili oni w Rumunji już poprzednio jakieś polityczne narady z Komitetem Wykonawczym Frontu Rumuńskiego, nie posiadającym w kierunku politycznym najmniejszych uprawnień: teraz przywieźli i ofiarowali radzie korpusowej miljon rubli. Kapitan Bobicki przyjął je, pomimo, że poprzednio w liście do mnie pisanym zastrzegł się stanowczo przeciwko jakiejkolwiek zależności finansowej od Koalicji. Pieniądze te, wobec dużego ich braku w kasie korpusu, wpłynęły ogromnie na wzmocnienie jego autorytetu. Meldował mi również pułkownik Kowalewski, że Rada Naczelna korpusu zamierza po uzupełnieniu szeregów pchnąć korpus za Dniepr i połączyć się z I-ym korpusem.

Tak awanturnicza operacja strategiczna mogła się zrodzić wyłącznie w bardzo romantycznych i gorących głowach niefachowców i w wykonaniu prowadziła bezwzględnie do zagłady korpusu wraz z szeregiem dzielnych, patrjotycznych jednostek; zgoda na taką „operację“ generała Stankiewicza wystawiała mu jak najgorsze świadectwo niedołęstwa.

Wysłałem więc natychmiast do niego przez pułkownika Kowalewskiego rozkaz, w którym streściłem

sytuację ogólną oraz przebieg pertraktacyj z Niemcami, zaznaczając, że utknęły one wskutek kategorycznej odmowy z mej strony wydania Brygady Karpackiej, uważanej przez Niemców za winną zdrady stanu; w liście mym znalazły się poza tem następujące ustępy:

„Brygadę Karpacką uważam za należącą do składu korpusu; nie otrzymałem co do tego odpowiedniego raportu dowódcy brygady, nie znam jej linji politycznej...

Trzy są zasady, zastosowania których wymagam od każdego wojskowego:

a) posłuszeństwa Radzie Regencyjnej,

b) bezwzględnej karności względem władzy wojskowej,

c) bezzwzględnego niewtrącania się do spraw polityki, którą zajmie się komisarz z ramienia Rady Regencyjnej, nominacji którego oczekuję.

Członkowie b. związków wojskowych, znajdujących się przy korpusie, nie mają żadnego prawa do jakiegokolwiek wpływu na służbową działalność dowódcy korpusu; w razie gdyby to próbowali, nakazuję wystąpić przeciwko nim stanowczo; również wzbroniona jest wszelka agitacja jakiejkolwiek partji politycznej.

Względem mocarstw centralnych obowiązuje neutralność, dać się rozbroić nie wolno, w stosunku do Ukraińców to samo; jesteśmy ich gośćmi, ale przemawiać do nich należy stanowczo.

Przy korpusie nie może być wojskowych, którzy nie są zaliczeni do szeregów i nie pełnią służby, przewidzianej ustawą.

Brygadzie Karpackiej, póki ona jest przy korpusie, należy mieć się na baczności, by jej wrogowie nie otoczyli.

Przejście dużą masą przez Dniepr jest bardzo trudne, Niemcy zajęli wszystkie przeprawy oprócz Jekaterynosławia... w danej sytuacji uważam czynne wystąpienie przeciwko Niemcom na wschodzie za przedsięwzięcie awanturnicze bez żadnej szansy powodzenia; walkę czynną z nimi należy prowadzić najdzielniejszym jednostkom na froncie zachodnim.

Gdyby korpus ruszył za Dniepr, wywiąże się nader ciężka sytuacja: walka z Niemcami na wrogiem terytorjum; wszyscy tu są naszymi nieprzyjaciółmi; niemożność dalszego finansowania jest nieunikniona; dokąd iść niewiadomo.

Decyzje, wynikające z tego nakazu, proszę wydawać bez wszelkiego porozumienia się z postronnemi czynnikami“ [1]).

Poufny ten list dostał się jednak do rąk Rady Korpusu, która rozgłosiła w szeregach, że przysłałem rozkaz zakwaterowania wszystkich oddziałów w rejonie Bracław — Winnica, gdzie władze ukraińskie i austrjackie miały je zaopatrywać w żywność i pieniądze.

W moim liście nie było ani słowa w tej kwestji, a potwarz tę sfabrykowała Rada w celu dyskredytowania mnie w opinji korpusu; o mem nieprzejednanem stanowisku w stosunku do Niemców z powodu odmowy wydania Brygady Karpackiej przemilczano dyskretnie.

---

[1]) Dok. Nr. 45.

ROZDZIAŁ XIII.

W oczekiwaniu wskazań Rady Regencyjnej wyjechałem do Winnicy, pragnąc znaleźć się bliżej korpusów; zastałem tu swoją rodzinę, która przed kilku dniami przyjechała z Płoskirowa.

Zaraz po przyjeździe zameldował się u mnie dowódca 7-go pułku ułanów, pułkownik Kuncman; znałem go od lat wielu, jako wzorowego oficera i dobrego Polaka. Pułk zakwaterowany był w rejonie Winnicy, mając sztab i jeden szwadron w majątku pana F. Jaroszyńskiego — Dzwonisze, drugi — w Michałowie, a trzeci o 15 km. w Niemirowie; postawiono go tak daleko od pułku naskutek starań miejscowej polskiej ludności, która bała się napadu band chłopskich na gorzelnię i skład spirytusu.

Skład oficerów był doskonały, zastępcą dowódcy pułku był rotmistrz Szeliski, z którym przyjaźniłem się zamłodu we Włocławku; był to wyjątkowo inteligentny człowiek, gorący narodowiec; przed wojną pracował on dłuższy czas w Argentynie, organizując polskie wychodztwo, do wojska wrócił z przekonania w chwili wybuchu wojny, pragnąc walczyć z Niemcami, w pułku pracował dużo nad uświadomieniem ułanów. Stosunek żołnierzy do oficerów był bez zarzutu, karność panowała wzorowa.

Przyjeżdżał do pułku pan Jezierski i próbował agitować za wyjściem za Dniepr, ale nie znalazł najmniejszego posłuchu. Pułkownik Kuncman zakazał mu wkońcu dalszych wizyt, grożąc sądem polowym. Z zasadą

niedopuszczenia w szeregach wszelkiej agitacji politycznej zgodziłem się naturalnie, uprzedziłem jednak pułkownika, że pan Jezierski jest właściwie człowiekiem dobrej wiary i narodowcem, nie zasługuje przeto na stosowanie do niego radykalnych represyj, zakaz przyjazdu wystarczy.

Prowiantowanie pułku odbywało się przy wydatnej pomocy ziemian okolicznych, a poczęści zapomocą rekwizycyj po wsiach; płacono kwitami, pieniędzy nie było ani w pułku, ani w wyższem dowództwie; żołd oficerom i żołnierzom wypłacano częściowo z pieniędzy otrzymywanych ze sprzedaży spirytusu rządowego, biorąc część ich za ochronę składów.

W parę dni później nadesłał mi pułkownik Kuncman raport[1]), którego treść uważam za pożyteczne zacytować:

„W ciężkich warunkach, w jakich znajdowały się nasze formacje w rejonie Winnicy, z wielką pomocą przyszło nam społeczeństwo polskie. Największą jednak pomoc, jak fizyczną tak i materjalną, okazał nam p. Fr. Jaroszyński, który najzupełniej oddał się pracy dla formacyj i któremu najwięcej zawdzięczamy".

Dla wzmocnienia pułku rozkazałem włączyć do niego mój konwój, złożony z 3 oficerów i 45 jeźdźców, który utworzył kadrę 4-go szwadronu; szeregi jego zapełniły się szybko, dzięki napływowi ochotników z inteligencji kresowej, którzy meldowali się często z końmi i rynsztunkiem; wcielono również do pułku resztki oddziału

[1]) Dok. Nr. 46.

rotmistrza Engla w liczbie kilku oficerów i 40 jeźdźców.

25 marca otrzymałem od pana Raczkiewicza pismo, pełne zarzutów na zachowanie się oddziałów polskich na Ukrainie, które pod pozorem rekwizycyj miały się dopuszczać grabieży ludności miejscowej. „Nic dziwnego więc“ — pisał autor pisma — „że z dniem każdym wzrasta wrogi stosunek miejscowej ludności i do naszych formacyj, i do Polaków wogóle, zagrażający wprost istnieniu wszystkiego, co polskie“ i t. d. W końcu prosił pan Raczkiewicz, bym go zawiadomił o poczynionych przeze mnie w tej kwestji zarządzeniach, które mu są niezbędne dla sprawozdania Radzie Regencyjnej [2]).

Pismo to zdziwiło mnie podwójnie. Pan Raczkiewicz wystąpił w niem, jako „przedstawiciel R. R. do spraw formacyj Wojsk Polskich na Ukrainie“. Tego pełnomocnictwa nie znałem, miałem dotychczas do czynienia z delegatem Rady Regencyjnej, posiadającym mandat jedynie do porozumienia się z polskiemi formacjami, być mogło jednak, że uzyskał on te pełnomocnictwa w ostatnich dniach; odłożyłem więc tę sprawę do osobistego spotkania.

Bardziej uderzyła mnie treść pisma; wskazywała ona, że pan Raczkiewicz, który spędził na początku tego roku półtora miesiąca na Ukrainie, orjentował się w stosunkach miejscowych słabo, nie znał również stanu moralnego naszego żołnierza. Nienawiść do wszystkiego, co

---

[2]) Dok. Nr. 47.

było polskie, ujawniła się na Ukrainie już na kilka miesięcy przed ukazaniem się pierwszego żołnierza naszego; wyrazem nader wymownym uczuć ludności było bestjalskie zniszczenie większości majątków polskich ziemian. Ukazanie się w kraju naszych oddziałów zaostrzyło tylko tę nienawiść, gdyż zahamowało nieco zbójeckie tępienie resztek polskiej kultury. Oddziały nasze nie mogły przypatrywać się biernie dokonywanym na Polakach gwałtom, miały obowiązek moralny obrony polskiej ludności od grabieży; musiały również żyć, a nie otrzymywały znikąd środków pieniężnych, stąd wynikała konieczność rekwizycyj zboża i mąki u ludności, przeważnie zrabowanych u obywateli. Naturalnie, nie obyło się to bez nadużyć, oficer i żołnierz byli zanadto zdemoralizowani jadem bolszewickim, karność zaś była słaba poczęści z naszej własnej winy.

Nie interesował się również „pełnomocnik", skąd brać pieniędzy na utrzymanie wojska, chociaż w swoim czasie dostarczył środków przy pomocy Rady Międzypartyjnej; nie zauważył uformowania się przy II-gim korpusie nowotworu szkodliwego — samozwańczej Rady Korpusowej, wtrącającej się do rozkazów dowództwa.

Należało właściwie w tym sensie odpowiedzieć, nie chciałem jednak bez konieczności zaostrzać stosunku, odpisałem więc powściągliwie, wymieniając środki, przy pomocy których walczę z nadużyciami wojska, nie wyłączając sądów polowych i wyroków śmierci; nadmieniłem również, że zaprosiłem władze ukraińskie do współudziału w tępieniu band, organizowanych przez żołnie-

rzy, w danych jednak warunkach jest rzeczą niemożliwą usunąć gruntownie plagę grabieży [1]).

W drugiej połowie marca nadszedł do Winnicy oddział pułkownika Rummla; został on zakwaterowany w rejonie Pikowo — Chmielnik. Z oddziałem przyjechał generał Leśniewski z rodziną. Dywizjon szwoleżerów został narazie w Antoninach.

W czasie marszu stwierdzono wielokrotnie wrogi stosunek Ukraińców do wojska naszego; chłopstwo bało się jednak występować jawnie przeciwko oddziałowi, imponującemu karnością i kategorycznemi żądaniami, nie znoszącemi sprzeciwu. Raz jeden tylko nie wytrzymały „rezuny“ i urządziły we wsi Wojtowce zasadzkę na podjazd 1-ej baterji konnej; w walce nierównej padli: chorąży Zgorzelski, ogniomistrz Kuć i wolontarjuszka Mroczkowska (córka obywatela); zraniono chorążego Lewickiego i dwóch szeregowców.

Przeprowadzone natychmiast śledztwo wyjaśniło, że mieszkańcy wsi Wojtowce, przeważnie Polacy, uratowali od śmierci rannych artylerzystów, inicjatorami zaś wyprawy byli chłopi ze wsi Kaczanówki. Pretekstem do napadu była wieść, jakoby wolontarjuszka Mroczkowska była córką obywatela Trzeciaka, którzy przyprowadził w okolicę wojsko polskie dla „rabowania“ ludności.

Morderców należało ukarać; wysłał więc pułkownik Rummel ekspedycję karną. Gdy żołnierze ujrzeli straszliwie okaleczone zwłoki swych kolegów, unieśli się

---

[1]) Dok Nr. 48.

gniewem i zapragnęli zemsty. Cała Kaczanówka poszła z dymem, zabito pięćdziesięciu chłopów; w Wojtowcach spalono tylko dwie chaty prowodyrów. Chłopstwo broniło się słabo i poszło w rozsypkę, kryjąc się po okolicy [2]).

Wkrótce otrzymałem wiadomość, że Ukraina zaczyna jakoby skłaniać się do porozumienia z nami, a minister wojny obiecuje dać teren do zakwaterowania. Wyjechałem więc do Kijowa dla prowadzenia tej sprawy.

Nim ją rozpocząłem, zakmunikowano mi poufnie, że obecnie bawią w Kijowie trzej delegaci od Rady Korpusowej II-go korpusu i prowadzą tajne konferencje z panem Raczkiewiczem. O czem radzono, nie wiem, widocznie nie zostały zapomniane dawne konspiracyjne metody Naczpola. Nieco później via II-gi korpus dowiedziałem się, że pan Raczkiewicz:

a) zatwierdził swą władzą Radę Korpusu, przelewając na nią swe pełnomocnictwa polityczne, polecając jednocześnie, by przy dowódcy korpusu znajdował się stale jeden z członków z jej wyboru. Punkt ten potwierdził mi pan Raczkiewicz osobiście.

b) zakomunikował Radzie Korpusu, że Rada Regencyjna rozkazuje korpusowi maszerować za Dniepr; delegaci zakomunikowali o tym rozkazie generałowi Stankiewiczowi, opowiadali o tem żołnierzom na wiecu, dodając dla wywołania większego wrażenia, że rozkaz ten posiada sześć pieczęci.

---

[2]) Dok. Nr. 49, 50.

c) napisał do tejże Rady list poufny, znany zresztą na miejscu wielu oficerom, w którym zaprzeczał mi prawa do komendy: „Generał Michaelis — pisał — stara się o prawo wyjazdu do Warszawy, by uzyskać zatwierdzenie Rady Regencyjnej, ale to każdy może zrobić“; frazes końcowy cytowany był w korpusie niejednokrotnie.

Osobiście dowiedziałem się od pana Raczkiewicza, że jakichkolwiek nowych pełnomocnictw od Rady Regencyjnej nie posiada, jasne więc było, że przekroczył on o wiele swe uprawnienia, nie upoważniające go bynajmniej do wtrącania się do wewnętrznego bytu korpusów lub wyprowadzania ich za Dniepr; a że nie miał on prawa jakichkolwiek decyzyj ostatecznych, wskazuje przedewszystkiem fakt, że przecie sam zaprosił mnie do prowadzenia pertraktacyj z Niemcami, jako starszego przedstawiciela polskich korpusów.

Jak daleko szedł rozkład pojęć o hierarchji i karności obowiązującej wojsko, nawet wśród wojskowych fachowców, stwierdzał list, otrzymany przeze mnie z Odessy w odpowiedzi na mój rozkaz, skierowany do polskiego oddziału, tam zebranego, by wymaszerował na północ dla połączenia się z II-im korpusem. Otóż dowódca tego oddziału, kapitan Skrzyński, mianujący się „naczelnikiem sił zbrojnych okręgu odeskiego“, odmówił spełnienia rozkazu, „póki nie otrzyma dyrektyw od reprezentanta Rady Regencyjnej, podporucznika Raczkiewicza, ze wskazaniem środków komunikacyjnych do przetransportowania polskich formacyj, znajdujących się w Odessie, i całego dobytku“...

Za zgodność treści poświadczył naczelnik sekcji, pułkownik Rybiński [1]).

A przecie kapitan Skrzyński znany był poprzednio z dzielności i męstwa, posiadał oficerski krzyż Św. Jerzego; widocznie i jemu jednak uderzyły do głowy przykłady rewolucyjne, ogłosił się „naczelnikiem sił zbrojnych", zrobił swym subalternem pułkownika i z zupełnym spokojem przeszedł nad moim rozkazem do porządku dziennego, zasłaniając się potrzebą otrzymania jakichś dyrektyw „od reprezentanta R. R.". Gdyby takie dyrektywy miały być dane oddziałom wojskowym, toć jasne było dla każdego fachowca, że dowódcy poszczególni otrzymują je nie bezpośrednio, ale przeze mnie, jako starszego dowódcy wojska polskiego na Ukrainie.

Wrócił z II-go korpusu generał Karnicki i zameldował mi o wzrastającym w jego szeregach rozkładzie. Generał Stankiewicz stracił zupełnie głowę, przestał reagować na rozgrywające się dokoła niego wypadki, przestał rozumieć, kto ma prawo wydawać mu rozkazy. Natychmiast więc wysłałem dowódcy korpusu odpowiednie wyjaśnienie [2]) stwierdzające me uprawnienia do komendy aż do chwili, gdy Rada Regencyjna, której się polska siła zbrojna podda, zamianuje nowe dowództwo lub zatwierdzi dotychczasowe.

Pisałem następnie, że miałem konferencje z feldmarszałkiem Langierem, od którego zażądałem, by kazał zwrócić broń rozbrojonym w tych dniach drobnym

---

[1]) Dok. Nr. 51.
[2]) Dok. Nr. 52. a i b.

oddziałom II-go korpusu i ogłosił ogólny rozkaz o uznaniu wojska polskiego za neutralne; dalsze pertraktacje zależą od wskazań Rady Regencyjnej; na czele ich postawię kwestję Brygady Karpackiej, sytuację jej uważam za bardzo trudną. W końcu nadmieniłem: „Jeżeli korpus chce podzielić jej losy, ja żadnych wskazań panu udzielić nie mogę, sam fakt zakwestjonowania przez dowództwo mej władzy odbiera powagę ewentualnym mym rozkazom, bronić jednak sprawy brygady wobec władz austrjackich będę, mam do tego moralne prawo"...

Byłem przyjęty przez Petlurę; nie zmienił się w ciągu tych kilku miesięcy ten wielki polityk nic a nic. Rozmowę rozpoczął od cierpkiej wymówki, że „wasi legjonerzy palą wsie i mordują chłopów." Pytałem go spokojnie, o jakim wypadku mówi. Wymienił mi Kaczanówkę. Opowiedziałem mu wtedy szczegóły tego wypadku, zaznaczając, że nie szukamy zwady, ale bronić się będziemy i biada temu, kto nas zaczepi.

Petlura słuchał uważnie, oponował słabo. Obecny przy rozmowie minister wojny, Żukowskij (ten sam, z którym się tak niegrzecznie obszedłem w Żytomierzu) zauważył wkońcu z pewnym wyrzutem, że przecie Polacy i Ukraińcy są bratniemi narodami, nie powinni się przeto zwalczać, lecz porozumiewać się bezpośrednio, a nie przez głowy Niemców, którzy są wrogami wspólnymi. Uradziliśmy więc, że mieszana komisja ustali ostatecznie już przygotowane warunki porozumienia. Rząd ukraiński ofiarował nam do zakwaterowania w Czernihowszczyźnie rejon, ograniczony Nowozybkowem, Horodnią, Mozyrzem i Homlem; wojsko miało się

tam udać kolejami, otrzymywać aprowizację na miejscu na rachunek przyszłej umowy z Polską; żadnych zobowiązań, oprócz służby garnizonowej, nie dawaliśmy.

Przygotowanie uzgodnionego projektu do podpisu poruczyłem porucznikowi Piotrowskiemu.

W hotelu oczekiwał na mnie generał Stankiewicz; nie mogąc sobie dać rady na miejscu, przyjechał do Kijowa po instrukcje. Sytuacja w korpusie była krytyczna, iskra, którą pan Raczkiewicz rzucił na prochy, wybuchła; w korpusie zupełny rozłam, prawdopodobnie pomiędzy Brygadą Karpacką a 4-tą dywizją wybuchnie walka orężna. Rada wraz z brygadjerem Hallerem żądała natychmiastowego wyjścia na wschód i zmiany dowództwa. Generał Stankiewicz posiadał wiadomości, że aktywiści chcieli go aresztować, 4-ta dywizja nie pozwoliła zaś na to; w każdym razie miał on zamiar ustąpić, gdyż uważał, że korpus był w danych warunkach czynnikiem niebezpiecznym.

W odpowiedzi zaznaczyłem, że nie wolno mu usuwać się w chwili, gdy płonie dach nad głową, będąc jednym z głównych winowajców tego pożaru; mając w korpusie przewagę szarży i stanowiska, nie powinien on był pozwolić na tworzenie się w nim jakiejś rady, wzorowanej na żołnierskich „sowietach“, lecz wydalić natychmiast agitatorów poza rejon korpusu.

Stosunek z Brygadą Karpacką zwichnięto również odrazu; przygarniając ją przyjaźnie, należało jednak jednocześnie, by jej dowództwo stosowało się ściśle do obowiązujących w korpusie przepisów. Nie uczynił tego jednak

generał Stankiewicz, przyglądał się z rezygnacją, jak agitacja rozkładała podstawy karności i hierarchji.

Na me zarzuty nie miał generał żadnego argumentu, spytał tylko, czy ma się widzieć z panem Raczkiewiczem; bardzo mu to zaleciłem, radząc sprawdzić istotne pełnomocnictwa delegata.

Wizyta nie udała się, pan Raczkiewicz przyjął generała wyniośle, o swych pełnomocnictwach mówił tylko ogólnikowo, pochwalił tylko zamiar jego podania się do dymisji, polecając mu, jako następcę, generał Osińskiego, „którego właśnie delegował dla jakichś celów do korpusu". Telegram w tym sensie został na miejscu natychmiast ułożony i wysłany do korpusu z podpisem generała Stankiewicza.

Zgromiłem ostro tak niepoważne postępowanie starszego generała, który, mając bezpośredniego zwierzchnika na miejscu, przyjmuje polecenia służbowe od niepowołanej osoby, i rozkazałem odwołać telegraficznie dany do generała Osińskiego rozkaz; zastępcą dowódcy korpusu miał nadal pozostać generał Glass, nie byłem jednak pewny, czy to co pomoże, — dowódca korpusu stracił zdolność orjentacyjną.

By go wzmocnić na duchu, zakomunikowałem mu treść umowy, zawieranej z Ukrainą. Przedstawiała się ona naogół bardzo korzystnie, usuwała wojsko polskie z pod wpływów okupantów, nie obowiązując nas, poza neutralnością, do niczego, zaproponowałem więc generałowi, by podpisał umowę wspólnie ze mną. Odbyło się to w obecności ministra Żukowskiego, który obiecał ją podpisać nazajutrz i przysłać mi przez porucznika Pio-

trowskiego do Winnicy. Wyjazd eszelonów miał się rozpocząć za dni kilka. Żegnając się ze mną, zgodził się generał Stankiewicz cofnąć swą dymisję.

Pragnąc nareszcie ustalić stosunek pana Raczkiewicza do mnie i naszych formacyj, zaprosiłem go na konferencję.

Wypadła ona jak najgorzej, nie wyjaśniła nic, poczynając od rzekomych pełnomocnictw delegata, stwierdziła tylko, że będzie on nadal wtrącał się do spraw wojskowych korpusów.

ROZDZIAŁ XIV.

Wróciłem do Winnicy, mając zamiar udać się osobiście do II-go korpusu, by tam wprowadzić wreszcie ład. Pewien byłem posłuchu w szeregach 4-ej dywizji i u całej starszyzny oficerskiej, wielką zagadką była jednak dla mnie Karpacka Brygada. Ale wypadki potoczyły się tak szybko, że nie zdążyłem wykonać postanowienia. Z korpusu wrócił ułan, wysłany tam z rozkazami, i zameldował, jakoby generał Stankiewicz nie dojechał do korpusu i zawrócił na Odessę, generał Osiński pojechał do Kijowa, generał Glass z częścią korpusu maszeruje na Winnicę, a brygadjer Haller ze swymi zwolennikami poszedł na wschód. Tegoż dnia nadjechała delegacja 5-go pułku ułanów i konnej baterji, należących do II-go korpusu z raportem o powstałym w korpusie zamęcie, prosząc, bym wyznaczył dowództwo, gdyż ani oficerowie, ani ułani nie wiedzą, kogo słuchać.

Widocznie wrzód w korpusie pękł, wydałem więc natychmiast 2 kwietnia rozkaz następującej treści:

1) Dowódca II-go korpusu generał Stankiewicz zwalnia się ze służby w korpusie.

2) Dowodzącym czasowo korpusem mianuję generała Glassa.

3) Korpusowi rozkazuję przejść niezwłocznie do Tywrowa (w okolicy Winnicy).

4) Wydalić z korpusu wszelkie warcholskie elementy, a członków samozwańczej Rady Korpusowej aresztować i wysłać do Winnicy dla oddania za wichrzycielstwo pod sąd.

Jednocześnie wysłałem do dowódcy korpusu pismo następującej treści:

„Brygada Karpacka nie należy do składu II-go korpusu; przyjęcie jej nie zależało od dowódcy korpusu, ale od władzy naczelnej, i mogło nastąpić dopiero po złożeniu przez dowódcę brygady odpowiedniej deklaracji; nie uczyniono tego dotychczas, uważam przeto brygadę za przykomenderowaną czasowo na zasadach gościnności. Decyzje dowódcy brygady obowiązują jedynie skład jej, w każdym razie nie należy czynić żadnych przeszkód, gdyby brygada chciała się odłączyć od korpusu“ [1]).

Przedstawiono mi wykonany już wyrok sądu polowego III-go korpusu na podrotmistrzu Szaniawskim i porucznikach Zalewskim, Martynowskim i Sopoćce, oddanych pod sąd za samowolne rekwizycje i dezercję: Szaniawski

---

[1]) Dok. Nr. 53.

został rozstrzelany, pozostali zdegradowani na szeregowych i wydaleni z wojska polskiego [2]).

Nie mając zupełnie zaufania do Ukraińców, wysłałem do przeznaczonego nam rejonu przyszłego zakwaterowania dwóch oficerów w celu sprawdzenia miejscowych warunków życiowych.

Zaraz po powrocie przypomniał mi się pan Raczkiewicz.

Otrzymałem od niego nakaz (!), bym „wobec decyzji o przelaniu polskich formacyj na Ukrainie częściowo do I-go, a częściowo do II-go korpusu, przekazał wydziałowi wojskowemu, powołanemu przez niego, wszelkie dokumenty i t. p. i termin przekazania oznaczył na dzień 2 kwietnia.

Rzeczywiście mówiłem w swoim czasie panu Raczkiewiczowi, że wobec niemożności ostatecznego sformowania w danych warunkach III-go korpusu, zamierzam wszystkie fomacje jego wcielić do II-go korpusu, zwijając jednocześnie naczelną komendę, jako już niepotrzebną, ale żadnej decyzji w tym względzie jeszcze nie powziąłem, w żadnym zaś wypadku nie miał tu pan Raczkiewicz nic do roboty.

Zawiadomiłem go więc, że ma on upoważnienie do porozumienia się ze mną tylko w sprawach politycznych, w sprawach zaś czysto wojskowych będę mówił tylko z dowódcami wojskowymi.

Ledwie wyjechał goniec, nadszedł z ukraińskiego ministerjum telegram z zawiadomieniem, że 5 kwietnia będą

---

[2]) Dok. Nr. 54.

w Winnicy podane pociągi dla transportu polskich oddziałów. Ponieważ nie miałem jeszcze zatwierdzonej umowy w ręku, a zorganizowanie przewozu wymagało kilku dni, odpowiedziałem, że proszę nadesłać pociągi do Antonin 7 kwietnia, a do Gniewania 10-go [1]).

Rozkład II-go korpusu potwierdził telegram od generała Glassa, zawiadamiający, że maszeruje on z oddziałem do Winnicy, ale w Kirnasówce został zatrzymany przez 30 austrjacki pułk piechoty, którego dowódca żąda, by zmieniono marszrutę na Wapniarkę, stosownie do rozkazu austrjackiego naczelnego dowództwa [2]).

Zatelegrafowałem natychmiast do austrjackiego generała Severusa, prosząc o wolną drogę dla polskich oddziałów, maszerujących do Winnicy, skąd stosownie do porozumienia z Ukrainą będą one przewiezione koleją do Homla [3]).

Odpowiedź nadeszła w kilka godzin; generał Severus zawiadamiał, że nie zna umowy zawartej przez wojsko polskie z Ukrainą; uprzedzał, że transport wojska może nastąpić tylko w prozumieniu z niemieckiem dowództwem Linsingena, prosił, by odpis umowy z Ukrainą przesłać dowództwu armji austrjackiej w Zwierzynce, a oddziały polskie pozostawić narazie w miejscach obecnego kwaterunku [4]).

---

[1]) Dok. Nr. 57.
[2]) Dok. Nr. 58. a i b.
[3]) Dok. Nr. 59.
[4]) Dok. Nr. 60.

Nie mogłem jednak zgodzić się z pozostawieniem oddziałów, będących w marszu, w punktach przypadkowego kwaterunku, gdzie brakło przedewszystkiem aprowizacji, telegrafowałem więc raz jeszcze do Severusa, zaręczając mu, że żaden oddział po dojściu do Winnicy nie będzie zawagonowany bez porozumienia z austrjacką komendą [5]).

Nazajutrz zameldował się u mnie generał Glass. Rozkazów mych nie mógł spełnić, gdyż agitacja Rady Korpusu, nie cofającej się przed żadnemi środkami, podburzyła przeciwko niemu większość żołnierzy; 5-y pułk ułanów wraz z konną baterją zostały osobiście zaagitowane przez pana Raczkiewicza i połączyły się z brygadą Hallera; przy generale Glassie została większość oficerów korpusu i czterystu żołnierzy.

O przewrocie rewolucyjnym w korpusie złożył mi generał Glass raport pisemny, potwierdzony podpisem szeregu najpoważniejszych oficerów korpusu.

Przebieg wypadków był następujący.

Walka wewnętrzna doszła do szczytu, gdy korpus stanął w Czeczelniku; tu generał Stankiewicz, nie chcąc ponosić odpowiedzialności za dalszy marsz na wschód, oparł się stanowczo tej awanturniczej operacji strategicznej. Nie próżnowała jednak agitacja, głosząca wzniosłe hasła, piętnująca hańbą tych, którzy iść nie chcieli; młodzież przestała słuchać dowódców, oddziały i baterje zaczęły się samowolnie przygotowywać do wymarszu; powstał zamęt ogólny; jedni chcieli iść, inni

[5]) Dok. Nr. 61.

woleli czekać na rozkazy. Nastąpił ostateczny rozłam, każdy robił, co chciał, sam określał się indywidualnie, a wielu usunęło się zupełnie z korpusu. Dowództwo utraciło zupełnie powagę.

Wtedy generał Stankiewicz postanowił wyjechać do Kijowa po instrukcje, zalecając korpusowi, by oczekiwał spokojnie jego powrotu i ostatecznej decyzji, zastępstwo zaś poruczył generałowi Glassowi [1]).

Ale Rada Korpusu uważała, że nadeszła chwila dokonania rewolucyjnego przewrotu w korpusie, wydała więc 24 marca komunikat - manifest, opierający się rzekomo na sprawozdaniu delegacji kijowskiej i aktualnych stosunkach w korpusie; w komunikacie tym znalazły się następujące ustępy:

a) „Wobec układu z Niemcami, zawartego przez I-y korpus oraz przez generała Michaelisa;

b) wobec zrozumienia istotnego interesu, jaki dziś ma Rada Regencyjna w istnieniu i utrzymaniu niezależnego od centralnych mocarstw niepodległego wojska polskiego, R. K. postawiła dla II-go korpusu jako cel: nie łączyć się z Niemcami, nie wchodzić w stanowisko I-go korpusu, maszerować na miejsce, gdzie korpus usunie się z terenu, będącego pod wpływem mocarstw centralnych.

Ponieważ polecenie to nie znalazło posłuchu w Dowództwie Korpusu, R. K. wyjeżdża do 5-ej dywizji i wydaje następujący rozkaz:

---

[1]) Dok. Nr. 62, 63, 64, 65, 66, 67.

1. Wszystkie oddziały, wszyscy oficerowie i żołnierze, zdecydowani do zostania w szeregach niezależnych od Niemców... ściągają do 5-ej dywizji, która stanowi ośrodek.

W celu szczegółowego poinformowania oddziałów i żołnierzy, wyjeżdżają natychmiast członkowie R. K. i komisarze do poszczególnych oddziałów" i t. d.

Komunikat powyższy i rozkaz zasługują na pewną analizę. Komunikat rozpoczynał się od kłamstwa, jakobym zawarł układ z Niemcami; nie mógł tego powiedzieć delegatom pan Raczkiewicz, twierdzono tak jednak, by znaleźć pretekst do ostatecznego wyłamania się z pod władzy legalnej, pozorując jednocześnie konieczność wymarszu na wschód niechęcią łączenia się z Niemcami, które przeze mnie nigdy nie były zamierzone, chociaż Rada Regencyjna za pośrednictwem pana Raczkiewicza zalecała je. Panowie z Rady Korpusu wiedzieli doskonale, że odrzucałem wszelkie współdziałanie z okupantami, oświadczyli tak jednak, bo pomagało im to przy wykonaniu zamierzonej fantastycznej wyprawy w bezkresy Rosji bolszewickiej.

Bez ceremonji również obeszli się augurowie komunikatu z Radą Regencyjną. Nic to, że żądała ona oportunistycznie współdziałania z Niemcami; komunikat wmawiał jej, że „pragnie ona istnienia i utrzymania niezależnego od centralnych mocarstw niepodległego wojska polskiego". Ideowo było to naturalnie słuszne, ale praktycznie na froncie wschodnim nie do osiągnięcia.

Oryginalny był zwrot, że polecenie wymarszu nie znalazło posłuchu u dowództwa korpusu, że dowódca korpusu nie chce spełnić tego rozkazu!

Rozkaz wykonawczy posiadał charakterystyczną cechę okresu kierenszczyzny w armji rosyjskiej, członkom Rady Korpusu nakazywał wyjazdy do oddziałów dla odpowiedniej propagandy ponad głowami dowódców oddziałów. Znaleźli się również w korpusie i komisarze, jeden z najzjadliwszych produktów rozkładu rosyjskiej armji, zakazany przeze mnie bezwzględnie a zaszczepiony w oddziałach korpusu przez Radę Korpusu wskutek karygodnej bezczynności władzy legalnej.

Ostatecznie cały komunikat musiał na wojskowym wywrzeć deprymujące wrażenie: całe założenie jego oparte na szeregu kłamstw, głoszonych w celu popchnięcia łatwowiernej, ślepej masy żołnierskiej na wschód, gdzie na nią czekała śmierć lub niewola. Przypominał on łudząco słynną depeszę Emską w roku 1870, sfałszowaną przez Bismarcka, która wywołała natychmiastowy a pożądany przez niego wybuch wojny francusko-niemieckiej.

A jednak agitacja tego rodzaju, prowadzona zresztą od dłuższego czasu w szeregach, głównie przez żołnierzy Brygady Karpackiej, wydała wybitne rezultaty. 25 marca większość oddziałów korpusu wymaszerowała na wschód do Berszady. Tegoż dnia generał Glass, w charakterze zastępcy dowódcy korpusu, zwołał ogólne zebranie oficerów dla ostatecznego wyjaśnienia sytuacji; na posiedzeniu byli również obecni członkowie Rady Korpusu. Kapitan Bobicki na początku dyskusji zakomunikował,

że posiada tajny dokument od przedstawiciela Rady Regencyjnej, na zasadzie którego ma prawo kierować sprawami korpusu. Zażądano od niego tego pełnomocnictwa, przedstawił je jednak dopiero po dłuższem omawianiu. Dokument ten okazał się niedość przekonywający, brakło na nim podpisu najbardziej ważnej w opinji zebranych osoby pana Raczkiewicza, który występował przecie jako pełnomocnik Rady Regencyjnej. Wyszło również na jaw, że dokument ten, tak decydujący w oczach kapitana Bobickiego, był zredagowany i napisany w Olhopolu; stwierdził to jeden z podpisanych na dokumencie — dr. Sobański. Komentarze chyba zbyteczne...

Wobec powyższego postanowiono jednogłośnie uznać Radę Korpusu jako utworzoną bez żadnych legalnych podstaw, jako samozwańczą, nie spełniać przeto żadnych rozkazów. Następnie, po długiej dyskusji, wszyscy, a nawet członkowie Rady Korpusu, przyszli do wniosku, że tak nagłe oderwanie się części korpusu wbrew rozkazom dowództwa było zgubne i natychmiastowe naprawienie tego błędu jest niezbędne; kapitan Bobicki wobec wszystkich dał słowo, że naprawi zło wyrządzone i postara się o złączenie rozdwojonych.

Po uchwaleniu tego wniosku wyruszyły nazajutrz z rozkazu generała Glassa wszystkie oddziały, pozostałe w Olhopolu, w kierunku Berszady; nocleg wypadł w Jełańcu. Jednakże kapitan Bobicki nie dotrzymał danego słowa i prowadził w Jełańcu dalszą agitację za wymarszem oraz zmianą dowództwa. W konsekwencji otrzymał generał Glass 27. marca list od pana Bobickie-

go, w którym kapitan usuwał generała z zajmowanego stanowiska!

Po otrzymaniu tej „dymisji“ zwołał generał Glass w Jełańcu dowództwo oraz oficerów, przeczytał im swój rozkaz pożegnalny do korpusu i 4-ej dywizji, napisany z dużym umiarem i bez szkalowania kogokolwiek, oświadczając wkońcu, że w danych warunkach nie ma możliwości poskromić warchołów, usuwa się więc od dowództwa.

Oficerowie zaprotestowali jednak jednogłośnie, prosząc, by generał dla uniknięcia ostatecznego rozłamu doprowadził korpus do Humania, gdzie był oczekiwany generał Stankiewicz z ostateczną decyzją; dla porozumienia z resztą dowództwa oddziałów, kwaterujących w Berszadzie i Ujściu, wybrano delegację pod przewodnictwem pana Krzakowskiego. Generał Glass zgodził się na tę ostatnią próbę.

Przeciwnicy jednak nie pragnęli zgody, przygotowali już do objęcia wyższych posad w korpusie swoich ludzi. Otrzymał więc 28. marca generał Glass list od pana Krzakowskiego z zawiadomieniem, że Rada Korpusu jest „usposobiona niekorzystnie!“

Tego było już za dużo nawet dla zbyt cierpliwego generała Glassa; postanowił on opuścić korpus, a z nim razem wyruszyły w kierunku Winnicy sztab 4-ej dywizji wraz z jego oddziałami, lazaret, tabor dywizyjny i legja rycerska, razem 380 żołnierzy i 79 oficerów. Usunęli się z korpusu pułkownicy: Łuskino, Linda, Szeftelson, Jastrzębski, Maluszycki, hr. Sołłohub, Opęchowski, Genigst, Bether, Sobolewski, hr. Grabowski, Kopczyński

i Jezierski, innemi słowami, cała starszyzna oficerska z nielicznemi wyjątkami; najbardziej charakterystyczne szczegóły przytoczył generał Glass w dodatkowym raporcie [1]).

Dowódca 16. pułku strzelców, pułkownik Zieliński, prosił o zwolnienie ze stanowiska, gdyż uważał rozkaz Rady Korpusu za szalony, nie mógł więc jako dowódca brać na siebie odpowiedzialności, prowadząc pułk na zgubę; ponieważ jednak jest patrjotą, czuje się obowiązany iść z większością, ale w charakterze szeregowca, odpowiadającego tylko za siebie. Po otrzymaniu zwolnienia ze stanowiska, wyruszył jednak pan Zieliński z pułkiem jako jego dowódca, a z Berszady wysłał rozkaz już w charakterze szefa dywizji do dowódcy 15-go pułku (który nie przyłączył się do ruchu), polecając mu połączyć się bezzwłocznie z dywizją. Wystarczyła więc pułkownikowi Zielińskiemu jedna doba do zasadniczej zmiany poglądów i piorunującego awansu z szeregowca na dowódcę dywizji.

ROZDZIAŁ XV.

4-go kwietnia otrzymałem od pana Raczkiewicza umowę z rządem ukraińskim, podpisaną przez pana Żukowskiego; nie ujrzałem jednak na niej podpisów mego i generała Stankiewicza, znalazły się natomiast nazwiska generała Osińskiego i „pełnomocnika na Ukrainę“

[1]) Dok. Nr. 62, 63.

porucznika Piotrowskiego! W tekście znalazłem dopisaną atramentem uwagę, że w razie opuszczenia granic Ukrainy wojsko polskie opuszcza je z bronią, ale bez pocisków i naboi. Warunek ten uważałem za niemożliwy do przyjęcia, gdyż faktycznie rozbrajał nasze wojsko i to w najbliższem sąsiedztwie bolszewików, a jednak delegaci z niewiadomego pełnomocnictwa podpisali go, jak przypuszczam, z zamiarem powziętym zgóry niedotrzymania umowy.

Ponieważ porucznik Piotrowski (dawny członek Naczpolu) nie ukazał się od tej chwili, nie przysyłając nawet prośby o zwolnienie z mego biura, nie mogę stwierdzić, w jaki sposób odbyła się dziwna manipulacja usunięcia prawdziwego dokumentu i zamiany na inny; przypuszczam jednak, że stało się to dla pozornie dobrych warunków umowy, gdyby więc była ona ostatecznie ogłoszona, z moim i generała Stankiewicza podpisem, podniosłoby to naszą powagę w II-im korpusie, a to nie było pożądane ze względów specjalnej polityki, tak skutecznie uprawianej w wojsku przez pana Raczkiewicza [1]).

Tegoż dnia również przysłał mi pan Raczkiewicz pismo, w którem komunikował, że ponieważ Rada Naczelna Polskiej Siły Zbrojnej złożyła swe mandaty Radzie Regencyjnej, czuje się on zmuszony prosić mnie o niezwłoczne odesłanie wszystkich dokumentów, pieczęci i t. d. jakie się w mym sztabie z tytułu b. członka Rady Naczelnej znajdują; ...wykonanie tego żądania jest

---

[1]) Dok. Nr. 68. a, b, c.

niezbędne, ponieważ dokumenty te ma rozpatrzyć komisja rewizyjna.

Odpowiedziałem krótko, że nie uznaję żadnych uprawnień pana Raczkiewicza w tym zakresie; nie mam zamiaru stosować się do jego żądań.

Jednak sytuacja wikłała się coraz bardziej. Większość korpusu wyruszyła gdzieś w przestrzeń, mniejszość była zakwaterowana w szerokim promieniu dokoła Winnicy; wyczuwałem w stosunku do nas ogólny wrogi nastrój, postanowiłem przeto skupić oddziały na mniejszej przestrzeni dla stworzenia większej siły oporu.

Najbardziej niepokojąco przedstawiała się sytuacja 7-go pułku ułanów; od pułkownika Kuncmana wiedziałem, że stosunki z ludnością w rejonie Niemirowa są bardzo naprężone. Rozkazałem więc pułkowi wyruszyć narazie do Gniewania, gdzie można było bronić się uporczywie za murami cukrowni, przyłączając po drodze te karne oddziały, które poddają się legalnej komendzie; wszelkie bolszewickie elementy poleciłem wydalić z pułku, członków zaś rewolucyjnej rady II-go korpusu, o ileby się pokazali w rejonie kwaterunku, kazałem aresztować i przesłać pod strażą do Winnicy [2]).

Władze austrjackie zaczęły jednak opiekować się nami zbyt natarczywie. 6 kwietnia otrzymałem polecenie skoncentrowania wszystkich polskich oddziałów na północo-zachód od Winnicy, w rejonie pomiędzy Bohem,

---

[1]) Dok. Nr. 69, 70, 71.
[2]) Dok. Nr. 72.

Zazulińcami, Pikowem i Janowem [3]). Teren ten pod względem gospodarczym był niezniszczony, ludność spokojna, ale pod względem bezpieczeństwa było znacznie gorzej; wybrany rejon znajdował się na granicy pomiędzy okupacją austrjacką a niemiecką, mogli więc okupanci ogarnąć z łatwością oddziały w razie konfliktu, ale przy danym stosunku sił wyboru nie było. Obawiając się, by z drugiej strony niebezpieczna dla nas umowa nie wywołała zamętu, napisałem do ukraińskiego ministra wojny ostrzeżenie: umowa nie ma prawnego znaczenia, gdyż podpisały ją z polskiej strony osoby nie mające w stosunku do wojska żadnych uprawnień; naczelne dowództwo na Ukrainie aż do ostatniej decyzji Rady Regencyjnej jest w moich rękach, nikogo nie upoważniałem do występowania w mojem imieniu [1]).

Tymczasem władze ukraińskie nagliły, żądały natychmiastowej ewakuacji oddziałów polskich pociągami, targowały się o każdy dzień, wojskowy zarząd kolejowy, dotychczas zupełnie bezczynny, rozwinął gorączkową działalność. Wyglądało to na zamaskowaną niezręczną chęć pozbycia się wojska polskiego w najdogodniejszy dla Ukraińców sposób.

Przejrzawszy ich intencje, zaoponowałem stanowczo przeciwko wyjazdowi korpusów przed powrotem mych delegatów, wysłanych do Czernihowszczyzny. Bardzo z tego powodu narzekał na „polskie niezdecydowanie“ minister wojny, groził więc kilkakrotnie zerwaniem umo-

---

[3]) Dok. Nr. 73, 74, 75.
[1]) Dok. Nr. 76.

wy. Mało mnie to niepokoiło, gdyż miałem już dość pewne, chociaż prywatne wiadomości, że we wszystkich czterech przeznaczonych nam powiatach panuje głód, nie da się zatem uzyskać dla wojska ani aprowizacji, ani paszy, twierdzono również, że powiaty mozyrski i homelski nie należą do Ukrainy, a w Nowozybkowie panują bolszewicy.

7 kwietnia wieczorem przyjechał do mnie z II-go korpusu pan Raczkiewicz i zakomunikował, że korpus stoi bezwzględnie w opozycji do jakiejkolwiek ugody z Niemcami lub Austrjakami i większość stanu osobowego poddaje się władzy brygadjera Hallera, który zgadza się (!) jakoby uznać za dowódcę korpusu jedynie generała Osińskiego. Zdaniem pana Raczkiewicza, generał ten potrafi ujednostajnić akcję.

Wobec przebiegu wypadków, stan dotychczasowy nie mógł trwać dłużej; rozdźwięk pomiędzy mną a ówczesnem kierownictwem II-go korpusu był nie do pokonania, osoba zaś moja, wskutek oszczerczej propagandy, dostatecznie w szeregach zdyskredytowana; nie mogło być również mowy o tem, bym uznał jakiekolwiek samozwańcze organizacje korpusowe lub obieralność dowódców. Byłem pewny zupełnie oddziałów III-go korpusu, gdzie dowództwo miało w oczach żołnierzy dostateczną powagę i nie tolerowało żadnej propagandy, ale oddziały te były zbyt słabe, by się mogły oprzeć przymusowej demobilizacji. Zaręczył mi wreszcie pan Raczkiewicz słowem honoru, że posiada sprawdzone wiadomości o zamierzonem przez Austrjaków rozbrojeniu polskich oddziałów.

Położenie moje stało się nie do utrzymania. Nie zorganizowało się ostatecznie na emigracji żadne ciało polityczne, któreby reprezentowało rzeczywistą wolę kraju, a nakazy tych partyj, które na Rusi istniały, sprzeciwiały się zasadniczo moim przekonaniom narodowym lub fachowemu doświadczeniu. Szukałem pomocy u Rady Regencyjnej, ale jedyną odpowiedzią było wymowne milczenie. Byłem literalnie sam wśród powodzi intryg, niechęci i potwarzy. Postanowiłem więc ustąpić, zwinąć naczelne dowództwo, a oddziały III-go korpusu wcielić do II-go; złudzeń co do ich losu nie miałem, wiedziałem jednak, że wkrótce wybije godzina rozwiązania i tego korpusu.

Należało jednak zastanowić się, kto będzie dowodził korpusem. Pan Raczkiewicz popierał gorąco nominację generała Osińskiego; najbardziej odpowiadał pod względem fachowym temu stanowisku generał Glass, ale miał on przeciwko sobie zorganizowaną i wpływową opozycję; generał Leśniewski odmówił przyjęcia dowództwa, gdyż podzielał całkowicie me zapatrywania. Pozostawał więc jedynie generał Osiński; nie poznał on zupełnie miejscowych warunków, ulegał bez protestu rządom młodych i ambitnych dyktatorów z własnego natchnienia, posiadał jednak duży przymiot: nikt go tam nie znał, był więc jedynym kandydatem, którego walka partyjna nie oczerniła w oczach żołnierza. Zgodziłem się więc na wydanie rozkazu, mianującego generała Osińskiego dowódcą II-go korpusu, co widocznie ogromnie ucieszyło pana Raczkiewicza, bo dziękował mi gorąco i czekał z wyjazdem, póki jeden egzemplarz roz-

kazu nie został mu doręczony. W tym samym rozkazie nakazałem wcielenie w skład II-go korpusu wszystkich oddziałów, znajdujących się na Ukrainie, zawiadomiłem również, że wobec połączenia wszystkich formacyj w jednym korpusie dalsze istnienie naczelnego dowództwa jest zbędne, ustępuję zatem z zajmowanego stanowiska.

Dla zredagowania sprawozdania rządowi polskiemu ustanowiłem komisję pod mojem kierownictwem w składzie generała Leśniewskiego i czterech oficerów [1]).

O ustąpieniu mem zawiadomiłem natychmiast rząd ukraiński, podając w komunikacie dane wyjaśniające. Jednocześnie zwinąłem ekspozyturę sztabu w Kijowie, jako zbędną, i rozpocząłem likwidację utworzonych organizacyj nie bez oporu ze strony niektórych kierowników, którym z jakichkolwiek względów nie dogadzała utrata zajmowanych stanowisk [2]).

Nadjechali tymczasem oficerowie, delegowani do Czernihowszczyzny, i złożyli mi pisma od władz powiatowych, stwierdzające, że powiaty te są przepełnione niemieckimi okupantami oraz uciekinierami i nie posiadają zupełnie zapasów aprowizacji lub furażu; osobiste spostrzeżenia delegatów potwierdzały te dane. Dowody przewrotności władz ukraińskich były zatem aż nadto widoczne [3]).

Radzie Regencyjnej meldowałem czterokrotnemi obszernemi raportami całą sytuację, prosząc o stanowcze

---

[1]) Dok. Nr. 77.
[2]) Dok. Nr. 83, 84, 85.
[3]) Dok. Nr. 88, 89, 90, 91.

dyrektywy, ale odpowiedzi wciąż nie było; pośrednio dał mi ją generał Rozwadowski listem z d. 8 kwietnia ze Lwowa [4]).

„Nie wątpię — pisał — że wskazania Rady Regencyjnej dojdą niebawem do rąk Sz. Generała, a mam nadzieję, że przyczynią się one do tej konsolidacji stosunków, do jakiej wszyscy razem dla dobra Ojczyzny dążyć winniśmy bezwzględnie [1]).

„Chociaż zakres działania naczelnej władzy państwowej naszej jest jeszcze dziś wskutek stanu wojennego oraz trwającej okupacji nie należycie rozszerzony... to jednak myślę, przewodnią myślą wszystkich zarządzeń musi być dążność utrzymania przynajmniej kadrów naszych organizacyjnych, a przedewszystkiem oficerskich; dla przyszłej armji narodowej świeżego, wybranego rekruta, przebranego odpowiednio, będzie miało Królestwo poddostatkiem. Zato brak zupełny materjału wojennego i znaczna potrzeba oficerów i podoficerów nie da się łatwo zapełnić bez odpowiedniego współdziałania z Waszej strony.

Chwilowo mogą się warunki konwencji, zawartej przez generała Muśnickiego, wydawać niedostatecznemi a nawet przykremi, jednak jest to w danym wypadku najlepszem uchronieniem tego, co skupić się dało na Białej Rusi.

Podobny układ, zapewniający pewien obszar dla wyżycia, możność przeprowadzenia reorganizacji oraz

---

[4]) Dok. Nr. 78, 79, 80, 81.
[1]) Dok. Nr, 82.

ściągnięcie rozproszonych jeszcze sił, a przedewszystkiem możliwie licznego materjału wojennego, ułatwiłoby bezsprzecznie pracę Sz. Generała i dało na przyszłość rękojmię, że oddziały Wasze dla armji polskiej zachowane zostaną.

A że w kwestjach wojskowych Dost. R. R. przedewszystkiem z Niemcami pertraktować musi, zatem wskazanem jest skupić na ich obszarze okupacyjnym wszystkie siły i z nimi układ, obejmujący bez wyjątku (podkreślone w oryginale) — dyplomatycznie mówiąc, cały etat obecny i przyszły korpusów wschodnich na Ukrainie (podkreślone w oryginale), zawrzeć co rychlej. Narazie innego wyjścia nie znajdziemy i dlatego nie mogę inaczej doradzać. Wszystko inne da się zrobić później, byle te podstawy dobrze teraz wyzyskać".

Pismo to nie miało już dla mnie praktycznego znaczenia, nie mógłbym się był zresztą i poprzednio zastosować do wskazań w niem zawartych, gdyż sprzeciwiały się one memu credo politycznemu — neutralności z musu na froncie wschodnim i zorganizowanemu jak najszerzej wyjazdowi oficerów oraz żołnierzy do Francji dla czynnej walki z Niemcami.

ROZDZIAŁ XVI.

Z dniem 8 kwietnia znalazłem się poza nawiasem dalszych wypadków na Ukrainie. Z punktu widzenia spokoju osobistego doznałem uczucia ogromnej ulgi, skończyła się bowiem ciągła szarpanina nerwów, beznadziejna walka ze złą wolą ludzką, ale gdzieś głębiej na dnie

duszy dręczyły mnie złe przeczucia co do dalszych losów naszych na wschodnich rubieżach Polski. Przecie było wprost niemożliwością, by te wypadkowe osoby, które rosyjska rewolucja przeszczepiła nam tak umiejętnie, mogły wyprowadzić sprawy wojska polskiego z chaosu anarchji. Skąd jednak przyjdzie mocarz, który usunie tych wszystkich działaczy z nieprawdziwego zdarzenia w dobrze zasłużone zapomnienie — tego przewidzieć nie było można.

W każdym jednak wypadku byłem już pewny, że tego męża opatrznościowego nie wyłoni pierwszy rząd polski — Rada Regencyjna. Wiedzieliśmy oddawna, że ona istnieje, i czekaliśmy z utęsknieniem przez długie miesiące, by przemówiła, wskazała nam drogę jasną, prowadzącą do zmartwychwstania Ojczyzny. Przecie rząd ten wiedział, że gubimy się w sprzecznościach, że warchołowie lub zdrajcy pracują bezczelnie nad rozbiciem jedności narodowej, siły naszej... A jednak nie padło z tamtej strony okopów ani jedno mocne, godne Polski słowo, tylko przyciszone, lękliwe rady, byśmy się ściśle porozumieli z odwiecznymi wrogami Polski wbrew tradycji naszej, wbrew dążeniom narodu.

Wszystkie me nadzieje skupiły się zatem na froncie francuskim. Nie wątpiłem, że Koalicja zwycięży, ale kiedy? Czy trwająca już cztery lata wojna na wyczerpanie osłabia więcej naszych sojuszników, czy mocarstwa centralne? Upadek frontu rosyjskiego i otwarcie śpichrza ukraińskiego wzmocniły niesłychanie Niemców, ale zato stał się na froncie francuskim fakt olbrzymiej wagi — marszałek Foch został nareszcie wodzem na-

czelnym armij koalicyjnych, nadeszła więc pora jednolitych operacyj strategicznych. Pozatem niewiele się można było dowiedzieć z nader umiejętnie preparowanych urzędowych depesz niemieckich: byli zawsze zwycięzcami i koniec. Tu zaś na Ukrainie zabierali, co mogli, chłopom siłą i wywozili nagwałt do Niemiec; po miastach żołnierze niemieccy wykupywali głównie tłuszcze oraz cukier, wysyłali je masowo pocztą swym rodzinom; codziennie można było obserwować długie żołnierskie ogonki, objuczone pudełkami przed okienkami poczty.

Chociaż zawiadomiłem natychmiast rząd ukraiński o mem ustąpieniu, bombardowano mnie jeszcze przez kilka dni telegramami [1]), zapowiadającemi terminowe przysłanie pociągów, mających przewieźć oddziały polskie „do ziemi obiecanej", gdzie na nie czekała zagłada z ramienia potworów bolszewickich. Przerachowały się jednak podstępne „hady," fałszywa gra ich była już ujawniona, nikt nie dał się złapać na przynętę.

Przysłano mi rozkazy generała Osińskiego; wzywał on wszystkich wojskowych Polaków do służby czynnej, zabraniając jednocześnie nosić mundur żołnierza polskiego bez pełnienia służby w oddziałach. Na jakiej podstawie dowódca korpusu wydał rozkazy, wykraczające daleko poza ramy jego władzy, nie wiedziałem, przypuszczałem jednak, że szeregi korpusu powiększyły się naskutek tego zarządzenia nieznacznie; jeszcze mniejszy rezultat wywołał zakaz noszenia polskiego munduru.

---

[1]) Dok. Nr. 93 — a, b, c.

12 kwietnia wyjaśniła się nieco kwestja rozkazu; otrzymałem od generała Osińskiego pismo na blankiecie „Naczelne Dowództwo W. P. na Ukrainie", w którem generał skarży się na brak funduszów w dowództwie: „są one jedną z głównych podstaw naszej sprawy"; prosi więc, bym mu zakomunikował źródła, zasilające poprzednio moją kasę, do których on się zwróci z prośbą o dalszą zapomogę [2]).

Poco i z czyjego rozkazu zmartwychwstało naczelne dowództwo, nie wiem; z wcieleniem do II-go korpusu oddziałów III-go było ono absolutnie zbędne. Widocznie nastąpił nowy przewrót, wywołany nieznanemi strategicznemi czy politycznemi kombinacjami. Zapatrywałem się zupełnie sceptycznie na wszelkie podobnego rodzaju zamieszania, ale nie uważałem za potrzebne badać ich, posłałem więc z posiadanych jeszcze pieniędzy dziesięć tysięcy rubli wraz z notatką o źródłach finansowych naszych formacyj [1]).

Szefem sztabu generała Osińskiego został mianowany „podpułkownik" Bartha, ten sam, który przyjechał na Ukrainę z ramienia konspiracyjnej instytucji P. O. W. dla organizacji zbrojnego powstania polskiego przeciwko okupantom. Nominacja ta wyjaśniała mi dostatecznie dalszy kierunek działalności naszych władz wojskowych na Ukrainie.

13 kwietnia zawrzało w Winnicy; chłopstwo w powiecie poruszyło się groźnie przeciwko 7-mu pułkowi

---

[2]) Dok. Nr. 86.
[1]) Dok. Nr. 87.

ułanów; stojące w Niemirowie dwa szwadrony zostały znienacka otoczone przez liczne bandy dobrze uzbrojonych Ukraińców, zorganizowanych w oddziały; pułkownik Kuncman przygotowywał odsiecz. Wieści te zaniepokoiły mnie bardzo, nie zrozumiałem tylko, dlaczego pułk nie wykonał mego rozkazu z d. 4 kwietnia, który polecał kategorycznie, wobec pewnych oznak nadciągającej burzy, zebrać pułk w Gniewaniu; 6 kwietnia meldowali mi się nawet oficerowie, wysłani dla przygotowania nowych kwater, i zapowiadali przemarsz za dwa dni.

Dalsze wypadki rozegrały się w następujący sposób: 14 kwietnia pułkownik Kuncman wyruszył na czele $1\frac{1}{2}$ szwadronu w kierunku Niemirowa; jednak na połowie drogi zagrodziły mu przemarsz liczne chłopskie watahy i silnym ogniem karabinowym osadziły oddział na miejscu. Widząc, że stosunek sił jest dla ułanów niepomyślny, odesłał ich pułkownik do miasta, sam zaś z ordynansem pojechał do Dzwonichy dla zebrania większego oddziału. Jednakże na drodze pod wsią Kanawą chłopi urządzili zasadzkę i zastrzelili go.

Tymczasem z Tywrowa przyszedł do Dzwonichy oddział, złożony z dwóch kompanij piechoty, 2 dział i jednego szwadronu, pod komendą podpułkownika Barthy; celem marszu była odsiecz dla otoczonych w Niemirowie ułanów. Po krótkim postoju oddział ruszył dalej, doszedł prędko do Bohu pod Kanawą i obsadził przeprawę. Tu przywitali go komisarze ukraińscy i rozpoczęli pertraktacje, mające jednak na celu tylko zyskanie na czasie, aż póki nie nadejdą ku przeprawie chłopskie watahy;

przewlekłe rozmowy trwały cały dzień, który Ukraińcy zużyli na zgromadzenie u Kanawy dużych sił i usypanie okopów.

W Niemirowie dzień ten był nader ciężki; od świtu rozpoczęły się uporczywe ataki, które ułani odparli stanowczo, zadając przeciwnikowi duże straty. Ku wieczorowi wróg zaproponował rozejm, który zabezpieczał szwadronom swobodny odmarsz do Gniewania; zgodził się na ten warunek rotmistrz Romiszewski, wbrew zdaniu rotmistrza Niepokojczyckiego, który proponował przebicie się w konnym szyku. Gdy przedstawiciele obydwóch stron podpisali umowę, szwadrony opuściły stanowisko i zaczęły przygotowywać się do wymarszu. Na to tylko czekali hajdamacy i uderzyli nagle na rozproszonych ułanów. W kilka minut zostało wymordowanych kilkunastu oficerów oraz kilkudziesięciu żołnierzy; resztę chłopstwo wzięło do niewoli i odprowadziło do Bracławia, gdzie przejęły ułanów władze austrjackie, zwalniając ich natychmiast.

Po ukończeniu zdradzieckiej rozprawy ruszyły bandy ku oddziałowi podpułkownika Barthy, który wciąż stał bezczynnie u Kanawy. 15 kwietnia ze wschodem słońca ukazały się na skrzydłach i tyłach oddziału chłopskie chmary, i sytuacja odrazu stała się niebezpieczna. Oddział rozpoczął więc odwrót na Dzwonichę, naciskany ostro przez rozzuchwalonych hajdamaków. Dla zatrzymania wrażego rozpędu wypadło nieraz przechodzić do kontrataków, których chłopi nie wytrzymywali. W czasie odwrotu zginął rotmistrz Szeliski, zastępca dowódcy pułku. Szarpani wciąż od frontu i skrzydeł, doszli Po-

lacy do Dzwonichy, wstrzymali jednak odwrót dopiero w Tywrowie, by zabrać z sobą tabory. Pod wieczór oddział zajął cukrownię w Gniewaniu i przygotowywał się do uporczywej obrony.

Z nastaniem nocy rozpoczęły się ataki; dzicz, zachęcona dotychczasowem powodzeniem, parła ze wszystkich stron na dzielnych obrońców, cofała się dziesiątkowana silnym ogniem kulomiotów i po krótkiem wytchnieniu ponawiała swe natarcie. O świcie 17 kwietnia udało się napadającym dobiec pod osłoną lasku aż pod samą cukrownię; tu jednak przyjęła ich konna baterja kartaczami, a dzielni kanonierzy, oddawszy ostatni wystrzał, rzucili się do walki wręcz, osadzając na miejscu nawałę chłopską; z pomocą im pośpieszył szwadron ułanów w pieszym szyku i łącznie z artylerzystami pędził hajdamaków przez cały las, mordując ich bez litości.

Nastąpiła kilkogodzinna przerwa w walce, ale pierścień chłopski dokoła cukrowni zacisnął się i zgęstniał; położenie obrońców było bardzo ciężkie, gdyż zapasy amunicji były na wyczerpaniu, a pomocy zbrojnej oddział nie oczekiwał znikąd. Z konieczności więc przyjęto pośrednictwo władz austrjackich, przybyłych z kompanją wojska ze Żmerynki. Wymusiły one na Ukraińcach rozejm, na mocy którego oddział wymaszerował z taborami do Winnicy.

W tych walkach kilkodniowych wykazał oficer i żołnierz polski tradycyjną odwagę i dzielność; godny jednak pożałowania jest fakt, że zginęło tylu ludzi bez najmniejszej potrzeby. Gdyby rozkaz mój o koncentracji

w Gniewaniu był wykonany, nie byłoby tragedji niemirowskiej; cofnął jednak generał Osiński moje rozporządzenie, dlaczego — nie wiem. Niezrozumiała jest również nieobecność generała w czasie walki, trwającej przecie przez dni kilka; wiadomo było, że wyjechał on 10 kwietnia do Kijowa i nie wrócił, chociaż komunikacja kolejowa i telegraficzna istniały bez przerwy.

Dużą część winy w tragedji niemirowskiej ponosi podpułkownik Bartha, niefortunny dowódca oddziału. Jego przewlekłe paktowanie z komisarzami ukraińskimi na przeprawie uniemożliwiło odsiecz odciętym w Niemirowie szwadronom, dowiodło, że oficer ten nie zrozumiał zupełnie sytuacji, wymagającej nadzwyczajnej energji i zdecydowanego czynu. Gdyby na miejscu tego rozpolitykowanego szefa sztabu był pułkownik Rummel, doświadczony i mężny żołnierz, sprawa bezwątpienia wzięłaby inny obrót.

Nie odebrało to jednak panu Bartha pewności siebie, czuł się na miejscu prawdziwym wodzem; nie czekając na powrót do Winnicy generała Osińskiego, właściwego dowódcy, wydał on za swoim podpisem rozkaz z podziękowaniem za mężną obronę i z następującym charakterystycznym ustępem:

„Biliśmy się, bo podburzona przez wrogie nam żywioły ludność tutejsza napadła na nas, chciała nam zabrać broń!“ ...„Myśmy sobie broni zabrać nie pozwolili, my jesteśmy żołnierze, a z chłopami porozumieliśmy się. Zrozumieliśmy, i oni zrozumieli, że źle jest, gdy się wzajemnie niszczyć będziemy. Ja jako wasz dowódca i t. d...“

W umyśle pana Barthy był więc niecny napad na uła-

nów jakiemś nieporozumieniem, wywołanem przez zewnętrznych wrogów, nadal miała zakwitnąć na mogiłach zabitych polskich żołnierzy idylla spokojnego współżycia rycerskiej młodzieży polskiej z dziczą ukraińską. Wymuszone przez Austrjaków porozumienie przedstawia pan Bartha, jako akt dobrowolnego porozumienia, wmawia hajdamakom zrozumienie ohydy dokonanych mordów, przemawia jako dowódca, choć był nim chwilowo i tylko w zastępstwie...

Ale nie poprzestał pan Bartha na tym rozkazie; przecie przyjechał on na Ukrainę, by wywołać powstanie przeciwko okupantom. Krwawe wypadki ostatnich dni nie otrzeźwiły go zupełnie. Nie licząc się więc z nienawistnym dla Polaków nastrojem Ukraińców i z przeważającą siłą okupantów, polecił Bartha wydrukować w Winnicy odezwę, nawołującą ludność ukraińską do walki ze wspólnymi wrogami — Niemcami.

Cierpliwość dowódców oddziałów III-go korpusu, oficerów fachowych, wyczerpała się nareszcie, zebrali się więc na krótką naradę i zaproponowali panu Bartha natychmiastowe ustąpienie z dowództwa oraz wyjazd.

ROZDZIAŁ XVII.

Bawiłem przez kilka godzin w Kijowie; sprawdzałem tam wiadomości o dalszych dziejach II-go korpusu.

Opowiadano mi o wspaniałej rewji, dokonanej w Humaniu; miała ona podnieść nastrój zbrojnego czynu wśród dość opornego społeczeństwa polskiego na Po-

dolu a jednocześnie zaimponować Niemcom. Dla jeszcze lepszego wyprowadzenia ich w pole co do siły wojska polskiego puszczono wieść, że główna masa korpusu idzie wraz z taborami bocznemi drogami. Taki truck w istniejących warunkach wyglądał niedość poważnie. Niemcy celowali w prowadzeniu wywiadu, nie było zatem żadnej wątpliwości, że niemieccy wywiadowcy szli razem z korpusem i dobrze liczyli siły polskie. Rewja humańska dała im możność sprawdzić dokładnie rachunek. Przypuszczam, że był to jedyny realny rezultat parady, którego nie zrównoważyło kilka płomiennych mów i paru nowych ochotników w szeregach. Fajerwerki!

Dalsza marszruta korpusu prowadziła na Kaniów nad Dnieprem. Dlaczego wybrano ten najbardziej niebezpieczny kierunek, zrozumieć trudno; prowadził on wprost do rejonu okupacji niemieckiej, której centrum było w Kijowie. Być może, władze korpusu przypuszczały wciąż możliwość przemarszu do Czernihowszczyzny w sąsiedztwie I-go korpusu, ale przecie projekt ten był już od pewnego czasu nierealny, wiedziano, że w Czernihowszczyźnie niema co jeść, ale zato są bolszewicy, wcale nie życzliwie usposobieni do wojska polskiego, które biło ich niejednokrotnie.

Poza tem w Kaniowie nie było mostu przez Dniepr, a przewiezienie kilku tysięcy ludzi i koni oraz dział z taborami wymagało ogromnej ilości środków przewozowych, których na miejscu nie było; niewiadomo nawet, czy je gdziekolwiek można było dostać. Jeszcze cięższą sprawą było dokonanie przeprawy, gdyby środki przewozowe były zebrane; musiałaby ona trwać kilka dni,

nie było więc do pomyślenia, by Niemcy, którzy mieli rzekę pod obserwacją, chcieli się przyglądać biernie tej operacji; przeciwnie, skorzystaliby na pewno z doskonałej okazji rozbrojenia korpusu w chwili dla niego najbardziej krytycznej; wystarczyło postawić parę bateryj na przeciwległym brzegu rzeki, aby uniemożliwić przeprawę. Marsz na Kaniów był więc ze wszystkich względów, jako operacja strategiczna, manewrem najzupełniej chybionym, politycznie nie był chyba potrzebny.

W Kaniowie korpus zatrzymał się rzekomo naskutek kategorycznego zakazu dalszego marszu, wydanego przez generała Osińskiego, aż do wyjaśnienia sytuacji politycznej i dalszych zarządzeń Rady Regencyjnej.

Ujawniła się więc nagle w dowództwie korpusu karność w stosunku do wyższej władzy i to w kwestji najbardziej drażliwej, która spowodowała przed tygodniem rewolucyjny zamach na poprzednie legalne dowództwo. Przecie uroczysty komunikat Nr. 2 Rady korpusowej odrzucał wszelkie porozumienie z Niemcami, nakazywał maszerować aż do usunięcia się korpusu z terenu, będącego pod wpływem mocarstw centralnych.

Taka nadzwyczajna karność wszystkich czynników objawiła się jedynie dlatego, że dalszy marsz był wprost niemożliwy; rozkaz usankcjonował tylko załamanie się całej operacji.

W kilka dni po wstrzymaniu marszu otrzymał generał Mazowiecki (Haller) list od Rady Regencyjnej. Nie zawierał on żadnych wyraźnych wytycznych, znalazła się jednak w nim zapowiedź przysłania do Kijowa przedstawiciela rządu polskiego, w celu zorjentowania

się co do stosunków polskich formacyj względem mocarstw centralnych i rządu ukraińskiego. W liście tym widziałem dowód, że pan Raczkiewicz nie był tym pełnomocnikiem Rady Regencyjnej, za jakiego się podawał.

Ja również doczekałem się nareszcie pisma od Rady Regencyjnej [1]); treść jego odpowiadała ściśle działalności tego dziwnego rządu. Przeczytałem więc przedewszystkiem, że Rada Regencyjna „wobec powikłania stosunków wojskowych i politycznych na Ukrainie“ nie mogła przyjąć korpusu II-go i III-go pod swoją władzę, innemi słowy, że powtórzyła się historja z Piłatem; brakło jednak w piśmie odpowiedzi na wszystkie moje pytania wagi pierwszorzędnej, znalazły się zato nader pouczające wskazania dlo II-go korpusu: „Jest naszem życzeniem, aby siły zbrojne pozostawały w miejscu postoju i nie przedsiębrały żadnych kroków, któreby przesądzały możebne dalsze postanowienia, ugruntowane już na realnych podstawach ich trwania...“ Rady bardzo pouczające, ale mgliste... Z końcowego ustępu bije jednak jasność zupełna, odsłaniająca ideologję Najdostojniejszych Regentów: „Możność ściślejszego związku z formacjami polskiemi może nastąpić tylko w tym razie, gdyby siły wojskowe polskie na Ukrainie zawarły tam stosunek analogiczny do tego, w którym pozostaje I-szy korpus na Białorusi.“

Korpus jednak stał wciąż w miejscu, zagospodarował się, organizował wewnętrznie, nic jednak nie wskazywało, by się przygotowano do jakiejkolwiek dalszej akcji

---

[1]) Dok. Nr. 92.

w myśl wytycznych komunikatu Rady Korpusu Nr. 2. Stosunek do ludności nie był życzliwy, przyczyną zawsze ta sama — żywiołowa nienawiść chłopów do Polaków, przedstawicieli wyższej kultury, właścicieli dużej ilości ziemi na Ukrainie, przedmiotu pożądania dla chciwej masy ludowej.

Przypuszczano, i zresztą zupełnie słusznie, że, o ile wojsko polskie będzie silne, nie pozwoli ono na grabież mienia polskiego. Bezpośrednią zaś przyczyną niechęci były bezpłatne rekwizycje zapasów żywności na potrzeby korpusu, wywołane zupełnym brakiem pieniędzy; tę okoliczność wyzyskiwali umiejętnie Niemcy, podszczuwając ludność na wojsko polskie.

Położenie pogarszało się z każdym dniem, Niemcy zajęli swemi oddziałami wszystkie drogi, prowadzące do rejonu korpusowego, utrudniali dowóz żywności, rozbrajali polskie patrole i drobne oddziałki, występowali coraz zaczepniej. Jasne było, że prowadzone przez generała Osińskiego układy z Niemcami nie dadzą pomyślnego rezultatu, rozbrojenie wisiało w powietrzu. Zwracał się korpus o pomoc pieniężną do generała Dowbor-Muśnickiego, lecz doznał odmowy, gdyż dowódca I-go korpusu uważał zamierzenia jakiegokolwiek czynu przeciwko Niemcom na Ukrainie za bezcelowe, a położenie korpusu za beznadziejne.

Nadeszły wkrótce jeszcze dwa listy od Rady Regencyjnej. W jednym z nich generał Osiński został zawiadomiony, że nadal pertraktacje z okupantami będzie prowadził bezpośrednio rząd polski, w drugim, adresowanym do Hallera, a podpisanym przez pana Steczkow-

skiego, prezesa rady ministrów, były jasno sformułowane żądania Rady Regencyjnej: porozumienie z okupantami na podstawie umowy I-go korpusu, bezwzględne unikanie zbrojnego konfliktu z okupantami, zaniechanie zamiaru stworzenia eksterytorjalnej i niezależnej armji polskiej, apel do pp. Hallera i Żymierskiego, by się usunęli z szeregów, gdyż ich obecność w szeregach komplikowała sprawę.

Żądania te przekreślały całkowicie wszystkie dotychczasowe dążenia nowych kierowników korpusu, potwierdziły zresztą znane już dobrze od pewnego czasu uległe stanowisko Rady Regencyjnej wobec Niemców, obawę jej przed jakimkolwiek nieprzyjaznym czynem przeciwko okupantom. Sprawa na Ukrainie była ostatecznie przegrana, nasuwało się więc jedyne wyjście — wyjazd indywidualny, ale możliwie zorganizowany, na front zachodni wszystkich ludzi, zdrowych fizycznie, a silnych moralnie. Beznadziejnej sytuacji wojska polskiego na Ukrainie zdawał się jednak nie rozumieć kapitan Bobicki; otworzył on w Kijowie biuro werbunkowe dla ochotników. Czy poto, by więcej ludzi znalazło się w kaniowskim samotrzasku, nie wiem...

Nie powzięły jednak władze korpusu i w danej krytycznej sytuacji żadnej decyzji; narazie, gdy Niemcy próbowali nadesłaniem ultimatum, żądającem rozbrojenia, nastraszyć korpus, zostało zarządzone pogotowie bojowe, gdy jednak Niemcy żądania swe cofnęli, zapanowała znowu nawpół głodna bezczynność, gdyż o żywność było coraz trudniej.

Żadnych przygotowań natury wojskowej nie robiono, czy to w kierunku natarcia na Niemców, czy też przygotowania do obrony. Zato Niemcy postanowili przyśpieszyć rozwiązanie. 11 marca o godzinie 4-ej silne oddziały niemieckie zaatakowały znienacka pogrążoną we śnie i źle ubezpieczoną placówkami 5-tą dywizję (dawniej Brygada Karpacka). Powodzenie ataku było narazie zupełne, żołnierze polscy nie zdążyli przeważnie chwycić za broń i dostali się do niewoli, a z nimi i sztab dywizji; walkę podjęły we wsi grupy nawpół ubranych żołnierzy, a dzielny kontratak legji oficerskiej uwolnił sztab; resztki dywizji wycofały się z trudnością ku ośrodkom rejonu.

W godzinę później nastąpił silny atak na rejon 4-tej dywizji, która zdążyła jednak zająć bojowe stanowisko. Zawrzała zacięta walka, która zakończyła się odwrotem dywizji za rzekę Borsawę, gdzie uformowano nowy szyk; tu korpus (około 1500 ludzi) utworzył czworobok o 7 klm. średnicy, z artylerją stłoczoną w centrum.

O godzinie 15-tej rozpoczęli Niemcy powolne, metodyczne natarcie, ale dowódca korpusu uznał dalszą walkę za bezcelową, gdyż zajęte stanowisko było fatalne i nie posiadało linji odwrotu. Korpus złożył broń...

Chybiona zupełnie pod względem strategicznym operacja kaniowska musiała eo ipso doprowadzić do niefortunnego rozwiązania taktycznego, tem bardziej, że dowództwo korpusu zaniedbało dokonać szeregu zarządzeń taktycznych, któreby mogły wzmocnić obronę; wybrany teren nie był umocniony, wywiad słaby, ubezpieczenie

rejonu nie wystarczające, artylerja i aeroplany nie były wyzyskane [1]).

Również zbędna była cała ta operacja jako akt polityczny. Od początku wojny stała cała Polska, z wyjątkiem cząstki Małopolski, po stronie Koalicji, w szeregach sprzymierzonej z nią armji rosyjskiej bili się wszyscy Polacy, którzy utworzyli korpusy wschodnie, nie było więc żadnej potrzeby ponownego stwierdzania wyraźnie zaznaczonego stanowisko politycznego za pomocą aktów, mających wprost samobójczy charakter. W zupełnie innem położeniu była Brygada Karpacka; ona zmieniła orjentację, pozostać w kraju nie mogła, dla niej zatem pozostała droga przez Murman na front zachodni, przez filtrowanie się tam w niedużych grupach.

Przy opracowaniu warunków kapitulacji pamiętano o pochowaniu żywych, ale zapomniano o rannych; zaopiekowało się nimi grono ofiarnych obywateli Winnicy przy pomocy mojej komisji; zwieziono więc do miasta kilkudziesięciu rannych i zaimprowizowano dla nich szpital tymczasowy, władze austrjackie zaś udawały, że nic o tem nie wiedzą.

Wzięty do niewoli korpus mieli Niemcy internować w obozach koncentracyjnych, zależało im jednak widocznie na tem mało, gdyż w czasie przewozu uciekła większość oficerów oraz żołnierzy. Część z nich wstąpiła do tworzących się nowych, drobnych oddziałów polskich, część szukała drogi na zachód przez Murman;

---

[1]) Bliższe szczegóły taktyczne znajdzie czytelnik w dziele podpułkownika Bagińskiego: „Korpusy Wschodnie".

wielu zginęło po drodze, gdyż zaczęto organizować tę akcję zbyt późno, mordowali więc bolszewicy okrutnie przekradających się.

Po rozbiciu II-go korpusu nadeszła kolej na kombinowaną brygadę III-go korpusu; otoczyło ją nagle w nocy wojsko węgierskie i zażądało ultymatywnie zgody na demobilizację. Z konieczności zarządzono ją.

W końcu maja nadesłał mi z Odesy generał Stankiewicz list, w którym starał się wytłomaczyć niefortunny przebieg wypadków w II-im korpusie wpływem rozkładowym kapitana Bobickiego i agitacji Karpackiej Brygady, pominął jednak główny powód — własną bezczynność, która rozzuchwaliła żywioły lewicowe i pozwoliła im rozpanoszyć się [1]).

Dalsze wypadki przesunęły się za Dniepr, do Moskwy, na Kaukaz i Syberję. Oddziały polskie formowały się w różnych punktach, trwały jednak krótko, gdyż bolszewicy zwalczali je zawzięcie, a ogólnego kierownictwa nie było. Istniał niby oficjalny kierownik, pułkownik Żeligowski, przy którym znalazł się mentor — kapitan Bobicki, ale nie mógł on dokonać nic poważniejszego wobec zupełnej anarchji i olbrzymich przestrzeni, dzielących oddziały. Piękne karty epizodów natury wojennej miała polska dywizja syberyjska, ale, opuszczona przez sprzymierzone z nią oddziały rosyjskie i czeskie, kapitulowała w najcięższych warunkach na brzegach Jenisieju.

[1]) Dok. Nr. 94.

ZAKOŃCZENIE.

Ostatnia część mego pamiętnika, oparta na autentycznych dokumentach i osobistem przeżyciu prawie wszystkich momentów beznadziejnej walki o stworzenie polskiej siły zbrojnej na Ukrainie i w Rumunji, wymaga pewnych komentarzy, tłumaczących przyczyny kolejnego załamywania się najbardziej ofiarnych wysiłków.

Nie wolno wątpić, że wszystkim bojownikom o armję polską przyświecała jedna wspólna idea — odzyskanie Zjednoczonej i Niepodległej Polski, ale społeczeństwo nasze nie zdobyło się na postawienie żołnierzowi polskiemu jasnych a mocnych wytycznych, na zgodną, skoordynowaną akcję, kierowaną przez jeden naczelny organ polityczny; rozbieżność opinji co do ustalenia podstaw czynu narodowego przeniosła się do szeregów, wywołała walkę wewnętrzną, rozbiła korpus oficerski na dwa zwalczające się wzajemnie a nieprzejednane obozy.

Z jednej strony znaleźli się oficerowie zawodowi, przeważnie ludzie starsi wiekiem, drugi obóz składał się z masy wojskowych przygodnych prawie wyłącznie młodych. Zmaganie się tych dwóch odłamów możnaby właściwie nazwać krótko walką pomiędzy starymi a młodymi.

Pierwsi, wychowani w zasadach praworządności i karności wojskowej, stali na gruncie zasad narodowych, ale byli bezwzględnie przeciwni wnoszeniu polityki do szeregów, niechętni lewicowym hasłom, głoszonym przez młodzież, której dyletantyzm raził ich fachowy autorytet. Romantyczne hasło wymarszu za Dniepr było właściwie tylko gestem, tak czy owak musiało doprowadzić do zagłady korpusu, nie mogli go więc fachowcy przyjąć. Przyzwyczajeni do szanowania zasady hierarchji, nie chcieli również poddawać się kierownictwu młodych ambitnych jednostek, właściwie nie wojskowych, których fala rewolucji rosyjskiej wyniosła na szczyty; nie mogli uznać powagi wyłonionych w sposób demagogiczny quasi-wojskowych instytucyj, uzurpujących sobie zwierzchnią władzę nad wojskiem, a przypominających łudząco znienawidzone „sowiety".

Inaczej myślała i czuła młodzież. Krótki pobyt w wojsku nie zdążył utrwalić w jej pojęciach zasad podstawowych, obowiązujących zdrową organizację wojskową, ale zato rewolucja rosyjska, która sponiewierała autorytet legalnej władzy i zniszczyła karność wojskową, oddziałała silnie na umysły młodzieży, uczyniła ją podatną propagandzie haseł demagogicznych, rozkładających jedność i karność wojska. Zresztą i w obozie młodych znalazł się odłam, który nie uległ agitacji wiecowej, usuwając się w odpowiedniej chwili ze składu II-go korpusu. Nie dopuściły również władze III-go korpusu do żadnej propagandy politycznej wśród żołnierzy oddziałów podkomendnych; pozostały one aż do rozwiązania w ramach wojskowej karności.

Walka zatem pomiędzy obydwoma obozami toczyła się tylko na terenie II-go korpusu i w naczelnem kierownictwie.

Każda z partyj posiadała swoich leaderów, którzy nadawali starciom kierunek, natężenie i metodę. Na czele starych stali generałowie Glass i Stankiewicz, strona przeciwna kierowana była przez kapitana Bobickiego.

Generał Glass dowodził tylko dywizją, ale wobec niedołęstwa dowódcy wysunął się siłą wypadków na pierwsze miejsce; był to stary, karny żołnierz, którego nie zdemoralizowała bolszewicka anarchja; czuł i myślał po polsku, długoletnia służba w wojsku rosyjskiem nie osłabiła w nim natężenia uczuć narodowych; rewolucji rosyjskiej, wraz z jej kierenszczyzną, nienawidził z całej duszy, stąd wypływał jego nieprzejednany stosunek do Rady Korpusowej, nie posiadającej żadnej legalnej podstawy, a kierowanej przez subalterna.

Generał Stankiewicz, jako żołnierz, posiadał te same zalety, co i generał Glass, nie nadawał się jednak zupełnie jako kierownik korpusu pod względem narodowym, gdyż służba w armji rosyjskiej zruszczyła go zupełnie; nie znał on i nie rozumiał polskiego społeczeństwa, ni naszego żołnierza, a w ciągu rewolucji rosyjskiej utracił wiarę w autorytet swej władzy i odwagę decyzji. Był więc Stankiewicz tylko firmą, tolerował a nawet sankcjonował wręcz rewolucyjne zarządzenia kapitana Bobickiego, zdeprecjonował powagę swego stanowiska; nie potrafił również generał Stankiewicz ująć w odpowiednie ramy Karpackiej Brygady, która dzięki jego bierności odegrała w przewrocie rewolucyjnym korpusu tak wybitną

rolę; raz jeden tylko zdobył się generał na akt woli — nie zgodził się na wymarsz za Dniepr, gdyż przewidywał doskonale, co z tego może wyniknąć.

Leaderem młodych był kapitan Bobicki, oficer fachowy, z dobrem wykształceniem, o poglądach lewicowych, nader ambitny, zbałamucony swem poprzedniem stanowiskiem rewolucyjnego komisarza narodowościowego przy sztabie frontu rumuńskiego. Znałem go poprzednio tylko jako autora listu politycznego, cytowanego w pamiętniku moim w toku opowiadania, poznałem go lepiej, gdy znalazł się przy II-im korpusie i zajął stanowisko prezesa słynnej Rady Korpusowej. Zaznaczył się wtedy wybitnie negacją podstaw karności wojskowej, a jako polityk nie przebierał w środkach, byle dojść do postanowionego celu.

Ciekawą charakterystykę tego wybitnego (w pewnym kierunku) działacza dał członek Zjednoczenia Międzypartyjnego, Z. Oplustill, w dziele swem „Polskie formacje wschodnie"; pracował on z kapitanem Bobickim w komisji wojskowej w okresie formacyj polskich na południu Rosji.

Pan Oplustill przytacza, że kapitan Bobicki, później major, a bardzo prędko pułkownik, kazał swym podwładnym śledzić pilnie ruchy i poczynania członków Rady Międzypartyjnej, gdzie tylko po temu zdarzy się okazja. W tej kwestji zainterpelował go nareszcie członek komisji, pan Jerzy Zdziechowski, i otrzymał odpowiedź potwierdzającą. Kapitan Bobicki uważał za swój obowiązek śledzić wszystkich działaczy politycznych, chcąc zapobiec wszelkiej robocie partyjnej w wojsku!

Po dość nieprzychylnym dla cenzora prawomyślności politycznej dyskursie, oświadczył pan Zdziechowski, że w tym wypadku zapatrywania pana Bobickiego na etykę różnią się biegunowo od pojęć, przez mniej ostrożnych ludzi przyjętych. Charakterystyczne jest jednak, że niemym świadkiem tej sceny był generał Żeligowski [1]); nie wyszedł on jednak ani wtedy, ani potem ze stanu obojętności wobec zarządzeń pana Bobickiego.

Pan Oplustill uważał na mocy bezpośredniej obserwacji, że aczkolwiek pan Bobicki brał żywy udział w formacjach polskich, był jednak tej roboty zasadniczym szkodnikiem. Nazywano go poufnie kandydatem na polskiego gławkowiercha; w otoczeniu jego krzewiła się stale konspiracyjna robota peowiacka. Organizacja ta gotowa była uznać pracę nad formacjami polskiemi o tyle, o ile dane oddziały podpadały wyłącznie pod jej wpływ; knowania te były traktowane przez fachowców polskich i obcych (franc. generała Lavergne'a), jako czynnik ujemnie wpływający na karność oficerów i żołnierzy.

Tyle pan Oplustill...

Gdy w marcu r. 1918 przyjechali do Sorok pp. Bartha i Hołówko, przywożąc moją kategoryczną odmowę co do współpracy konspiracyjnej, nastąpiło z panem Bobickim zupełne porozumienie, do którego przystąpiło wkrótce i Zjednoczenie Międzypartyjne; dziwna ta sym-

---

[1]) Pułkownik Żeligowski został awansowany, o ile mi wiadomo, na generała przez gen. Osińskiego, posiadającego prawdopodobnie jakieś specjalne pełnomocnictwa.

bioza trwała zresztą niedługo, jak to wskazuje przytoczony powyżej epizod.

Posiadając niepospolitą pewność siebie, potrafił kapitan Bobicki wymusić na słabym generale Stankiewiczu swą nominację na komisarza do spraw politycznych przy korpusie, co mu dało legalny pozornie punkt oparcia w wojsku, mówię „pozornie“ dlatego, że taka nominacja przekraczała prawa dowódcy korpusu. Nadejście do Sorok Karpackiej Brygady wzmocniło znacznie stanowisko pana komisarza, gdyż ideologja przybyłego oddziału, wymagająca czynu zbrojnego, odpowiadała bardziej poglądom kapitana Bobickiego, niż nakazanej z góry rezerwie dowództwa. Po utworzeniu samozwańczej rady korpusowej, wzmocnionej delegatami od brygady, przeciwstawił się ostro jej rządom generał Glass, na podstawie wskazań, przeze mnie korpusowi udzielonych, należało więc pozbawić generała głównego punktu oparcia, zajęto się zatem moją osobą.

Uczynił to kapitan Bobicki bardzo umiejętnie. Moje poglądy narodowe i praca nad żołnierzem zjednały mi w korpusie pewną popularność, starano się więc podważyć ją stale powtarzanem oszczerstwem, że tworzyłem wojsko polskie głównie dla ochrony posiadłości obszarników; kwestjonowano również legalność mej władzy pod pozorem, że Naczelna Rada rozwiązała się, a Rada Regencyjna nie mianowała dowódcy wojska polskiego na Ukrainie. Elementarnej zasady, nakazującej poprzedniemu dowódcy pozostawać na stanowisku aż do przybycia nowej władzy, kapitan Bobicki zdawał się nie ro-

zumieć i stale demoralizował słabego generała Stankiewicza.

Przyjazd do Kijowa pan Raczkiewicza, konwojowanego przez niemieckiego oficera, mógł poważnie zaszkodzić planom kapitana Bobickiego; przecie Rada Regencyjna żądała kategorycznie ścisłego porozumienia z okupantami i w tym celu właśnie był delegowany pan Raczkiewicz. Ale pan Bobicki miał szczęście, umowa z Niemcami nie doszła do skutku z powodu mego opornego stanowiska wobec żądania wydania Karpackiej Brygady, pertraktacje z Austrjakami utknęły na martwym punkcie, proszona o dalsze wskazania Rada Regencyjna milczała jak zaklęta, a jej delegat sprzymierzył się pocichu ze zwolennikami „czynnej walki z Niemcami".

Koalicja, wzmocniona przez pana Raczkiewicza, postanowiła działać stanowczo. Rada Korpusowa ogłosiła więc odezwę do korpusu, w której zawiadamiała, że zawarłem umowę z Niemcami, jak i I-szy korpus, a obowiązuje ona do wspólnej z nimi akcji; Rada Korpusowa na taką umowę zgodzić się nie może i nakazuje wymarsz za Dniepr. Rzekome zawarcie przeze mnie umowy było naturalnie ordynarnem oszczerstwem.

Również bez ceremonji załatwiono się z opinją Rady Regencyjnej, która żądała przecie ścisłego porozumienia z Niemcami. Powiadomiono w tej samej odezwie, że Rada Regencyjna „ma istotny interes istnienia i utrzymania niezależnego od centralnych mocarstw niepodległego wojska polskiego". Sprawa zatem i z tej strony była załatwiona — przecie nie ulega wątpliwości, że polskie wojsko niepodległe było marzeniem każdego Polaka,

istniała tylko różnica w ocenie warunków utworzenia tego wojska, ale nad tem Rada Korpusowa wolała się nie zastanawiać. Kropkę nad i postawił pan Bobicki swym rozkazem, usuwającym generała Glassa od dowództwa. Postępek ten wykazał ostatecznie czerwoną ideologję tego leadera „młodych".

W obozie tym znalazł się brygadjer Haller, jako firmowy przedstawiciel. Niegdyś był on oficerem zawodowym austrjackim, potem pracował przez szereg lat poza wojskiem, dopiero wojna ujrzała go znowu w szeregach jako brygadjera 2-ej brygady. Usłyszałem o nim po raz pierwszy, gdy brygada przeszła z za kordonu na naszą stronę, ale na tem kończą się me wiadomości. Działalność brygadjera w ramach korpusu nie ujawniła się zupełnie; nie wspominał o nim ani razu generał Stankiewicz lub wysyłani przeze mnie do korpusu odpowiedzialni oficerowie. Pozostawał on wciąż poza kulisami wypadków.

Za tymi przywódcami stała masa, posiadająca, jak to zwykle bywa, wszystkie cechy tłumu: łatwowierność, pobudliwość, bezkrytycyzm. A przecie środki oddziaływania na tłum są zawsze proste, argumenty rozumowe zbędne, wystarcza stanowczość twierdzenia bez zastrzeżeń, jaskrawość, przesada. Masa idzie najchętniej za tym, kto wywołuje w duszach jej obrazy ciepłe, barwne, wymagające napięcia nerwów aż do silnego wybuchu. Tworzy się nawet sztuczną legendę, mieniącą się pewnemi blaski do czasu, póki rzeczywistość swym zimnym podmuchem nie rozwieje jej.

Masa oficerów i żołnierzy korpusu, na którą oddziaływali przywódcy, nie była jednolita. Składał się na nią żołnierz z armji rosyjskiej i t. zw. hallerczyk. Pierwszy nie stanowił zwartej, zgranej z sobą organizacji, pochodził z różnych okolic Polski, służył w rozmaitych pułkach, ulegał przez dłuższy czas rozkładowym hasłom rosyjskiej rewolucji, mało znał swych oficerów, nie mógł mieć zatem do nich ani dużego zaufania, ani przywiązania; praca w związkach wojskowych Polaków oczyściła w pewnej mierze dusze żołnierskie z chwastu rosyjskiego, nie mogła jednak w ciągu kilku miesięcy wytworzyć jednolitego, zwartego organizmu. Inaczej wyglądała Karpacka Brygada; utworzono ją przeważnie z ludzi jednej dzielnicy, ochotników, posiadających znacznie wyższe od ogółu żołnierzy uświadomienie narodowe; zespoliła się więc brygada duchowo w ciągu kilkoletniej służby w polu wśród niewygód i niebezpieczeństwa, nabrała charakteru jednolitego ideowego, wrogiego nawet z konieczności wszelkim próbom porozumienia z okupantami lub nawet neutralizacji, która ich nie mogła objąć.

Obydwie grupy składały się z ludzi młodych, ożywionych pragnieniem służenia ojczyźnie, orjentujących się słabo w sytuacji politycznej i strategicznej, najbardziej zaś wpływowa, zwarta masa Karpackiej Brygady: nie znała zupełnie ani Rosji, ani piekła bolszewickiego, które czekało za Dnieprem.

Jak oddziaływali na masę żołnierską „starzy“ i „młodzi“? Pierwsi, dalecy od polityki i walk partyjnych, nie starali się i nie mogli nawet wpłynąć na kierunek poli-

tyczny myśli żołnierskiej, ograniczając się do pracy oświatowej; wszelką propagandę wśród żołnierzy uważali za niedopuszczalną. Drudzy właśnie na tej propagandzie oparli swe wpływy, urządzali wiece, utworzyli wreszcie placówkę komisarzy politycznych przy oddziałach, a że głosili drogie polskiemu sercu hasła, nie krępując się często kłamstwem, pociągnęli za sobą tłum, wyjątkowo czysty w swych aspiracjach, aż pod Kaniów.

O jeden szczebel wyżej toczyła się walka pomiędzy mną — starym żołnierzem zawodowym, a panem Raczkiewiczem, chorążym rezerwy. Trudno mówić o sobie, zaznaczę tylko, że moje zasady narodowe i poglądy na podstawy służby wojskowej były identyczne z zapatrywaniami obozu starych, pan Raczkiewicz stał na przeciwnym biegunie. B. prezes Naczpola wystąpił w ostatnim okresie istnienia naszych korpusów jako delegowany przez Radę Regencyjną dla porozumienia z formacjami polskiemi; zakres jego pełnomocnictw, według przedłożonych mi dokumentów, nie ulegał żadnym wątpliwościom — szło wyłącznie o porozumienie z Niemcami; dodana panu Raczkiewiczowi asysta niemieckiego oficera podkreśliła ten charakter aż nadto wyraźnie. Pertraktacje z Niemcami nie udały się, rola delegata skończyła się zatem, ale delegat pozostał w Kijowie, jako „pełnomocnik Rady Regencyjnej“, nie przedstawił jednak żadnego dokumentu, potwierdzającego te pełnomocnictwa. Mój niezależny stosunek przeszkadzał pełni władzy pana Raczkiewicza, zaczęła się więc robota w celu usunięcia mej osoby. Walczyć takiemi metodami nie mogłem, sprzeciwiały się one tradycji walk rycerskich

„na udeptanem polu“, w której wyrosłem, traciłem więc coraz bardziej grunt pod nogami.

W tym czasie ukazał się na horyzoncie kijowskim generał Osiński, b. członek Naczpola. Upatrzył go sobie pan Raczkiewicz, jako przyszłego dowódcę II-go korpusu, który miał zastąpić ustępującego generała Stankiewicza. Zgodziłem się na to po rewolucyjnym przewrocie w korpusie, ulegając prośbom pana Raczkiewicza, a jednocześnie zlikwidowałem zupełnie zbędny zarząd naczelny. Jednak ta nominacja spotkała się ze sprzeciwem Rady Korpusowej, która uznała, że kwalifikacje na wodza posiada właśnie brygadjer Haller i mianowała go dowódcą korpusu. Wobec dokonanego faktu generał Osiński został bez przydziału, ale pomyślał o tem podporucznik Raczkiewicz i własną władzą wskrzesił naczelne dowództwo z generałem Osińskim na czele, a kapitanem Barthą, jako szefem sztabu. Uznały narazie tę nominację również oddziały III-go korpusu, ale po niefortunnym występie kapitana Barthy pod Gniewaniem usunęły go z rejonu walk, tworząc własne dowództwo, niezależne od generała Osińskiego.

Przeszło półtora roku trwała na terenie Rosji walka o istnienie polskich formacyj wojskowych; nie dała ona poważnych wyników, ale wina załamania tylu wysiłków nie spada na szeregowego oficera lub żołnierza w korpusach wschodnich skupionego; walczył on mężnie z wrogami Polski — bolszewikami, Ukraińcami i Niemcami, oparł się zwycięsko zgniliźnie bolszewickiej, znosił bez protestu ciężkie trudy i cierpienia, przyniósł do kraju

wysokie poczucie godności żołnierskiej, obcej wszelkiej reklamie i chęci dyskontowania swych zasług na koszt zubożałego kraju, a gdy rozpoczęła się walka o utrwalenie granic Polski, wrócił on do szeregów — został przykładem karności wojskowej i służby ofiarnej ku Chwale Ojczyzny.

KONIEC

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Wstęp 5

I. Konferencje w Petersburgu. Projekt formacyj w Rosji. W Mińsku. Nowe propozycje. Gen. Dowbor-Muśnicki. Inspektorat 9

II. W Kijowie. Trudności finansowe. Intrygi Petlury. Misje. Brak ludzi. Szkodnictwo Naczpola. Polityka. 15

III. Rejony terytorjalne. Organizacja oddziałów. Gen. Stankiewicz. Projekty koalicji. Przyjazd pana Zdziechowskiego 25

IV. Rada Międzypartyjna. Nacisk misyj. Narady z Czechami. Projekt Rady Naczelnej. Natarcie bolszewików 35

V. Władze ukraińskie. Oddział kijowski. Bombardowanie. Walki. Rada Naczelna. Petlura. Noc w klasztorze 42

VI. Wymarsz z Kijowa. W Światoszynie. Partyzanci. Marsz do Żytomierza. Zajście z Ukraińcami. Czesi. Zajęcie Koziatyna przez bolszewików. Rabunek banku 50

VII. Wymarsz z Żytomierza. Przygody. Dniówka w Troszczy. Wandalizm. W Lubarze. Hr. R. Grocholski. Bolszewicy w Starokonstantynowie. Projekt natarcia 63

VIII. W Antoninach. Pułk. Suszyński. Zdobycie Starokonstantynowa. Uchwała Rady Naczelnej. Brygada Karpacka. Przyjazd socjalistów i piłsudczyków. Odezwa do żołnierza. Postępy okupacji. Wichrzenia 72

IX. Przygotowania do wymarszu. Bój w Krasiłowie. Dywizjon szwoleżerców. Przyjazd hr. Z. Grocholskiego. Pokój z bolszewikami. Fatalne skutki. Znowu wichrzenia 82
X. Wyjazd z Antonin. W Starokonstantynowie. Nastroje. Intrygi ukraińskie. List gen. Dowbor-Muśnickiego. Bezdroże. Komunikaty partyj politycznych. Chaos 92
XI. Raport pułk. Kowalewskiego. Rewolucyjna Rada Korpusowa. Agitacja. Mój nakaz. Wyjazd 109
XII. W Kijowie. Pan Raczkiewicz. Pisma Rady Regencyjnej. Pertraktacje z Niemcami. Zerwanie układów. List do pana Bartoszewicza. 121
XIII. W Winnicy. 7 pułk ułanów. Agitacja. Korespondencja z panem Raczkiewiczem. Nadejście oddziału pułk. Rummla. Intrygi w II-gim korpusie. Konferencja z Petlurą. Gen. Stankiewicz. 130
XIV. Wyrok na p. rtm. Szaniawskiego. Chaos w II-gim korpusie. Rozłam. Wymarsz gen. Glassa do Winnicy. Nacisk władz ukraińskich. 141
XV. Nowe pisma p. Raczkiewicza. Zniekształcona umowa. Sytuacja w 7. pułku ułanów. Informacje p. Raczkiewicza. Decyzja ustąpienia. Rozkaz. Komisja likwidacyjna 151
XVI. Nastroje osobiste. Rozkazy gen. Osińskiego. Walki. pod Niemirowem i Tywrowem. Ppłk. Bartha. Organizacja lekkiej brygady 159
XVII. Rewja w Humaniu. W Kaniowie. List od Rady Regencyjnej. Stanowisko Niemców. Brak decyzji w korpusie. Bitwa pod Kaniowem. Kapitulacja. 167
Zakończenie 176

Uwaga. Oryginały wymienionych w tekście dokumentów są złożone w Centralnej Bibljotece Wojskowej, w Warszawie, Aleje Ujazdowskie Nr. 1 do użytku historyków.



WAP
Biblioteka
t. 3
12214/1
Naukowa